

Christopher
Moore



GRYŹ, MAŁA,
GRYŹ

NAJNOWSZA POWIEŚĆ
AUTORA BESTSELLEROWEGO
NAJGŁĘPSZEGO ANIOŁA

MOORE CHRISTOPHER

Gryz mala, gryz

CHRISTOPHER MOORE
Przełożył Jacek Drewnowski
WYDAWNICTWO MAG

2010



Tytuł oryginału:

Bite Me. A love story

**Copyright © 2010 by Christopher
Moore**

**Copyright for the Polish translation
© 2010 by Wydawnictwo MAG**

Redakcja:

Joanna Figlewska

Korekta:
Urszula Okrzeja
Ilustracje i opracowanie graficzne
okładki:
Irek Konior
Projekt typograficzny, skład i
łamanie:
Tomek Laisar Fruń
Wydanie I

ISBN 978-83-7480-171-3

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082
Warszawa
tel./fax (0-22) 813 47 43

e-mail: kurz@mag.com.pl
<http://www.mag.com.pl>

1
CZEŚĆ, KOTKU
Z PAMIĘTNIKA ABIGAIL VON
NORMAL,
zastępczej pani nocy w Greater Bay
Area

W mieście San Francisco grasuje duży ogolony kot-wampir o imieniu Chet, i tylko ja, Abby Normal, rezerwowa pani nocy w Greater Bay Area, i mój kochanek z fryzurą rodem z mangi, Pies Fu, stoimy pomiędzy wygłodniałym monstrem a krwawą masakrą ludności. Ale właściwie sprawa nie przedstawia się tak źle, jak mogłoby się wydawać, bo ludność jest w sumie do dupy.

Mimo wszystko, myślę, że ta walka mrocznych mocy, podtrzymywanie lubieżnego, zakazanego romansu, nowa para czerwonych winylowych koturnów „Skankenstein[®]”, sięgających ud, które muszę z bólem rozchodzić, a także codzienne nakładanie skomplikowanego makijażu, i tak dalej, całkowicie usprawiedliwiają fakt, że oblałam biologię. (Wprowadzenie do okaleczania zakonserwowanych zwłok świstaków, z panem Snavelym, który na pewno zabawia się ze świstakami, kiedy nikt nie patrzy – wiem to z pewnego źródła). Ale spróbujcie to powiedzieć matce, która zasługuje na klątwę i rozczarowanie za to, że obarczyła mnie brzemieniem swojego plugawego genu małych cyczków.

Pozwólcie, że udzielię wam informacji, *s'il vous plait*. Uważajcie, zdziiry, będzie test.

Trzy żywoty temu, a może jakoś w zeszłym semestrze, bo, jak mówi piosenka: „życie jest jak rzeka oślizłych wydzielin, kiedy kochasz”, tak czy owak, podczas ferii zimowych Jared i ja szukaliśmy w Walgreens hipoalergicznego tuszu do rzęs, i wtedy spotkaliśmy piękną rudowłosą księżną Jody i jej małżonka krwi, mojego Mrocznego Pana, wampira Flooda, który się kamuflował, bo włożył džinsy i flanelową koszulę, by wyglądać jak frajer.

To ja od razu: „Nosferatu”. Szepnęłam do Jareda niczym nocny wiatr w spadłych liściach.

A Jared na to: „Nie ludź się, ty smętna, mała dziwko”.

A ja: „Zamknij swój otwór na fiuta, bo ci sperma jedzie, pozerze”.

Przyjął to jako komplement, i o to mi też chodziło, bo chociaż Jared jest do szpiku kości gejem, tak naprawdę jeszcze z nikim tego nie robił, no, może najwyżej ze swoim ulubionym szczurem, Lucyferem. Ściśle rzecz biorąc, myślę, że Jareda trzeba by uznać za gryzonioseksualistę, gdyby nie problemy techniczne w takim związku. (Widzicie, rozmiar ma znaczenie!).

Uwaga do siebie: powinnam umówić Jareda z panem Snavelym, mogliby sobie pogadać o bzykaniu wiewiórek i tak dalej, a mnie może ominęłaby powtórka z biologii.

Tak czy siak, Jared pasuje jako postać drugoplanowa do tragedii mojego życia, bo ubiera się z ponurym szykiem i bryluje w rozmyślaniach, pogardzie do samego siebie i uczuleniach na produkty kosmetyczne. Próbowałam go nawet namówić, żeby przeszedł na zawodowstwo.

No i wtedy wampir Flood powiedział, żebym spotkała się z nim w klubie, gdzie chciałam się oddać jego mrocznym żądom, ale odrzucił propozycję z powodu swojej wiecznej miłości do księżnej. Zamiast tego kupił mi cappuccino i zatrudnił mnie jako ich oficjalną pomagierkę. Pomagierka ma za zadanie wynajmować mieszkania, robić pranie i przynosić swoim panom worek ze smakowitym dzieckiem, choć tego ostatniego nigdy nie zrobiłam, bo moi państwo nie lubią dzieci.

No i wampir Flood dał mi pieniądze, a ja wynajęłam *tres* fajne poddasze w dzielnicy SOMA (powszechnie uważanej za najlepszą dla wampirów, głównie ze względu na nowe budynki i to, że nikt tam nie będzie szukał prastarych istot, sług czystego zła). Ale okazuje się, że był to tylko kawałek od *tres* fajnego poddasza, na którym wcześniej mieszkali. No i kiedy niosłam im klucz, z nadzieją że przekażą mi mroczny dar nieśmiertelności, podjechała limuzyna, a w niej nawaleni goście w wieku studenckim i pomalowana na niebiesko zdziira z ogromnymi cycami.

I wszyscy do mnie: „Gdzie Flood? Musimy pogadać z Floodem. Wpuść nas do środka”. I w ogóle wyskakują z żądaniami.

A ja na to: „Nic z tego, spadaj, Smerfetko. Nie ma tu żadnego Flooda”.

Wiem! Myślę sobie, niech mnie, kurwa, zombie na sprężynce! Ona była niebieska!

Nie jestem rasistką, więc się zamknijcie. Wyraźnie miała problem z poczuciem własnej wartości, więc nadrabiała olbrzymimi sztucznymi cycami, niebieską farbą do ciała i bzykaniem dla szmalu całego samochodu naspawanych koleśków. Nie oceniam jej po kolorze skóry. Każdy orze, jak może. Jak miałam klamerki na zębach, przeszłam przez fazę Hello Kitty, która trwała do piętnastki, a Jared twierdzi, że nadal w głębi serca jestem żwawa, ale to nieprawda. Jestem po prostu skomplikowana. Ale więcej o niebieskiej dziwce napiszę później, bo teraz ten Azjata patrzy na zegarek i mówi: „Za późno, słońce już zaszło”. I odjechali. Wtedy ja otworzyłam drzwi na klatkę na poddasze i przede mną stanął Chet, duży ogolony kot-wampir.

(Tyle że wtedy nie miałam pojęcia jak się nazywa, i miał na sobie czerwony sweterek, więc nie wiedziałam, że jest ogolony, no i nie był jeszcze wampirem. Ale był duży).

No to ja: „Ej, kiciu, idź sobie”. I poszedł, zostawiając tylko Williama, bezdomnego faceta od dużego ogolonego kota, leżącego na schodach. Myślałam, że nie żyje, przez ten smród, ale okazało się, że tylko stracił przytomność od alkoholu, częściowej utraty krwi i w ogóle. Ale jestem prawie pewna, że teraz już nie żyje, bo później Fu i ja znaleźliśmy jego cuchnące ciuchy na schodach poddasza, pełne szarego pyłu, w jaki zmieniają się ludzie, kiedy wysie ich wampir.

Na górze mówię: „Na waszych schodach jest trup i duży kotek w swetrze”.

A księżna i Flood na to: „A co tam”.

To ja: „Była też tu limuzyna pełna naspawanych gości, którzy na was polują”.

A oni: „Kurde”.

I wyglądali na bardziej przestraszonych, niż byście się spodziewali po pradawnych istotach, które mają zakazany romans i tak dalej. Ale okazuje się, że nimi nie byli... znaczy, nie są. Znaczy, jasne, ich miłość jest wieczna i są sługami niepojętego zła i w ogóle, ale w ogóle nie są pradawni. Okazuje się, że wampir Flood ma normalnie tylko dziewiętnaście lat, a księżnę zna od jakichś dwóch miesięcy. A ona ma dwadzieścia sześć lat, czyli jest lekko podstarzała, ale nie pradawna. I mimo zaawansowanego wieku, księżna jest piękna, ma długie, totalnie naturalne rude włosy i mleczną cerę, zielone oczy niczym szmaragdowy ogień i boskie ciało, które mogłoby mnie zmienić w totalną lesbę, gdybym nie była już niewolnicą szalonego, Seks-Fu słodkiego męskiego ninja, Psa Fu. (Fu twierdzi, że nie może być ninja, bo jest Chińczykiem, a ninja to Japończycy, ale jest po prostu uparty i kiedy poruszę ten temat, zawsze odgrywa „bardzo rozgniewanego Azjatę”).

No i na poddaszu pana widzę dwa brązowe posągi – jeden przedstawia starego faceta o wyglądzie biznesmena, a drugi wygląda jak księżna, tyle że zupełnie naga albo tylko w trykocie i brązowa.

To mówię: „Jesteś ekshibicjonistką, księżno? Dali do tego słup?”.

A ona: „Pomóż Tommy’emu nosić meble, Wednesday”. Jakby to miało jakiś sens. (Okazuje się, że Wednesday to gotycka postać z jakiegoś starego filmu).

No to później, dzięki swoim wnikliwym badaniom, przenikliwości i tak dalej, dowiedziałam się, że te rzeźby to wcale nie rzeźby. Że księżna przebywała kiedyś w swoim posągu, a wewnątrz posągu starego biznesmena znajduje się prawdziwa pradawna istota, sługa niepojętego zła, nosferatu, który zmienił księżnę w wampirzycę. A wampir Flood, który wtedy wcale jeszcze nie był wampirem, oblał ich oboje brązem, kiedy zapadli w głęboki, dzienny sen umarłaków, czyli najgłębszy sen, jaki umiecie sobie wyobrazić. (Musicie wiedzieć, że dla wampirów nie ma czegoś takiego, jak ziewanie i stopniowe, łagodne zasypianie. Kiedy słońce wstaje nad horyzontem, padają na miejscu jak szmaciane lalki i można ich układać, malować po nich, kłaść im ręce na fiucie i wrzucać fotki do sieci. A oni w ogóle się nie zorientują aż do zachodu słońca, kiedy to błyskawicznie się obudzą i zaczną się zastanawiać, czemu ich intymne części są zielone, a w skrzynce mejlowej mają pełnopropozycji z witryny elfickie_kochanie.com).

Wiem. Ha!

Okazuje się, że Flood, wtedy znany jako Tommy, został wybrany przez księżnę jako dzienny pomagier, dostarczyciel krwawych obiadków i facet do bzykania, bo nocami pracował w

Safewayu. Potem stary wampir, który przemienił księżną raptem jakiś tydzień wcześniej, zaczął z nimi zadzierać – mówił, że zabije Tommy’ego i ogólnie namiesza w świecie Jody. No to Flood i jego nocna zmiana naspawanych koleżków z Safewaya (zwanych Zwierzakami) dopadli wampira alfa, który spał w wielkim jachcie w zatoce. Zwinęli z tego jachtu dzieła sztuki warte jakieś bzdyliony, a potem wysadzili łajbę z wampirem w środku, co go dość ostro wkurzyło, ale jak wylazł z wody, to zdrowo mu przypierdolili z kusz harpunowych i takich tam.

Wiem! Niech mnie, kurwa, kucyk z grilla! Wiem! Widać, że, jak pisał w wierszu lord Byron: „Wystarczy dosyć ziola i materiałów wybuchowych, a nawet istota o najbardziej wyrafinowanej i pradawnej mrocznej mocy może być załatwiona przez paru gości na hajju”.

Parafrazuję. Może to był Shelley.

No i księżna ratuje starego wampira od usmażenia, ale obiecuje dwóm gliniarzom, że go zabierze i nigdy nie wróca do miasta. Ale kiedy poszli spać, Flood, który nie mógł znieść straty Jody, zabrał ich na dół, do takich motocyklistów-rzeźbiarzy, i kazał pokryć ich brązem. Ale kiedy próbował wyjaśnić księżnej, czemu to zrobił, wywiercił dziury w brązie przy uszach, a ona zmieniła się w mgłę, wyleciała do pokoju i zrobiła z niego wampira. A to go totalnie zaskoczyło, bo nawet nie wiedział, że ona umie robić te dwie rzeczy (znaczy zmieniać siebie w mgłę, a innych w wampiry).

No więc, oboje byli wampirami, połączonymi wieczną miłością, ale dość marnymi, jeśli chodzi o nocne umiejętności. Wcześniej Jody żywiła się krwią Tommy’ego, ale nie pomyślała, co będą jeść, kiedy on też stanie się wampirem. Więc najpierw poszli do tego bezdomnego, którego nazwiemy Williamem od dużego kota (bo tak go nazywają), bo przesiadywał przy Market Street z Chetem i tabliczką z napisem: JESTEM BIEDNY I MAM DUŻEGO KOTA. No i wypożyczyli tego dużego kota, Cheta, żeby się nim dzielić jako krwawym obiadem. Ale okazało się, że kocia wielkość Cheta to w znacznej części sierść, więc go ogolili, żeby ułatwić proces gryzienia. Cieszę się, że nie byłam jeszcze ich pomagierką, bo chyba wszyscy wiemy, kto wtedy musiałby golić kotka.

Ale nie! To się nie sprawdziło. Nie jestem pewna dlaczego. Lecz William zupełnie się nawalił – do poziomu „gwałtu na randce” – gorzałą, którą kupił za forszę za wypożyczenie kota, no i w końcu pożywili się właśnie nim. I wtedy przyjęli mnie, nową księżniczkę ciemności in spe, w swój poczet (w sensie, że w poczet członków bractwa, a nie do jakiejś galerii portretów).

To ja wręciłam Tommy’ego w program wymiany igieł, gdzie za sprawą swojej bladej chudości przekonał wszystkich, że jest ćpunem, i dostał strzykawki, którymi nabrali krwi Williama i włożyli ją do lodówki, żeby potem księżna mogła jej używać do kawy. Wychodzi na to, że jeśli wampir ma tolerować normalną żywność, musi w niej być trochę ludzkiej krwi. (Księżna lubi krew do frytek, co jest zarazem *tres* fajne i totalnie pojebane).

Jak tylko księżna i Flood zakumali, co i jak z tą krwią i żarciem, William od dużego kota sobie poszedł i księżna musiała go poszukać, bo to ona miała większe doświadczenie w nocnych łowach. Tymczasem Flood i ja przenosiliśmy rzeczy z jednego poddasza na drugie. Ale ja musiałam kupić szampon na wszy dla mojej bezużytecznej siostrzyczki Ronnie, którą dopadło robactwo, i Flood posłał mnie wcześniej do domu, żeby oszczędzić mi gniewu matki, bo nie chciał, żeby jego pomagierka dostała szlaban. (Jaki szlachetny gest. Myślę, że właśnie wtedy się w nim zakochałam). Potem zabrał starego wampira w brązie nad wodę, żeby wrzucić go do zatoki, zanim wróci księżna. Było dla mnie jasne, że Tommy ma problem z zazdrością wobec

starego wampira i chce się go pozbyć. Tyle że, zanim dotarł nad zatokę, godziny ciemności dobiegły końca, więc musiał zostawić starego wampira na Embarcadero przy Ferry Building i uciekać, żeby przeżyć. W ostatniej chwili obok przejeżdżała limuzyna ze Zwierzakami i tą głupią niebieską dziwką. Zabrali wampira Flooda z ulicy, zanim spaliło go słońce.

Wiem. CJK?

(Gdybyście nie wiedzieli, kiedy piszę CJK, powinniście to czytać: „Co jest, kurwa?”. Tak samo z OMB i OKMB, czyli „O mój Boże” i „O, kurwa, mój Boże”. Tylko kompletny lamer i neptek wychowany na Disney Channel wypowiada litery. Nawet CMBJLD, czyli „Całuj moją białą jak lilia dupę” należy wymawiać jako skrót tylko w obecności zakonnic albo innych ludzi, których gorszy gadanie o całowaniu dupy).

No i Zwierzaki wracają do pracy w Safewayu, ale najpierw przywiązują Flooda do ramy łóżka, a tam niebieska dziwka go torturuje, żeby zmienić ją w wampira. Miała wszystkie pieniądze Zwierzaków za dzieła sztuki tego starego wampira, czyli jakieś sześćset tysięcy dolców, i chciała mieć czas, żeby je wydać, i dlatego pragnęła nieśmiertelności. Ale Flood był zupełnym żółtodziobem. Nigdy nawet nikogo nie zabił i nie zmienił w pył czy coś, więc nie miał pojęcia, jak kogoś przemienić. Księżna nie powiedziała mu, że wybraniec musi się napić krwi wampira, żeby otrzymać mroczny dar. Więc ta niebieska torturowała go do upadłego.

Wiem, co za zdzira.

Tymczasem księżna znalazła gościa od wielkiego kota, a ja znalazłam szampon na wszy, ale nie wiedziałyśmy, gdzie jest Tommy. Lecz księżna była poparzona, bo straciła przytomność na jakichś rurach z gorącą wodą, więc się mną pożywiła, tam, na poddaszu.

Myślę: o kurde, dostanę mroczny dar, a noszę jasnozielone all-starsy, które zupełnie nie pasują komuś, kto ma zostać istotą o niewyobrażalnej mocy. Ale nie, księżna tylko spożyła mój krwawy nektar, żeby wyzdrowieć. Chyba właśnie wtedy się w niej zakochałam. Tak czy siak, poszła popytać o Tommy’ego i ten totalnie stuknięty bezdomny koleś, który uważa się za cesarza San Francisco (prawie zawsze można go zobaczyć na północnym końcu miasta razem z dwoma psami), powiedział, że jeden ze Zwierzaków wypytywał o Flooda.

No to ja: „Ojoj”.

A księżna: „Taa”.

Ledwo się obejrzałam, a już byliśmy w Safewayu Marina i księżna – w czarnych džinsach i czerwonej skórzanej kurtce, ale bez szminki – rzuciła w wielką szybę od frontu koszem na śmieci ze stali, wielkim jak lesba od wuefu, a potem weszła przez spadające szkło do środka, wkurwiona jak cholera, i zaczęła kopać im dupy. To było cudowne. Ale nikogo nie zabiła, co okazało się błędem, tak jak – moim skromnym zdaniem – brak szminki. Bo chociaż to heroiczne kopanie dupy było lepsze niż wszystko, co można zobaczyć w prawdziwym życiu, byłoby jeszcze fajniej, gdyby nałożyła czarną szminkę, albo może ciemnobrązową. No i powiedzieli jej, że Tommy jest związany w mieszkaniu Lasha, tego czarnego gościa.

To były ostre bęcki, więc mówię: „Dostaliście niezły wpierdol, skurwiele!”.

Księżna na to: „To miłe. Chodźmy po Tommy’ego”.

Czasami wylazi z niej zdzira. Tak czy siak, poszliśmy do mieszkania, gdzie przetrzymywali Tommy’ego, a kiedy tam dotarliśmy, dalej był przywiązany do ramy łóżka, ale stał przy ścianie, cały goły i pokryty krwią, włącznie z fajfusem. A niebieska dziwka leżała martwa na podłodze.

No to ja: „Ojoj”.

A księżna: „Taa”.

I zaczęła coś tam gadać, że ta niebieska musiała skrócić kark czy coś, bo gdyby Tommy ją wyssał, to zmieniałaby się w pył i nie byłoby ciała. W taksówce do domu było *tres* niezręcznie, bo wiecie, Flood goły i zakrwawiony, a w dodatku oboje nawijają: „O, kocham cię” i „O, ja też cię kocham”. Ja zachowywałam się trochę jak zdolowana laska emo, bo byłam zazdrosna o oboje – oni mieli tę swoją mroczną i wieczną miłość, a ja zielone all-starsy i Jareda, tego szczurojebcę i przynętę na gejów.

To było fajne. Akcja ratunkowa i tak dalej. Bo znaleźliśmy forszę za dzieła sztuki starego wampira, którą Zwierzaki zapłaciły niebieskiej dziwce, czyli jakieś pół miliona dolarów. Ale potem się dowiedzieliśmy, że niebieska dziwka wcale nie jest martwa, bo przypadkiem wypila trochę krwi Tommy’ego, gdy pocałowała go podczas tortur, i stała się nosferatu. I przemieniła wszystkich Zwierzaków. Czyli, wiecie, niedobrze. I to nie w dobrym sensie.

A stary wampir jakoś uciekł ze swojej brązowej skorupy i teraz ścigał Tommy’ego i Jody, a nawet mnie. I jeszcze stłukł Williama od dużego kota, podczas gdy Jared i ja patrzyliśmy na to z zaułka po drugiej stronie ulicy.

Wiem! Wszyscy mówiliśmy: „Co jest?”.

No i jest, wiecie, Boże Narodzenie, i Jared i ja oglądamy nocny seans *Miasteczka Halloween* w Metreonie. Mamy traumę i tak dalej, po tym, jak wampir spuścił baty facetowi od dużego kota, a tu dzwoni księżna. Razem z moim Mrocznym Panem Floodem spotykają się z nami na kawie w chińskim barze, który jako jedyny jest otwarty – Chińczycy totalnie zlewają Boże Narodzenie, bo w tej historii nie ma smoków ani fajerwerków.

Uwaga do siebie: napisać poemat o Bożym Narodzeniu, w którym trzej królowie dają dzieciątku Jezus fajerwerki, smoka i wieprzowinę mu-shu zamiast tego szajsu.

No i po całej nocy, spędzonej na picciu kawy z dodatkiem krwi Jareda i słuchaniu historii starego wampira, którą opowiadali księżna i Flood, wracamy na poddasze, a tam, na schodach, widzimy tego starego wampira, zupełnie gołego.

I on mówi: „Musiałem zrobić pranie. Ten facet nasikał mi na dres”. Miał na sobie totalnie gangsterski żółty dres, kiedy tłukł faceta od dużego kota.

Więc uciekliśmy i musieliśmy ukryć moich panów wśród jakichś krokwi pod Bay Bridge, kiedy o świcie stracili przytomność. Zero ziewania ani nic – po prostu padli martwi. No, niemartwi.

Owinęliśmy ich workami na śmieci i taśmą, a potem zanieśliśmy do kryjówki Jareda w piwnicy przy Noe Valley. (Jego piwniczna kryjówka jest święta – rodzice boją się, że mogliby go nakryć na masturbacji przy gejowskim porno – więc stanowiła bezpieczne miejsce). Tymczasem ja wróciłam na poddasze, żeby nakarmić dużego ogolonego kota Cheta i naciąć staremu wampirowi głowę sztyletem Jareda, dzięki czemu bym zapunktowała u panów, ale okazało się, że źle obliczyłam nadejście zmierzchu. Od kiedy to słońce zachodzi koło piątej? Kurewsko młoda godzina.

Tak czy siak, jak weszłam na schody, usłyszałam starego wampira na górze. No to myślę sobie: „Wtopa”. Potem usłyszałam, że podjeżdża samochód, i wybiegłam, prosto w ramiona blondynki, która okazała się niebieską dziwką, teraz będącą nosferatu, plus trzech jej wampirzych pomagierów, dawnych Zwierzaków. Wiem. „Ojoj”.

Dorwała mnie i już mi miała rozszarpać gardło, kiedy nagle stary wampir złapał ją za kark i

odcisnął jej twarz na masce mercedesa.

I nawija: „Łamiesz zasady, dziwko. Nie możesz zmieniać ludzi w wampiry, kiedy ci się podoba”.

Zakręciłam tyłkiem w tańcu zwycięstwa przed blondynką, a wtedy wszyscy zwrócili się przeciwko mnie. Wyciągnęłam sztylet Jareda, ale i tak wiedziałam, że zbiorowo wyssą moje blade ciało, a tu nagle z zaulka wyjeżdża totalnie odlotowa, odpicowana honda i wokół rozbłyska białe światło. I widzę swojego kochanka z fryzurą z mangi, Fu, w ciemnych okularach herosa.

„Wsiadaj” – mówi.

No i wywiózł mnie tym swoim magicznym rydwanem kujona, w którym zamontował ultrafioletowe reflektory, a one totalnie usmażyły wampiry udawanym światłem słonecznym. Wiem! Bzyknęłabym się z nim od razu w tym samochodzie, gdyby nie to, że starałam się utrzymać swoją aurę zdystansowanego, arystokratycznego chłodu. Więc tylko go pocałowałam, a potem strzeliłam z liścia, żeby sobie nie myślał, że jestem jego osobistą zdziwą, chociaż nią byłam. Miałam być.

Okazuje się, że Steve – bo takie imię nosi Pies Fu jako niewolnik za dnia – od jakiegoś miesiąca obserwował mieszkanie księżnej Jody, odkąd się polapał, że jest wampirzycą, bo trochę krwi ofiar starego wampira trafiło do jego laboratorium w Berkeley. Fu to jakiś biotechniczny supergeniusz, a w dodatku prowadzi samochód jak zwariowany ninja.

Potem podrzucił mnie do kawiarni Tulley’s przy Market Street, gdzie spotkałam się z Jaredem i Jody, której udało się wyjść przy rodzicach Jareda. Udawała, że są kochankami, co jest obrzydliwe pod tak wieloma względami, że chyba się trochę zachłysnęłam, kiedy to pisałam. (Jared jest moim rezerwowym NP – najlepszym przyjacielem – ale to zboczony mały szczurojebca, jak czule zwraca się do niego księżna).

No i księżna mówi: „Wracam na poddasze po forszę”.

A ja na to: „Nie, bo stary wampir”.

A ona: „Nie jest moim szefem”. (Czy coś w tym stylu. Parafrazuję).

No to mówię: „Jak sobie chcesz, tylko nakarm Cheta”.

Więc wróciliśmy do Jareda, a kiedy tam dotarliśmy, wampir Flood był cały pokiereszowany, bo próbował łazić głową w dół po ścianie budynku w Castro za jakąś smakowitą drag queen, tak jak Drakula w książce (tyle że w książce to nie jest Castro, a Drakula nie idzie za drag queen).

Uwaga do siebie: jak w końcu zrobią ze mnie nosferatu, nie próbować łazić po ścianach głową w dół.

I wtedy pojawił się mój ninja Fu.

„Nie mogłem cię tu zostawić bez ochrony” – mówi.

A ja na to w duchu: „Zajebicie mnie kręcisz, Fu”, ale publicznie tylko go pocałowałam i elegancko pocierałam się o jego udo. Wszyscy wsiedliśmy do jego odlotowej hondy i wróciliśmy na poddasze.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, okna na piętrze były otwarte i Flood słyszał, że stary wampir jest tam z Jody.

Fu zasunął: „Ja pójdę”. I wyciągnął z bagażnika długi płaszcz, pokryty takimi szklanymi przyszczami. Mówi: „Diody ultrafioletowe. Jak światło słońca”.

Metalowe drzwi na dole były zamknięte, więc Flood powiedział: „Ja pójdę”.

Ale Fu na to: „Nie, to cię poparzy”.

Potem jednak zakryli Flooda, włożyli mu rękawiczki, czapkę i maskę gazową, którą Fu nosi przy sobie na wypadek zagrożenia biologicznego czy coś, a na koniec ubrali go w ten płaszcz. Fu dał mu brezent i kij bejsbolowy, no i Flood zaczął zasuwać po ulicy jak po półrurze, wbiegając na budynek po jednej stronie, a potem po drugiej, aż w końcu nogami naprzód wpadł do środka przez okno na górze. Osobiście podejrzewam, że księżna mogłaby tam po prostu doskoczyć, ale ona jest wampirem dłużej od Flooda i więcej umie.

No i potem z okien strzeliło oślepiające białe światło i zanim się obejrzelśmy, wyleciał przez nie stary wampir, jak płonąca kometa, i gruchnął na ulicę tuż obok nas. Zaraz wstał, cały osmalony, wkurzony i w ogóle, a Fu podniósł swój ultrafioletowy reflektor i mówi: „Spadaj, wampirzy śmieciu”. No i stary wampir zwiął.

Potem wyszedł Flood, niosąc księżnę, która wydawała się o wiele bardziej martwa niż zwykle, i zabraliśmy ich do motelu, żeby ich ukryć, dopóki nie wykombinujemy, co robić. Fu ukradł z laboratorium na uczelni trochę krwi od jakiegoś dawcy i teraz dał ją Floodowi i księżnej, żeby wyzdrowieli.

I mówi: „Wiecie, badałem krew, którą znalazłem na ofiarach, i myślę, że mogę odwrócić proces. Mogę was zmienić z powrotem w ludzi”.

No bo właśnie wtedy śledził księżnę, kiedy go spotkałam.

Tommy i Jody na to: „Zastanowimy się”.

Potem Flood przytulał Jody na łóżku i rozmawiali po cichu, ale ja ich słyszałam, bo byłam przy drzwiach, a to niezbyt duży pokój. Stało się jasne, że ich miłość jest wieczna i przetrwa eony, ale Flood nie lubi być wampirem, z powodu tych godzin, które są do dupy, a Jody lubi, bo ma moc, a przez lata uważała, że jest do niczego. Postanowili z grubsza, że się rozdziela, jak tylko wzejdzie słońce i stamtąd wyjdą.

Ja na to: „O, do diabła, nie”.

No i kazałam ich pokryć brązem.

Właśnie na nich patrzę. Upozowaliśmy ich jak *Pocałunek* Rodina i będą razem aż do końca świata, a przynajmniej do czasu, gdy wymyślimy, jak ich wypuścić, żeby nie rzucili się nam do gardeł i tak dalej. Fu mówi, że to okrutne, ale księżna powiedziała mi, że umieją zmieniać się w mgłę, a kiedy są mgłą, czas mija jak sen i w ogóle jest wporzo.

No ale w końcu Fu zrobił to swoje serum. Zwabiliśmy Zwierzaków do naszego gniazdka miłości. Miałam na sobie tę odlotową skórzaną kurtkę z diodami UV, którą zrobił mi Fu i która jest super i cyber, i nafaszerowałam ich dragami, a Fu zmienił ich z powrotem w ludzi. Potem ten stuknięty stary Cesarz powiedział, że widział, jak trzy młode wampiry zabierają starego wampira i tę dziwkę, dawniej niebieską, ogromniastym jachtem, więc nie musimy się nimi więcej przejmować.

Fu chce wyciąć Flooda i Jody z brązowego posągu za dnia, kiedy będą spali, i zrobić z nich ludzi. Ale księżna tego nie chce. Więc myślę, że powinniśmy po prostu czekać. Mamy *tres* fajne mieszkanie i całą forszę, Fu niedługo uzyska dyplom z biokujonstwa czy czegoś tam, a ja muszę chodzić do domu góra dwa razy w tygodniu, żeby matka myślała, że ciągle tam mieszkam. (Podstawą było warunkowanie jej, odkąd skończyłam dwanaście lat, że wychodzenie na całą noc to normalka. Lily, moja dawna NP od nocowania, nazywa to powolnym gotowaniem żaby – nie mam pojęcia co to znaczy, ale brzmi mrocznie i tajemniczo).

No więc jesteśmy bezpieczni w naszym miłosnym gniazdku i jak tylko Fu wróci do domu, dostanie ode mnie nagrodę w postaci powolnego ruszania tyłkiem – tańca zakazanej miłości. Coś piszczy na zewnątrz. ZW (zaraz wracam).

Oże kurwa! Na ulicy jest Chet, duży ogolony kot-wampir. Wydaje się większy i wygląda na to, że zżarł policjantkę parkingową. Jej mały wózek się toczy, a na chodniku leży pusty mundur.

Niedobry kotek! ML (muszę lecieć), nara.

2
TEST

1. Księżna Abigail von Normal jest:

- A. *Zastępczą panią ciemności w Bay Area.*
- B. *Gotycką laseczką, trawioną banalną beznadzieją egzystencji.*
- C. *Nie żywiołowa, lecz mroczna, skomplikowana i tres tajemnicza.*
- D. *Wszystkim powyższym i zapewne nie tylko.*

2. Wampir Flood i autorka jego przemiany w nosferatu, księżna Jody, zostali uwięzieni w brązowej skorupie w pozie *Pocałunku Rodina*, ponieważ:

A. *Ich miłość jest wieczna, a ich połączone dusze będą żyły w romantycznym uścisku aż do końca świata.*

B. *Fu i ja byliśmy niemal pewni, że księżna DSiZWCSR (dostanie szalu i zabije wszystko, co się rusza), gdy się dowie o naszym planie przemiany Zwierzaków z powrotem w ludzi.*

C. *Po prostu lubimy patrzeć na swoich przyjaciół, nagich i brązowych, bo to nas kręci.*

D. *Nie wierzę, że wybrałaś „C”. Powinieneś sobie wytatuować na czole wielkie „0”, żeby ludzie nie tracili czasu i od razu wiedzieli, jakim jesteś zerem! Myślisz, że potrzebujemy z Fu jakichś zboczonych gier, żeby pobudzić nasz orgazmiczny, wyginający palce u nóg uduchowiony seks. Wierz mi, słońce płacze, bo nigdy nie osiągnie palącego gorąca naszego bzykania.*

3. Wbrew mitom, rozpowszechnianym przez zazdrosnych mieszkańców dnia, nosferatu są wrażliwe tylko na działanie:

A. *Czosnku (jasne, bo pizza i oddech wegan dławi ich prastare moce).*

B. *Krzyży i święconej wody (no pewnie, bo słudzy najmroczniejszego zła to totalni poddani dzieciątka Jezus).*

C. *Srebra (mhm, i jeszcze aluminium, to by miało sens).*

D. *Światła słonecznego.*

4. Najważniejsze zadanie moje i Fu, jako pomagierów, to ochrona naszych mrocznych panów, księżnej i lorda Flooda, przed:

A. *Gliniarzami, zwłaszcza inspektorem Riverą i przyglupim, gejowskim, misiowatym partnerem Cavuto.*

B. *Starym, zgrzybiałym wampirem i jego świtą tajemniczych, modnych wampów.*

C. *Zwierzakami, nocną zmianą naspawanych nierobów z Safewayu Marina.*

D. *Wszystkimi powyższymi i nie tylko.*

5. Nasza największa szansa na pokonanie Cheta, dużego ogolonego kota-wampira, to:

A. *Myszy ninja.*

B. *Mocny uścisk w odlotowej skórzanej kurtce z diodami UV, którą dla ochrony zmajstrował mi wyżej wymieniony władca mojej cipki, Fu.*

C. *Miseczka tuńczyka z dodatkiem krwi, środków uspokajających i smaku kociego tyłka. Jeszcze w jego poprzedniej, śmiertelnej postaci zaobserwowałam, że Chet uwielbia smak kociego tyłka).*

D. *Zrobienie rottweilera-wampira, który wstrząśnie Chetową wizją świata.*

E. *Albo B, albo C, ale na pewno nie D. Tres fajne byłoby A, nie? Myszy ninja!*

Odpowiedzi:

1: D

2: B

3: D

4: D

5: E

Każda prawidłowa odpowiedź to jeden punkt.

Wyniki:

5. *Zajebicie mnie kręcisz.*

4. *Frajer!*

5. *Tres frajer!*

2. *Taki frajer, że nawet frajerzy ci współczują.*

0-1. *Oszczędź nam swojego zaraźliwego frajerstwa. Jak będziesz przechodził jakimś mostem, skocz.*

3

SAMURAJ Z JACKSON STREET

TOMMY

Po przybyciu do San Francisco, Tommy Flood dzielił pokój wielkości szafy z pięcioma Chińczykami. Wszyscy nazywali się Wong i chcieli wziąć z nim ślub.

–To okropne. Człowiek czuje się jak zapakowany w pudełku z kurczakiem kung pao na wynos – powiedział wtedy Tommy, chociaż wcale tak nie było.

Po prostu starał się używać barwnego języka, bo uważał to za swój obowiązek jako pisarza, ale pokój naprawdę był bardzo ciasny i mocno pachniał czosnkiem oraz spoconymi Chińczykami.

–Myślę, że chcą mnie bzyknąć w kakałko – stwierdził Tommy. – Jestem z Indiany, tam się nie robi takich rzeczy.

Jak się jednak okazało, ci chińscy kolesie też nie robili takich rzeczy, ale byli bardzo zainteresowani uzyskaniem zielonych kart.

Na szczęście, ledwie tydzień później, na parkingu przed Safewayem Marina, gdzie Tommy pracował na nocną zmianę, spotkał przepiękną rudowłosą kobietę, która nazywała się Jody Stroud i wybawiła go z uwięzienia z Chińczykami, dając mu miłość, ładne mieszkanie na poddaszu i nieśmiertelność. Na nieszczęście, nieco ponad miesiąc później, ich pomagierka, Abby, pokryła ich warstwą brązu, gdy spali, i pewnej nocy Tommy zbudził się i odkrył, że, pomimo swojej wielkiej siły wampira, nie może ruszyć żadnym mięśniem.

–Już bym wołał być zamknięty w pudełku z kurczakiem kung pao na wynos – powiedziałby Tommy, gdyby mógł powiedzieć cokolwiek, a nie mógł.

Tymczasem, tuż obok niego, w tej samej brązowej skorupie, jego ukochana Jody unosiła się w stanie snu, co stanowiło efekt uboczny zdolności do przemiany w mgłę, sztuczki, której nauczył jej Elijah Ben Sapir, jej wampirzy stwórca. Za dnia, śpiąc jak zabita, a nocą unosząc się w świecie snów, mogła przetrwać w posągu całe dziesięciolecie. Tommy jednak nie nauczył się przemieniać w mgłę. Nie było na to czasu. Zatem z nadejściem zmierzchu, jego wampiryczne zmysły włączały się niczym neon i doświadczał każdej sekundy uwięzienia z elektryczną intensywnością, od której niemal wibrował w tej skorupie – drapieźnik alfa,

chodzący w kółko po klatce swojego umysłu i tracący rozum. Ma się rozumieć, zrobił jedyne, co mógł zrobić – zaczął jak szalony wyć do księżyca.

CHET

Chet musiałby wylizać chyba całą milę kociego tyłka, by pozbyć się z pyska smaku policjantki parkingowej, ale był na to gotów. Kilka razy przekopał tylnymi nogami pył, który był szczątkami funkcjonariuszki, i ruszył przez ulicę do zaułka, gdzie się zabrał do zabijania smaku człowieka.

Minął dopiero miesiąc z małym okładem, odkąd stary wampir przemienił Cheta, ale kot tracił już pamięć o swojej dawnej postaci. Kiedyś spędzał dni przy Market Street, drzemiąc obok Williama, bezdomnego, który zarabiał na życie za pomocą plastikowego kubka oraz napisu **JESTEM BIEDNY I MAM DUŻEGO KOTA**. Chet był faktycznie wielki i choć na jego rozmiary w znacznej części składała się sierść, osiągnął masę szesnastu kilogramów na diecie z nadgryzionych hamburgerów i frytek, które dawali mu przechodnie przed McDonalodem.

Teraz Chet polował nocą, atakując niemal każde stałocieplne stworzenie, jakie napotkał: szczury, ptaki, wiewiórki, koty, psy, a czasem nawet ludzi. Z początku byli to tylko pijacy i inni bezdomni, a za pierwszym razem, gdy jednego z nich wyssał – swojego dawnego przyjaciela Williama, który na jego oczach zmienił się w pył, Chet zawył, uciekł i schował się pod śmietnikiem na resztę nocy i cały następny dzień. Nie było w nim żalu, tylko głód i ekscytacja przyływem krwi. Było to coś więcej niż satysfakcja z zadania śmierci, coś czysto seksualnego, coś, czego nigdy nie doznał jako normalny kot, jako że został wysterylizowany w schronisku jeszcze jako kocię. Podobnie jak przemienieni ludzie, odkrył jednak, że wraz z prędkością, siłą i zmysłami, znacznie czulszymi niż nawet u człowieka-wampira, otrzymał fizyczną doskonałość. Innymi słowy, jego sprzęt działał.

Przekonał się, że wkrótce po zabójstwie rozpaczliwie potrzebuje coś przelecieć, a im bardziej to coś się wierci i kwili, tym lepiej. Pośród odorów autobusowych spalin, gotowanego jedzenia i skąpanych uryną chodników, które przesycaly miasto, wychwycił zapach samicy w rui. Może znajdowała się półtora kilometra od niego, ale on, dzięki swoim wyostrzonym zmysłom z pewnością ją znajdzie.

Fala podniecenia przeszła mu po kręgosłupie pod sierścią, która odrosła od czasu, gdy ludzie go ogolili, parzyli się na jego oczach i pili jego krew, co stanowiło traumę dla jego umysłowości kociaka, zanim stał się wampirem, i pożywką dla zupełnie nowego uczucia, które wykształciło się u niego, odkąd nim został: zemsty. Po przemianie bowiem zyskały nie tylko jego zmysły. Jego mózg, który wcześniej funkcjonował w pętli „jeść-spać-srać, czynności powtórzyć”, teraz nabral zupełnie nowej świadomości, stawał się obszerniejszy, w miarę jak Chet rósł. Ważył teraz dobre dwadzieścia siedem kilogramów, a inteligencją z grubsza dorównywał psu, choć przedtem był mniej więcej tak mądry jak cegła. Pies. Znienawidzony. W powietrzu był pies. Zbliżał się. Czuł jego woń... Nie, ich – dwóch. A teraz jeszcze je usłyszał. Przerwał mycie tyłka i zaskrzeczał niczym rażony prądem ryś. W odpowiedzi okolica rozbrzmiała niosącym się echem chóru tuzina innych kotów-wampirów.

CESARZ

–Spokojnie, chłopcy – powiedział Cesarz. Położył dłoń na karku golden retrievera i podrapał pod brodą boston teriera, który wiercił się w wielkiej kieszeni jego płaszcza i wyglądał jak oszalały czarno-biały zmutowany kangur o wylupiastych oczach.

–Kot! Kot! Kot! Kot! Kot! – zaszczekał Bummer, rozbryzgując ślinę na dłoń Cesarza. – Kot! Morderstwo, ból, ogień, zło, kot! Nie czujesz? Wszędzie! Muszę gonić, gonić, gonić, gryźć, gryźć, gryźć, puść mnie, szalony, obojętny starcze, próbuję cię ratować, na miłość boską, KOT! KOT! KOT!

Niestety, Bummer mówił tylko po psiemu, i choć Cesarz widział, że terier jest zdenerwowany, to nie miał pojęcia dlaczego. (Każdy, kto tłumaczy z psiego, wie, że tylko mniej więcej jedna trzecia z tego, co mówił Bummer, w ogóle cokolwiek znaczyła. Reszta to był jedynie hałas, który musiał robić. Z ludzką mową jest podobnie). Lazarus, golden retriever, który przez ostatnie dwa miesiące raz po raz walczył z wampirami i z natury był łagodny, podszedł do całej sprawy znacznie spokojniej, lecz mimo skłonności Bummera do przesadnych reakcji, musiał przyznać, że zapach kota mocno wisiał w powietrzu, a jeszcze większy niepokój budził fakt, że nie był to po prostu zapach kota, lecz martwego kota. Martwego kota, który chodził. Zaraz, co to? Nie kot – koty. O, niedobrze.

–Ma rację co do kota – warknął Lazarus, trącając nogę Cesarza. – Powinniśmy się wynieść z tej okolicy, może przejść się na North Beach i zobaczyć, czy ktoś wyrzucił kawałek suszonej wołowiny albo coś. Chętnie zjadłbym suszoną wołowinę. Możemy też zostać i zginąć. Wszystko jedno. Ja się dostosuję.

–Spokojnie, żołnierze – powiedział Cesarz, świadomy już tego, że coś nie gra.

Przyklęknął, a jego kolana zaskrzypiały niczym zardzewiałe zawiasy. Rozejrzał się, ugniatając miejsce między uszami Bummera, jakby szykował się do robienia ciastek z psiego mózdzku. Był olbrzymim, kudłatym mężczyzną, kojarzącym się z burzą z piorunami – szeroki w barach, siwobrody, bystry i zażarcie wierny ludowi swojego miasta. Mieszkał na ulicach San Francisco odkąd pamiętano i, choć turyści widzieli w nim obdartego bezdomnego nieszczęśnika, miejscowi uznawali go za stały element miasta, chodzący zabytek, duszę i świadomość, i większość traktowała go z szacunkiem należnym władcy, mimo że był szaleńcem.

Ulica była opustoszała, ale pół przecznicy dalej Cesarz dostrzegł trójkołowy wózek funkcjonariusza policji San Francisco, stojący za nieprawidłowo zaparkowanym audi. Światło obracających się żółtych kogutów goniło po okolicznych budynkach niczym pijane, zakażone żółtaczką Dzwoneczki z *Piotrusia Pana*, ale w zasięgu wzroku nie było żadnego policjanta.

–Dziwne. Ta dziewczyna powinna pracować już od dawna. Może należy *to* sprawdzić, panowie.

Zanim zdołał wstać, Bummer wyskoczył mu z kieszeni i pognał w stronę wózka, przygrywając sobie do szarży staccatem wściekłych szczeków. Lazarus puścił się za czarno-białą futrzastą rakieta, a starzec ruszył za nimi, tak szybko, jak pragnęły go ponieść potężne, dotknięte artretyzmem nogi.

Zobaczyli Bummera po drugiej stronie audi. Parskał i niuchał w pustym policyjnym mundurze, pokrytym drobnym szarym pyłem. Oczy Cesarza otworzyły się szeroko. Cofnął się i oparł o ogniotrwałe drzwi jednego z industrialnych budynków z poddaszami stojących wzdłuż ulicy. Znał ten widok. Wiedział, co oznacza. Gdy ponad miesiąc temu zobaczył, jak stary wampir

wraz ze swoim towarzystwem wsiada na ogromny jacht, sądził, że miasto jest już wolne od krwio pijców. Co teraz?

Z policyjnego wózka dobiegły elektryczne trzaski: radio. Odebrać. Ostrzec poddanych przed niebezpieczeństwem. Podeszedł do pojazdu, przez chwilę majstrował przy klamce drzwiczek, a potem sięgnął po mikrofon.

– Halo – powiedział do urządzenia. – Mówi Cesarz San Francisco, Cesarz San Francisco, protektor Alcatraz, Sausalito i Treasure Island. Chciałbym zgłosić wampira. – Radio dalej trzeszczało i odległe głosy, nie przerywając sobie, niosły się po eterze niczym widma.

Lazarus stanął przy boku starca i zaszczekał zawzięcie:

– Musisz nacisnąć guzik. Musisz nacisnąć guzik.

Niestety, choć szlachetny retriever rozumiał angielski, to mówił tylko po psiemu, Cesarz zatem nie pojął polecenia.

– Guzik! Guzik! Guzik! Guzik! – zawtórował Buramer, skacząc przed policyjnym wózkiem. Popędził do drzwiczek i wskoczył mężczyźnie na kolana, by mu pokazać.

– Tak, to pomoże – warknął z sarkazmem Lazarus. Golden retrievery nie są rasą, która wyróżnia się sarkazmem, i poczuł się trochę zawstydzony, a także, no cóż, koci, gdy użył tego tonu. – Dobra. Guzik! Guzik! Guzik! Oj.

– Guzik! Guzik! Guzik! Co „oj”? – zaszczekał Bummer.

Krótkie warknięcie retrievera.

– Kot.

Lazarus wydał z siebie niski pomruk i położył uszy.

Cesarz zobaczył dwa koty zbliżające się chodnikiem. Nie wyglądały zbyt naturalnie. Ich oczy, w których odbijały się światła wózka, przypominały rozżarzone węgle.

Rozległ się pisk i dwa kolejne koty pojawiły się po drugiej stronie ulicy. Lazarus odwrócił się do nich z warkotem. Z tyłu rozległ się chór syków. Cesarz spojrział w lusterko i zobaczył trzy kolejne koty.

– Szybko, Lazarus, do wózka. Hop, piesku, do wózka.

Pies kręcił się teraz w kółko, próbując patrzeć na wszystkie koty jednocześnie, ostrzegając je odsłoniętymi zębami i zjeżoną sierścią. Koty jednak dalej nadchodziły, obnażając zęby.

– No już – powiedział Cesarz do mikrofonu.

Coś wylądowało ciężko na dachu wózka i Bummer zaskamlał. Po kolejnym loskocie starzec obejrzał się i zobaczył w skrzyni ładunkowej dużego kota, który wsparł się na tylnych łapach i próbował drapać tylną szybę. Mężczyzna z przerażeniem otworzył drzwi.

– Uciekaj, Lazarus, uciekaj!

Lazarus chwycił pierwszego kota zębami i potrząsał nim zaciekle, gdy reszta opadła go ze wszystkich stron.

STEVE

–Kroi się plugawe gówno, Fu – powiedziała Abby. – Przywieź przenośne słońce i usmaż te wampiryczne kotki, zanim wszamią wszystkich dookoła.

Steven „Pies Fu” Wong nie miał pojęcia, o czym mówi jego dziewczyna Abby, i nie był to pierwszy raz. Właściwie, na ogół nie miał pojęcia, o czym ona mówi, nauczył się jednak, że jeśli zdobędzie się na cierpliwość, będzie słuchał, a co najważniejsze, będzie się z nią zgadzał, może się spodziewać bezlitosnego seksu, który lubił, a czasami nawet coś zrozumie. Stosował tę samą strategię wobec swojej babki ze strony matki (tyle że bez seksu), która mówiła nieznanym, wiejskim dialektem kantońskiego, dla niewtajemniczonych brzmiącym tak, jakby ktoś tłukł kurę na śmierć za pomocą banjo. Wystarczyło poczekać, by wszystko stało się jasne. Tym razem jednak Abby, której ton przechodził zwykle od tragicznego romantyzmu do namiętnej pogardy, mówiła z większym naciskiem i numer z cierpliwością nie mógł zdać egzaminu. Jej głos w bezprzewodowej słuchawce powodował, że Steve czuł się tak, jakby jakaś złośliwa nimfa gryzła go w ucho.

–Jestem zajęty, Abby. Będę w domu, jak tylko z tym skończę.

–Teraz, Fu. Tu jest cała grupa, stado czy... Jak się nazywa banda kotków?

–Brygada? – podsunął Fu.

–Palant!

–Palant kotków? Tak, jasne, to może być to. Stado lwów, chmara wron i...

–Nie. Ty jesteś palant! Tu jest banda kotów-wampirów, które zaraz zeżrą na ulicy tego stukniętego Cesarza i jego psy. Musisz przyjechać i ich uratować.

–Banda? – Steve z trudem próbował ogarnąć tę wizję. Niedawno pogodził się z wizją jednego kota-wampira, ale cała banda to, cóż, więcej niż jeden. Brakowało mu paru miesięcy do dyplomu z biologii w wieku dwudziestu jeden lat. Nie był palantem. – Zdefiniuj bandę.

–Dużo. Nie mogę ich policzyć, bo ścigają tego golden retrievera.

–A skąd wiesz, że to wampiry?

–O, pobrałam próbki krwi, przepuściłam przez tę twoją wirówkę, przygotowałam szkiełka i obejrzałam pod mikroskopem strukturę komórek krwi, no nie?

–Nie – odparł. Kiepsko radziła sobie z biologią na poziomie szkoły średniej i na pewno nie mogła przygotować próbek krwi. A poza tym...

–Jasne, że nie, młotku stolarski, wiem, że to wampiry, bo ścigają golden retrievera i bezdomnego kolesia, który schował się w wózku unicestwionej policjantki. To nie jest normalne kocie zachowanie.

–Unicestwionej policjantki?

–Tej, którą zjadł Chet. Wyssał ją na proch. No już, Fu, włącz to swoje słońce na maksa i przywieź tu swój smakowity tyłek ninja.

Steve wyposażył bagażnik swojej hondy civic w mocne reflektory UV, za pomocą których błyskawicznie usmażył sporo wampirów, dzięki czemu uratował Abby i pierwszy raz w życiu miał dziewczynę i kogoś, kto uważał go za fajnego gościa.

–Nie mogę przyjechać od razu, Abby. Nie mam promieni w samochodzie.

–O, kurwa, mój Boże, jakiś mały staruszek z laską wychodzi z bocznej uliczki. No to po nim. Kurwa!

–Co?

- Kurwa!
- Co?
- O, kurwa!
- Co? Co? Co?
- Niech mnie, kurwa, kucyk na patyku!
- Abby, musisz wyrażać się konkretniej.
- To nie jest laska, Fu, to miecz.
- Co?
- No już, Fu. Przywieź słońce.
- Nie mogę, Abby. Mam samochód pełen szczurów.

CESARZ

Cesarz patrzył z przerażeniem, jak koty skaczą na grzbiet jego szlachetnego kapitana, Lazarusa. Golden retriever zatrząsł się gwałtownie, strącając dwa z nich, ale dwa kolejne zajęły ich miejsca, a jeszcze trzy wskoczyły na tamte, niemal obalając Lazarusa na ziemię. Nie były jednak stadnymi łowcami, i gdy któryś ruszał do psiego gardła, spychał jednocześnie innego, który, spadając, darł pazurami zarówno drapieżcę, jak i ofiarę.

Krew obryzgała szybę policyjnego wózka. Bummer skakał po wnętrzu maleńkiej kabiny, czekał, warczał i rzucał się na szybę, pokrywając wszystko psią śliną.

–Uciekaj, Lazarus, uciekaj! – Cesarz tłukł w szybę, a po chwili przycisnął do niej czoło i próbował odegnąć lzy udręki i rozpacz. – Nie!

Nie zrobi tego. Nie będzie patrzył na rzeź przyjaciela. Przypominającego bojler starca ogarnęło oburzenie, które zgęstniało w odwagę. Zmagał się z oporną klamką, kiedy połowa kota uderzyła w boczne okno i zsunęła się, ciągnąc za sobą smugę krwi.

Klamka złamała mu się w ręce i cisnął ją na podłogę wózka. Bummer natychmiast ją zaatakował i złamał ząb o metal. Przez mgielkę krwistych rozbryzgów Cesarz widział na ulicy inną postać. Chłopak – nie, mężczyzna, ale mały, Azjata – we fluorescencyjnym pomarańczowym kapeluszu i skarpetkach, luźnych spodniach w kratę, wyglądających jak przeniesione z lat sześćdziesiątych, i w szarym rozpinanym swetrze. Drobnym mężczyzną dzierżył samurajski miecz i szybkimi cięciami raz po raz opuszczał ostrze na Lazarusa. Zanim jednak Cesarz zdążył krzyknąć, stwierdził, że klinga nawet nie muska sierści retrievera. Po każdym uderzeniu jeden z kotów spadał, bezgłowy albo przecięty na pół. Obie połowy wily się na chodniku.

W ruchach szermierza nie było młynków ani ozdobników, jedynie ponura skuteczność, jak u kucharza siekającego warzywa. Gdy cele się przemieszczały, wykonywał obrót i podchodził na tyle, by zadać cios, po czym cofał klingę i słał ją do następnego adresata.

Gdy z jego grzbietu zniknęły ciężar i furia, Lazarus rozejrzał się i zaskamlał, co należy przełożyć jako: „Cooo?”.

Szermierz był nieustępliwy: ciach, krok, ciach, krok. Dwa koty wyszły na niego spod volvo, a on szybko się cofnął i zatoczył mieczem szybki, niski łuk, przypominający nieco uderzenie kijem golfowym, a ich głowy poleciały z powrotem ponad samochodem i odbiły się od metalowych drzwi garażowych.

–Z tyłu! – ostrzegł Cesarz.

Było za późno. Atak wytrącił szermierza z równowagi – ciężki kot syjamski skoczył z dachu furgonetki po drugiej stronie ulicy i wylądował mu na plecach. Długi miecz był bezużyteczny przy tak krótkim dystansie. Szermierz skulił się z bólu, a zwierzę zaczęło się wspinać, wczepione pazurami w jego plecy. Mężczyzna obrócił się, po czym wierzgnął nogami i ciężko padł na plecy, ale kot zniósł uderzenie i zatopił kły w ramieniu szermierza. Pół tuzina kotów-wampirów wybiegło spod samochodów w jego stronę.

Lazarus, z sierścią zmatowiałą od krwi, chwycił jednego z kotów za tylną łapę i wbił zęby do kości. Kot krzyczał i wił się w szczękach retrievera, próbując wydrapać mu oczy. Inne rzuciły się na mężczyznę z kłami i pazurami.

Cesarz uderzył ramieniem w pleksiglasowe drzwi wózka, nie było jednak miejsca na ruch, na zyskanie impetu, i choć cały pojazd zakołysał się i przechylił na dwa koła pod jego ciężarem,

drzwi nie chciały puścić. Patrzył z przerażeniem, jak szermierz wije się pod napastnikami.

Usłyszał, jak ciężkie ogniotrwale drzwi uderzyły o cegły i światło wylało się przez chodnik na ulicę. Zza drzwi wybiegła chuda, nieprawdopodobnie blada dziewczyna o lawendowych kucykach w różowych butach motocyklowych, różowych siatkowych pończochach, zielonej plastikowej spódnicy, okularach przeciwsłonecznych, z gumką i w czarnej skórzanej kurtce, która wyglądała jak nabijana szkłem. Zanim zdążył ją ostrzec, wypadła na ulicę i krzyknęła:

–Jebane kotki, macie wypierdalać!

Atakujące szermierza koty-wampiry uniosły wzrok i syknęły, co w tłumaczeniu z kocio-wampirzego oznaczało „cooo?”.

Pobiegła prosto w stronę mężczyzny, wymachując rękami, jakby płoszyła ptaki albo suszyła jakiś szczególnie uparty lakier do paznokci, a przy tym krzycząc jak wariatka. Koty skupiły uwagę na niej i przycupnęły, szykując się do skoku, i w tym momencie jej kurtka rozbłysła niczym słońce. Rozległ się zbiorowy pisk agonii, gdy na całej ulicy koty i fragmenty kotów zaczęły dymić, a potem zajęły się ogniem. Płonące koty gnały do zaułka po drugiej stronie ulicy albo próbowały chować się pod samochodami, ale chuda dziewczyna biegła za nimi, skacząc to tu, to tam, dopóki wszystkie koty się nie zapaliły, a potem nie zmieniły w bulgoczącą kałużę sierści i brei, a na koniec w stosik drobnego popiołu.

Po niecałej minucie na ulicy znów panował spokój. Światelka na kurtce dziewczyny zgasły. Szermierz dźwignął się na nogi i z powrotem włożył pomarańczowy kapelusz. Ze skaleczeń na plecach i rękach leciała mu krew, plamy krwi widniały też na kraciastych spodniach i pomarańczowych skarpetkach, nie sposób jednak było stwierdzić, czy krew należała do niego, czy do kotów. Stał przed chudą dziewczyną i głęboko się uklonił.

–*Domo arigato* - powiedział, nie odrywając wzroku od swoich nóg.

–*Dozo* – odparła dziewczyna. – Twoje umiejętności zabijania kotków są, jeśli mogę to powiedzieć, gówniane.

Tamten uklonił się znowu, krótko i płytko, po czym odwrócił się i poczłapał ulicą, by zniknąć w zaułku.

Lazarus szorował pleksiglasowe drzwi policyjnego wózka poduszkami łap, jakby polerował sobie drogę do uwolnienia swojego pana. Abby podrapała go po nosie, właściwie jedynej części ciała niepokrytej krwią, i otworzyła drzwi.

–Hej – powiedziała.

–Hej – odrzekł Cesarz.

Wysiadł z pojazdu i rozejrzał się dookoła. Ulica była umazana krwią na długości kilkudziesięciu metrów i poznaczona kopczykami popiołu, tu i ówdzie wały się też osmalone obróżki przeciwpcelne. Zaparkowane samochody pokrywała czerwona mgiełka, nawet lampki bezpieczeństwa nad niektórymi drzwiami przeciwpożarowymi były uwalane posoką. Kwaśny dym ze spalonych kotów wisiał w powietrzu, a na chodniku tłusty szary popiół wylewał się z rękawów i kołnierzyka munduru policjantki.

–Czegoś takiego nie widuje się co dzień – stwierdził Cesarz, gdy zza rogu wytoczył się radiowóz, omiatając budynek czerwono-niebieskim światłem.

Samochód zatrzymał się i drzwi otworzyły się na oścież. Kierowca stanął za swoimi drzwiami z dłonią opartą na kolbie pistoletu.

–Co tu się dzieje? – zapytał, starając się skupić wzrok na Cesarzu i nie patrzeć na

otaczającego go ślady jatki.

–Nic – odparła Abby.

**ŻEGNAJ, GNIAZDKO MIŁOŚCI
Z PAMIĘTNIKA ABBY NORMAL,
triumfującej niszcycielki
kotków-wampirów**

Łkam, dąsam się i wylewam żale – powąchałam gorzki, różowy flamaster rozpacz, i lży z tuszem do rzęs znaczą moje policzki, jakby wepchnięto mi w oczy garść przeżutych, czarnych żelowych misiów. Życie to mroczna otchłań cierpienia, a ja jestem sama, oddzielona od mojego drogiego, słodkiego Fu.

Ale słuchajcie – totalnie skopałam tyłki gangowi kotków-wampirów. Zgadza się, kotków, czyli było ich wiele. Duży ogolony kot-wampir Chet nie przemierza już miasta sam, dołączyło do niego mnóstwo mniejszych i nieogolonych kotów wampirów, ale znaczną część z nich zmieniłam w kocie tosty za pomocą swojej odlotowej słonecznej kurtki. Dokładnie przed naszym poddaszem atakowały tego szalonego Cesarza i jego psy, a ja ich uratowałam, wybiegając na ulicę i zapalając światło.

Była to czysta techno-rzeźnia, wszędzie krew i mały Japończyk z samurajskim mieczem, który zrobił kotkom niezłe zygu-zygu, kiedy atakowały.

Wiem, co myślicie.

Ninja, proszę...

Wiem, OKMBZORRO! Samuraj w mieście bez frajerów!

Nie próbowałam nawet przekonać gliniarzy, kiedy przyjechali.

Zasunęli: „Co jest?”.

A ja na to: „Nic”.

A oni: „Co to wszystko znaczy?”. I pokazali krew, dymiący koci popiół i tak dalej.

Na to ja: „Nie wiem. Jego spytajcie. Ja tylko usłyszałam hałas i wyszłam, żeby sprawdzić”.

Spytali więc Cesarza, a on próbował opowiedzieć im całą historię, i to było błędem – w sumie to wariat, więc trzeba mu darować. Ale i tak wzięli go do samochodu i zabrali razem z psami, chociaż było totalnie oczywiste, że wiedzą, kto to, i po prostu zachowują się jak fiuty. Wszyscy znają Cesarza. Dlatego nazywają go Cesarzem.

No dobra, Fu przyjechał w końcu do domu, a ja rzuciłam mu się w ramiona i tak jakby obaliłam go na ziemię potężnym pocałunkiem z języczkiem, tak głębokim, że poczułam cynamonowo-tostowy smak jego duszy, ale potem strzeliłam mu z liścia, żeby nie uznał mnie za zdzirę. (Mordy w kubel, stanął mu).

I zasunął: „Przestań tak robić, nie uważam cię za zdzirę”.

A ja: „Tak? No to skąd wiesz, że dlatego cię strzeliłam, i gdzie ty, kurwa, byłeś, mój szalony, mangowłosy kochanku?”. Czasami najlepiej odwrócić sytuację i zadawać pytania, kiedy twoje argumenty są do dupy. Nauczyłam się tego na zajęciach z wprowadzenia do mass mediów.

Fu na to: „Byłem zajęty”.

A ja: „No to ominęła cię moja akcja z atakiem heroicznej wojowniczką”. Potem wszystko mu opowiedziałam i zasunęłam: „No i teraz jest mnóstwo kotów-wampirów. Co ty na to, kujonczku?”. To pieśzcotliwe słówko, którym nazywam Fu, odnosząc się do jego szalonych zdolności naukowych.

Odpowiedział: „No, wiemy, że musi nastąpić wymiana krwi między wampirem a ofiarą, zanim ta umrze, inaczej po prostu rozpada się w proch”.

A ja: „Czyli Chet jest na tyle mądry, że to wie?”.

Fu na to: „Nie, ale jeśli kot zostanie ugryziony, to co w naturalny sposób robi?”.

Odparłam: „Ej, ja tu zadaję pytania. Jestem twoim bossem, wiesz?”.

A Fu w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, tylko jedzie: „Odgryza się. Myślę, że Chet przemienia te inne koty przez przypadek”.

„Ale wyssał tę policjantkę, a ona się nie przemieniła”.

„Bo go nie ugryzła”.

No to ja: „Wiedziałam”.

A Fu: „Mogą być ich setki”.

A ja: „I Chet je tu przyprowadził. Do nas”.

A Fu: „Oznaczył to jako swoje terytorium, zanim stary wampir go przemienił. Uważa, że to jego miejsce. Na schodach ciągle śmierdzi kocimi sikami”.

Powiedziałam: „To nie wszystko”.

Fu na to: „Co? Co?”.

Wtedy ja totalnie pojechałam swoim głosem mrocznej pani: „Chet się zmienił. Jest większy”.

A Fu: „Może po prostu odrosła mu sierść”.

Ja na to bardzo złowieszczo: „Nie, Fu, jest dalej ogolony, ale zrobił się znacznie większy, myślę...”. Urwałam. Było to bardzo dramatyczne.

A Fu: „Mów!”.

Wtedy tak jakby zemdlalam mu w ramiona, cała emo. A on totalnie mnie złapał, jak przystało na mrocznego bohatera z wrzosowisk, lecz potem zniweczył romantyczny dramatyzm, bo polaskotał mnie i zasunął: „Mów, mów, mów”.

Więc powiedziałam, bo już mało brakowało, a bym się posikała, a to zupełnie nie moje klimaty.

„Chyba powinniśmy się martwić przemianą tego małego samuraja. To by nie było za dobre, bo koleś jest totalnie zajebisty, pomimo kompletnie kretyńskiego kapelusza i skarpetek”.

A Fu na to: „Gryzł je?”.

A ja: „Był cały obryzgany krwią kotów-wampirów. Może parę kropeł wpadło mu do ust. Lord Flood mówi, że przypadkiem przemienił tę niebieską dziwkę przez jeden pocałunek w zakrwawione usta”.

Fu odparł: „W takim razie musimy go znaleźć. Abby, możemy sobie nie poradzić. Potrzebujemy pomocy”. I głową wskazał posąg księżnej i lorda Flooda.

Ja na to: „Wiesz, co się stanie, jak ich wypuścimy?”.

A Fu: „Jody totalnie skopie nam tyłki”.

A ja: „*Oui, mon amour*, epickie kopanie tyłków *pour toi* i *moi*. Ale wiesz, co jest jeszcze gorsze?”.

No to Fu spytał: „Co? Co? Co?”. Bo francuski doprowadza go do szału.

Ja na to: „Ciągle ci stoi!”. Ścisnęłam go za wacka i pognałam do sypialni.

No dobra, Fu ganiał mnie parę razy po poddaszu i dwa razy dałam się złapać, na tyle długo, żeby zdążył mnie pocałować, zanim trzasnę go z liścia – no, wiecie dlaczego – i ucieknę. Byłam jednak gotowa dać mu do zrozumienia, że mogę się poddać jego męskiej słodkości, więc

powiedziałam: „Mógłbyś zmienić mnie w wampira, a ja użyłabym mrocznych mocy, żeby skasować te kociaki zagłady od Cheta”.

Fu na to: „Nie ma, kurwa, mowy. Za mało wiem”.

I wtedy ktoś zaczął łomotać do drzwi. I nie był to łomot w stylu „cześć, co słycać?”.

Brzmiało to raczej tak, jakby właśnie zaczęli wielką wyprzedaż łomotu do drzwi w dyskoncie z łomotami. Kup dwa, zapłać za jeden w Łomotoramie.

Wiem. CJK? Gdzie prywatność? Łomot do gniazdka miłości.

JODY

Czuła się jak w swojej klitce w firmie ubezpieczeniowej na długo przed przerwą obiadową, w pradawnych czasach, trzy miesiące temu, zanim stała się wampirem. Przy każdym zachodzie słońca budziła się na jakieś piętnaście sekund i wpadała w panikę, myśląc o głodzie i uwięzieniu, zanim udawało jej się siłą woli zmienić w mgłę i unosić pośród czegoś, co uważała za krwawy sen, w miłym, eterycznym oszłomieniu, które trwało aż do wschodu słońca, kiedy to jej ciało materializowało się w mosiężnej skorupie i z praktycznego punktu widzenia stawała się martwym mięsem aż do kolejnego zmierzchu. Ale mniej więcej pod koniec pierwszego tygodnia tych napadów paniki zorientowała się, że dotyka Tommy'ego. Był z nią w tej brązowej skorupie i w przeciwieństwie do niej nie mógł zmienić się w mgłę. Wiedziała, że powinna była go tego nauczyć, tak jak stary wampir nauczył ją, teraz jednak było za późno. Skoro nie miała wystarczającej swobody ruchów, by przekazać mu wiadomość alfabetem Morse'a, nie wspominając o głosie, to może zdoła jakoś połączyć się z nim telepatycznie. Kto wie, jakimi jeszcze dysponowała mocami, o których stary wampir zapomniał jej powiedzieć. Skupiła się, pchnęła, próbowała nawet posłać jakieś pulsacje w miejsca, gdzie stykała się ich skóra, ale w odpowiedzi uzyskała tylko wyraźną, urywaną, elektryczną panikę.

Biedny Tommy. Naprawdę tam był. Żywy i bezlitośnie świadomy. Próbowała do niego dotrzeć, aż nie mogła już znieść ciężaru własnego głodu i paniki.

Abby, jeśli kiedykolwiek się stąd wydostanę, twoja wąska dupa będzie moja, pomyślała przed przemianą w mgłę i błogosławieństwem ucieczki.

INSPEKTOR RIVERA

To nie było zabójstwo, ściśle rzecz biorąc, jako że brakowało ciała, tym niemniej funkcjonariuszka policji parkingowej zaginęła podczas czynności służbowych, a sprawa dotyczyła Cesarza i pewnej dzielnicy, pełnej zabudowań przemysłu lekkiego i artystycznych poddaszy na południe od Market Street, którą Rivera zanotował sobie w pamięci, gdyby coś się wydarzyło. A coś bez wątpienia się wydarzyło – tylko co?

Końcówką długopisu uniósł kołnierzyk pustego munduru, by sprawdzić, czy na chodniku pod spodem nie ma drobnego, szarego popiołu. I nie było. Wewnątrz munduru, na chodniku przy mankietach i kołnierzyku – tak. Ale nie na chodniku pod spodem.

–Nie widzę tu zbrodni – stwierdził Nick Cavuto, partner Rivery, który, gdyby był smakiem lodów, to gejowo-futbolowym z posypką. – Jasne, coś się tu stało, ale może to po prostu dzieciaki. Cesarz to bez wątpienia świr. Absolutnie niewiarygodny świadek.

Rivera wstał i rozejrzał się, patrząc na zalaną krwią ulicę, popiół, wciąż rozbłyskujące światła wózka policjantki, a potem na Cesarza i jego psy, które przyciskały nosy do tylnej szyby ich brązowego, fordowskiego sedana bez oznaczeń. Smakiem Rivery był niskotłuszczowy hiszpańsko-cyniczny w rożku od Armaniego.

–Mówi, że zrobiły to koty.

–No właśnie, to sprawa dla wydziału ochrony zwierząt. Wezwę ich. – Cavuto odstawił przedstawienie z otwieraniem telefonu komórkowego i wciskaniem guzików grubymi niczym kielbasa palcami.

Rivera pokręcił głową i znowu przykucnął nad pustym uniformem. Widział, czym jest ten pył, i Cavuto też to wiedział. Owszem, wymagało to paru miesięcy i wielu niewyjaśnionych

morderstw, a także widoku starego wampira, przyjmującego na siebie tyle strzałów, że zabiłyby cały pluton żołnierzy, który następnie przeżył, by zabić jeszcze kilka osób. W końcu jednak załapali.

–To nie były koty – stwierdził Rivera.

–Obiecali, że wyjadą – powiedział Cavuto, przerywając pokaz perkusyjnego wybierania numeru. – Ta straszna dziewczynka mówiła, że opuścili miasto. – „Oni”, czyli Jody i Tommy, którzy obiecali wyjechać z miasta i nigdy nie wrócić. – Cesarz powiedział, że widział, jak stary wampir wsiada na statek. Cała ich banda odpłynęła.

–Ale to absolutnie niewiarygodny świadek – zauważył Rivera.

–Na ogół. To nie...

Rivera uniósł palec, by go uciszyć. Umówili się, że nigdy nie będą używać słowa na „w” w obecności innych.

–Musimy się spotkać z tą okropną małą.

–Nieeee – jęknął Cavuto, po czym się zreflektował, że, wzięwszy pod uwagę jego wiek, wygląd i zawód, jęczenie z powodu perspektywy spotkania z nastoletnią dziewczyną jest trochę... Zachowywał się jak wielki dupek, ot co.

–Zmężniej, Nick, powiemy jej, że nie tylko ma prawo, ale i obowiązek milczeć. Poza tym wezwalem posilki.

–Chyba powinienem zostać w wozie z Cesarzem. Sprawdzić, czy pamięta coś jeszcze.

W tej samej chwili na miejscu przestępstwa wybuchło jakieś zamieszanie i odezwał się funkcjonariusz w mundurze:

–Inspektorze, ta kobieta chce przejść. Mówi, że musi się zobaczyć z córką, która tu mieszka.

– Wskazał ogniotrwale drzwi poddasza, gdzie mieszkała straszna dziewczyna ze swoim chłopakiem.

Atrakcyjna jasnowłosa kobieta przed czterdziestką, ubrana w prążkowany kitel, usiłowała się przepchnąć obok policjanta.

–Przepuść ją – powiedział Rivera. – Zobacz, Nick, anioł zstąpił, by cię chronić.

–O, Boże, chroń mnie przed jebanymi neohipiskami – powiedział gejowo-futbolowy z posypką.

DALSZE KRONIKI ABBY NORMAL,
NIESZCZĘSNEJ, NOCNEJ
 EMO-ZDZIRY O ZŁAMANYM SERCU

Proszę, któż to stoi przed moimi drzwiami, jeśli nie baronowa Upierdliwa, Matkobot, w towarzystwie tych nad wyraz pierdołowatych gliniarzy od zabójstw, Rivery i Cavuta.

No to mówię: „Jak cudnie. Czy przynieśliście pączki?”. Okazało się, że nie, więc CJK, po kiego przyprowadzać gliny? A Matkobot nawija: „Nie możesz tego robić, i co to za chłopak, i gdzie się podziewałaś, i nie masz prawa, i bla, bla, bla, odpowiedzialność, strasznie się martwiłam, jesteś okropna, okropna i zrujnowałaś mi życie tymi swoimi koturnami i piercingiem”.

Dobra, to nie były jej dokładne słowa, ale z grubsza oddałam sens. Patrząc z perspektywy czasu, może popełniłam błąd, przez dwa miesiące używając zagrywki „nocuję u Lily”, podczas gdy w istocie mieszkałam w swoim *tres* fajnym gniazdku miłości ze swoim tajemniczym kochankiem ninja. Postanowiłam więc odwrócić sytuację i zadawać pytania, zanim wpadnie w rytm objeżdżania mnie i zasypywania poczuciem winy.

No i jadę: „Jak mnie znalazłaś?”.

A ten ciemny, latynoski glina, wtrąca się i mówi: „Ja ją wezwałem”.

No to stanęłam z nim twarzą w twarz. No, twarzą w węzeł krawata, bo jest ode mnie wyższy. I krzyczę: „Nie do wiary, że mnie podkablowałaś. Jebany zdrajca!”.

A gliniarz robi się niemiły i mówi: „Nie jestem zdrajcą, bo nie stoję po twojej stronie, Allison”. Użył mojego imienia niewolnicy dnia, tylko żeby mnie wkurwić.

No to myślę sobie: Okej, gliniarzu, najwyraźniej wierzysz, że nic cię nie ruszy, i przed Matkobotem zgrywasz luzackiego twardziela, bo liczysz, że zrobi ci dobrze?

Wiem – rytuały godowe zgrzybiałych pierdzieli – rzygać się chce, nie?

Podchodzę do tego dużego gejońskiego gliny i nawijam łagodnym głosem małej dziewczynki: „Myślałam, że jesteśmy po tej samej stronie, bo... no, bo wiemy o nosferatu i pieniądzach, które zgarnęliście z jego kolekcji sztuki. Myliłam się? Jestem zdruzgotana”. I udawane omdlenie z ręką na czole. Chciałam trochę popłakać, ale nałożyłam tusz do rzęs na kształt kolców na bramie piekła i nie chciałam o tak wczesnej porze wyglądać jak szop, więc tylko pociągnęłam nosem. Wytarłam nos w rękaw dużego gejońskiego gliny.

A Mamstrum na to: „Co? Co? Nosferatu? Co? Pieniądze? Co?”.

A Rivera: „Przepraszam na chwilę, pani Green, musimy zamienić parę słów z Allison”.

No i Matkobot idzie do łazienki, ale ja mówię: „O, nie sądzę. Możesz poczekać na zewnątrz”. Albo coś w tym guście, bo nie chciałam, żeby zobaczyła wewnętrzne sanktuarium naszego gniazdku miłości, bo jest pielęgniarką i widok obroży, próbówek, wirówki i tak dalej mógłby doprowadzić ją do błędnych wniosków. (Fu i ja lubimy zabawę w szalonego naukowca w intymności naszego buduaru).

Więc mama wyszła na zewnątrz.

A Fu zasunął: „Mamy was, gnoje!”. Po czym odstawił żalostną imitację mojego kręcenia tyłkiem w tańcu zwycięstwa, a ja byłam jednocześnie wzruszona wsparciem i zażenowana jego tragicznym brakiem poczucia rytmu i gracji.

Rivera na to: „Allison, skąd wiesz o pieniądzach, starym wampirze, jachcie, i nie masz dowodów, i bla, bla, nie mogę się zdecydować, czy jestem dobrym, czy złym glina, czy dalej zgrywać twardziela, czy zesrać się w gacie, bo właśnie wzięłaś moje jaja w werbalny uścisk śmierci, bla, bla”.

A ja: „Wiem wszystko, glino...”. Mocno zaakcentowałam ostatnie słowo, bo wtedy obaj lekko się wzdrygają. „Macie wyjść i zabrać Matkobota do domu albo będę musiała ujawnić wasze gówniane występkę waszym szefom, i to nie w zabawny sposób”.

Ten latynoski glina był zupełnie wyluzowany, kiwał głową i się uśmiechał, co trochę zachwiało moją pewnością siebie. No i wyjechał: „Tak, Allison? Cóż, pan Wong ma dwadzieścia jeden lat, a ty nadal jesteś nieletnia, zatem, pomijając wiele innych spraw, możemy go zwinąć za pomoc w młodocianej przestępczości, porwanie i seks z nieletnią”. Zaplótł ręce na piersi, cały dumny: A masz, dziwko. Wielki boss.

Ja na to: „Masz rację, totalnie wykorzystuje moją niewinność. Fu, ty potworny zboku!”. Potem go strzeliłam z liścia, ale dla dramatyzmu, a nie dlatego, że mógłby mnie uznać za zdirę. „Mogłam się domyślić, kiedy kazałeś mi wygolić cipkę w kształt bobra!”.

A Fu: „Wcale nie!”.

„Zboczony i zbędny, nie sądzisz?” – zwróciłam się do dużego gejowskiego gliny, który nie poznałby cipki nawet gdyby podskoczyła do niego i odśpiewała „Gwiazdzisty sztandar”. (Zauważyliście, że poza „Gwiazdzistym sztandarem” mało co jest gwiazdziste? Tak tylko na marginesie). I zaczęłam podciągać spódnicę, żeby go jeszcze bardziej wystraszyć, jakbym chciała pokazać muszelkę, co było blefem, bo jestem przystrzyżona w kształt nietoperza i ufarbowana na lawendowo, i miałam na sobie swoje seksowne różowe siatkowe pończochy, które tak naprawdę są rajstopami i zakrywają mój sekret.

Ale zamiast zasłonić głowę i krzyknąć jak mała dziwka, do czego dążyłam, duży gejowski glina znalazł się w drugim końcu pokoju i w parę sekund zakuł Fu w kajdanki, mocno je zaciskając.

No i Fu krzyczał: „Au! Au! Au!”.

Aż serce mnie klęło na widok jego cierpienia, więc zasunęłam: „Puść go, faszystowski miśku”.

A Rivera na to: „Allison, musimy dojść do porozumienia albo twój chłopak pójdzie siedzieć, a nawet jeśli zarzuty zostaną obalone, będzie mógł się pożegnać z dyplomem”.

Zalotwiona! Musiałam opuścić spódnicę w geście porażki. Oczy Fu zrobiły się wielkie jak u bohatera anime i gwiazdziste od łez. Mój szlachetny kochanek ninja popatrzył na mnie błagalnie, jakby mówił: „Proszę, nie opuszczaj mnie, pomimo moich oczywistych emo-sklonności”.

No to mówię: „Damy wam sto tysięcy dolarów, żebyście wyszli z naszego gniazdka miłości, jakby nic się nie stało”.

A Rivera: „Nie interesują nas wasze pieniądze”.

A gejowski misiek: „Zaraz, a skąd w ogóle wzięliście taką forszę?”.

Na to Rivera: „Nieważne, Nick, tu nie chodzi o pieniądze”.

A ja: „OMB, Rivera, jako zły glina jesteś do dupy. Zawsze chodzi o pieniądze. Nie masz telewizora?”.

A on: „Co tam się stało dziś rano?”.

A ja: „Wiesz, kotki-wampiry, policjantka parkingowa wyssana na proch, samuraj w pomarańczowych skarpetkach, Abby ze swoim kung-fu i kopaniem tyłków promieniami słońca”. Potem do Fu: „Fu, ta kurtka to najbardziej pojechany szajs wszech czasów!”.

„To komplement” – przetłumaczył Fu gliniarzom.

Rivera na to: „Koty-wampiry? Właśnie to powiedział Cesarz”.

Dobra, stało się jasne, że gliny mają wątpliwości, więc opowiedziałam całą bitwę i teorię Fu o tym, jak Chet robi kotki-wampiry, i dodałam, że wszyscy mamy przesrane jak sto pięćdziesiąt, bo zbliża się koniec świata i w ogóle, w mieście są całe masy kotów i tylko dwie odlotowe kurtki słoneczne do smażenia wampirów, moja i Fu, a tymczasem zostaliśmy zatrzymani przez glabów z policji, zamiast ratować ludzkość.

Więc Rivera mówi: „A co z Floodem i tą rudą? Pomogłaś im, prawda?”.

Szacun dla Inspektora Oczywistego. Tylko mieszkamy na ich poddaszu, wydajemy ich forszę i wieszamy mokre ręczniki na ich pokrytych brązem ciałach. Zasunęłam: „Wyjechali. Wszystkie wampiry wyjechały. Nie gadaliście z Cesarzem? Chyba widział, jak wsiadają na statek w przystani?”.

„Cesarz nie jest zbyt wiarygodnym świadkiem” – odpowiada Rivera. „I nic nie mówił o tej dwójce, ale trudno mi uwierzyć, że kot, nawet kot-wampir, nawet banda kotów-wampirów mogła załatwić w pełni wyrośniętą policjantkę”.

Ja na to: „Chet nie jest zwykłym kotkiem-wampirem. Jest olbrzymi. Dużo większy niż normalny kot. I rośnie. Jeśli nie pozwolicie, żeby Fu wykorzystał swoje umiejętności szalonego naukowca i go wyleczył, za tydzień może się okazać, że Chet dyma Piramidę Transamerica”.

Fu kiwał głową jak mangowa kukielka. Powiedział: „Prawda”.

Na to ten duży gejowski glina, Cavuto: „Możesz to zrobić, chłopcze? Możesz zakończyć tę burzę?”.

„Absolutnie” – odparł Fu, chociaż totalnie nie ma pojęcia, jak złapać Cheta. „Potrzebuję trochę czasu, ale nie zdejmujcie kajdanek, bo lepiej mi się w nich pracuje”.

Fu potrafi być bardzo sarkastyczny wobec mieszkańców dnia, którzy nie dorównują mu inteligencją, czyli prawie wszystkich.

No dobra, Rivera złapał rękaw mojej kurtki i zaczął go wywracać z miną neandertalczyka, który odkrył ogień. I powiedział: „Możesz założyć coś takiego w sportowej kurtce skórzanej? Rozmiar czterdzieści, długa?”.

Ja na to: „Masz na mnie ochotę?”.

Lekko się zachłysnął (co było podłe) i odparł: „Nie. Na pewno nie mam na ciebie ochoty, Allison. Nie dość, że jesteś najbardziej irytującą mieszkanką tej planety, to jeszcze dzieckiem”.

A ja: „Dzieckiem?! Dzieckiem?! Czy one należą do dziecka?”. Podciągnęłam bluzkę i mu pokazałam. Nie tylko mignęłam, ale pokazałam w całej cyckowatej okazałości.

Nic nie powiedział. Więc odwróciłam się do Fu i dużego geja.

A oni: „Eee, hmm, eee, hmm...”.

Mówię: „*Et tu, Fu?*” Co u Szekspira znaczy mniej więcej: „Ty zdrajco!”.

Pobiegłam do sypialni i zamknęłam drzwi. Żałowałam, że nie wzięłam zakładnika, chociaż tak naprawdę moją jedyną bronią była kurtka pokryta świetlnymi brodawkami, więc stanowiłam zagrożenie tylko dla wampirów i emo, których uczucia łatwo zranić inteligentną krytyką. I tak

wpatrywałam się w mroczną otchłań bezsensu ludzkiej egzystencji, bo nic nie było w kablówce. Przeszukując głębie swojej duszy, stwierdziłam, że muszę przestać używać seksu jako broni i odtąd stosować swoją uwodzicielską moc tylko w dobrych celach, chyba że Fu chciałby zrobić coś pokręconego, a w takim wypadku mogę mu dać do podpisania rezygnację. Teraz rozumiem, że tylko w jeden sposób mogę właściwie wykorzystać swoją kobiecą siłę: muszę zostać nosferatu. A ponieważ księżna i lord Flood nie przyjmą mnie do bractwa, muszę sama znaleźć drogę do mocy krwi.

Po paru minutach Rivera stanął przy drzwiach z tekstem: „Allison, myślę, że powinnaś wyjść”.

A ja na to: „O nie, inspektorze, nie mogę otworzyć drzwi. Wzięłam te tabletki i wszystko faluje. Musicie je wyważyć”.

Wtedy zagadał Fu: „Abby, proszę, wyjdź. Potrzebuję cię”. Użył tonu w klimacie „jestem smutny, ranny, uwięziony w zamkowej wieży i straciłem swoje moce”, którego dotąd nie znałam, ale brzmiał tragicznie, musiałam więc wyjść i ukorzyć się przed gliniarzami, jak mała dziwka, mimo nowego postanowienia, by wykorzystać mroczny dar.

No to pytam: „Co?”.

A Rivera: „Allison, zawarliśmy porozumienie z panem Wongiem. Zostanie tutaj i popracuje nad rozwiązaniem problemu kotów. W zamian za to, że nie wniesiemy oskarżenia, żadne z was nie powie nikomu o naszych wcześniejszych... eee... przygodach z panem Floodem, panną Stroud czy innymi osobami ze skłonnością do picia krwi. Nie będziemy też wspominać o żadnych środkach finansowych, które mogły przejść z rąk do rąk, ani o tym, kto może wspomniane fundusze posiadać. Zgoda?”.

Ja na to: „Cudnie!”.

„Musisz też wrócić do domu i mieszkać z matką i siostrą” – ciągnął wredny latynoski gliniarz.

A ja: „Nie ma mowy!”.

Wszyscy trzej zaczęli kręcić głowami. A Fu, który nie miał już kajdanek, zasunął: „Abby, musisz z nimi iść. Ciągle jesteś nieletnia i twoja mama dostanie palmy, jeśli nie zaprowadzą cię do domu”.

„A jeśli tak się stanie, nie będziemy mieli innego wyjścia, jak tylko przymknąć pana Wonga” – powiedział Cavuto.

Fu na to: „Żeby się bronić, musielibyśmy powiedzieć o wszystkim. Więc wszyscy bylibyśmy udupieni, a tymczasem duży ogolony kot Chet zawładnie miastem, a w dodatku narazimy na szwank swój związek i w ogóle”.

Mówiąc „w ogóle”, miał na myśli, że stracimy miłosne gniazdko, nikt nie będzie się zajmował Tommym i Jody, a Fu będzie musiał zostać kochankiem ninja jakiegoś wielkiego faceta w więzieniu. Mieliśmy przesrane.

Powiedziałam: „Obwiniam swoją matkę”.

Podsunęłam nadgarstki Riverze, żeby mnie skuł.

A oni kiwali głowami, powtarzając: „Jasne”, i: „Mnie to pasuje”, i: „Tak, to dobre wyjście”.

Ale Rivera nie założył mi kajdanek.

Mówię: „Możemy mieć chwilę na pożegnanie?”.

Skinął głową, więc zaczęłam prowadzić Fu do sypialni.

Rivera na to: „Tutaj”.

No to rozpięłam Fu rozporek.

Cavuto złapał mnie za rękę i zaczął odciągać, więc musiałam dać Fu tylko małego pożegnalnego całusa, który musnął jego wargi niczym powiew z grobowca i zostawił mu na policzku smugę czarnej szminki.

Mówię: „Nigdy cię nie zapomnę, Fu. Mogą nas rozdzielić, ale nasza miłość przetrwa wieki”.

A on na to: „Zadzwoń, jak wrócisz do domu”.

A ja: „Napiszę SMS-a po drodze”.

A on: „Abby Normal, zajebicie mnie kręcisz”. Co było totalnie romantyczne. Rozplakałam się i mój tusz rozpuścił się w smutku.

Wtedy Cavuto powiedział: „Oj, do kurwy nędzy”. I zaczął wyprowadzać mnie za drzwi, ale odwrócił się do Fu i nawija: „Twoja ta tuningowana żółta honda na dole?”.

Fu na to: „Tak”.

A Cavuto: „Wiesz, że pełno w niej szczurów?”.

Fu na to: „Tak”.

Znalazłam się więc w niewoli u straszliwego Matkobota, a Fu musi sam zmierzyć się z zagrożeniem ze strony Cheta. Muszę lecieć, moja siostra Ronnie śpi i chcę namalować niezmywalnym flamastrem pentagram na jej ogolonej głowie. Nara.

RIVERA

Gdy już odstawili Abby Normal i jej matkę do mieszkania w Fillmore, Cavuto zagadnął:

–Wiesz, gdyby była ze mną Allison, kiedy przyznałem się ojcu, pewnie dużo lepiej by zrozumiał, czemu lubię facetów.

–Jeśli ofiary kotów-wampirów zmieniają się w pył, nie będą nawet zgłaszane, o ile ktoś nie zobaczy ataku – powiedział Rivera, mając nadzieję, że pociąg myśli Cavuta pojedzie na następną stację.

–Jest taka nieznośna – mówił Cavuto. – Jakby całą izbę wytrzeźwień w sobotnią noc wyladować paskudztwami, a potem zapakować w to jedno małe ciało.

–Może weźmiemy psa od trupów? – rzucił Rivera.

–Dobra, ale potem nie marudź, że w samochodzie śmierdzi. Ja chcę z chili i cebulą.

–O czym ty, kurwa, mówisz?

–O psach. Powiedziałeś, żeby zamówić zdechłego psa na obiad.

–Nic takiego nie mówiłem. Chodziło mi o psa, szkolonego do wyszukiwania trupów, żeby pomógł nam znaleźć ubrania ofiar.

–Aha – mruknął Cavuto, który nie chciał myśleć o wampirach. – Jasne, to ma sens. A na obiad może do Barney's Burgers?

–Ty stawiasz – odparł Rivera, otwierając nieoznakowanego forda i wsiadając do środka. Jechali osiem przecnic przez Fillmore Street w stronę Mariny, zanim Cavuto powiedział:

–Ma rację, wiesz? Jestem miśkiem.

Rivera założył okulary przeciwsłoneczne i przez kilka sekund poprawiał je na twarzy, by zyskać na czasie, zanim odpowie westchnieniem.

–Cieszę się, że postanowiłeś postawić sprawę jasno. Patrząc na twoją prawie dwumetrową, studwudziestokilową gejowską postać przez ostatnie czterdzieści lat, nigdy bym nie odgadł twojej prawdziwej tożsamości, biorąc pod uwagę mój tępy zmysł obserwacji detektywa od zabójstw.

–Ten sarkazm to główny powód, dla którego Alice od ciebie odeszła.

–Naprawdę? – zastanawiał się Rivera. Alice mówiła, że za dużo w nim policjanta, a za mało męża, miał jednak pewne podejrzenia co do jej zeznań.

–Nie, ale na pewno to też było na liście.

–Nick, czy przez cały czas, odkąd zostaliśmy partnerami, kiedykolwiek zasugerowałem, że chcę rozmawiać o twojej seksualności?

–Tylko jeśli wykorzystywałeś ją do zastraszania podejrzanych.

–A czy kiedyś proponowałem, że podzielę się z Alice szczegółami swojego życia seksualnego?

–Po prostu przyjąłem, że go nie masz.

–To tak naprawdę bez znaczenia. Mówię tylko, że nie przeszkadzasz mi taki, jaki jesteś.

–Znaczy supermęski?

–Jasne, niech ci będzie. Chociaż chciałem raczej powiedzieć: duży i kudłaty, a pełen lęku przed małymi dziewczynkami.

–No, nie można jej uderzyć, bo to dziecko – jęknął Cavuto.

Znaleźli miejsce na parkingu podziemnym blisko Barneys. Rivera stanął na miejscu z zakazem parkowania (bo było mu wolno) i zgasił silnik. Usiadł i popatrzył na ścianę przed nimi.

–Czyli koty-wampiry – powiedział Cavuto.

–Tak – potwierdził Rivera.

–Mamy przejebane – stwierdził potężny glina.

–Tak – potwierdził Rivera.

WAMPIRYCZNE PAPUGI Z TELEGRAPH HILL

W San Francisco żyje stado dzikich papug. Są to południowoamerykańskie konury krasnolice – jasnozielone, o czerwonych głowach, nieco mniejsze od typowego gołębia.

Nikt nie ma pewności, skąd się wzięły w mieście. Możliwe, że pochodzą od zwierząt schwytych w dżungli, a potem wypuszczonych, gdy się okazały zbyt dzikie, by trzymać je w domu. Latają nad północnym wybrzeżem San Francisco, żywiąc się owocami i kwiatami, od Presidio przy moście Golden Gate, przez Pacific Heights, Marinę, Russian Hill, North Beach, aż do Ferry Building w pobliżu mostu Oakland Bay. To towarzyskie, hałaśliwe, głupie ptaki, które łączą się w pary na całe życie i obwieszczają swoją obecność kakofonią pisków, które wywołują uśmiechy mieszkańców, zdumienie turystów i apetyt drapieżników, głównie mysołowów rdzawosternych i sokołów wędrownych.

Papugi nocują na drzewach Telegraph Hill, pod olbrzymim betonowym fallusem Coit Tower, zielonym baldachimem osłonięte przed atakami mysołowów, samą zaś wysokością przed niemal wszystkimi kotami, z wyjątkiem tych najambitniejszych. Mimo to, czasami bywają atakowane, i choć należą do łagodnych stworzeń, stawiają opór, uderzając swoimi grubymi dziobami, przystosowanymi do kruszenia ziaren.

I tak się właśnie stało.

Następnego dnia po tym, jak był świadkiem ataku kotów w dzielnicy SOMA, Cesarz San Francisco obudził się w gniazdku, które urządził sobie w jednym z ogródków na Telegraph Hill, i usłyszał krzyki papug na drzewach. Słońce właśnie wylaniało się znad horyzontu za mostem, malując wodę czerwienią i złotem pod błękitną poranną mgiełką.

Cesarz wypełził spod wykładziny podłogowej, wstał i przeciągnął się, a jego potężne stawy zaskrzypiały niczym stare wierzeje kościoła. Żołnierze – Bummer i Lazarus – wysunęli nosy spod szarej plachty, wciągnęli zapach świtu, a potem, z wołaniem papug, poddali się atmosferze poranka i wyłonili się niczym spieszne motyle, by znaleźć odpowiednie miejsce na pierwsze poranne siku.

Cała trójka obserwowała mniej więcej pięćdziesiąt papug, które okrążyły Coit Tower i ruszyły w stronę Embarcadero, gdzie nagle przestały lecieć, stanęły w płomieniach i niczym dymiący deszcz dogorywających komet spadły na Levi's Plaża.

–Czegoś takiego nie widuje się co dzień – stwierdził Cesarz, drapiąc przez bandaże uszy Lazarusza.

Retriever stał się psią wersją *Mumii*, owinięty od uszu do ogona bandażami po ostatnim spotkaniu z kotami-wampirami. Weterynarz z Mission chciał przetrzymać go u siebie do rana, ale pies nigdy nie nocował z dala od Cesarza, odkąd odnaleźli się nawzajem, a weterynarz nie miał kwatery dla zwalistego monarchy, nie mówiąc o przebojowym boston terierze, więc cała trójka przespała noc pod plachtą wykładziny.

Bummer prychnął, co z psiego tłumaczy się jako: „Nie podoba mi się to”.

Jak śpiewała sławna żaba, niełatwo być zielonym.

MGŁA SPŁYWA NA
MAŁE KOCIE ŁAPKI I W OGÓLE
FU

Wypasiona, śmigająca poślizgami honda Stephena „Psa Fu” Wonga była pełna szczurów. Nie całkiem pełna, fotel pasażera zajął Jared Biały Wilk, rezerwowo NP Abby. (A tak naprawdę NNP).

–Musiałeś wziąć same białe? – spytał Jared.

Miał niemal metr dziewięćdziesiąt, był bardzo chudy i bledszy od śmierci bzykającej śniegowego bałwana. Boki głowy miał ogolone, a pośrodku pysznił się nielakierowany irokez, który opadał mu na oczy, chyba że akurat Jared leżał na plecach i patrzył w górę. Oprócz sięgającego podłogi czarnego płaszcza cenobity z PCW, nosił właśnie czerwone, sięgające ud koturny „Skankenstein®”, należące do Abby, do czego miał pełne prawo jako jej aktualny NP. Fu niepokoiło nie to, że tamten włożył dziewczęce buty, lecz że były to buty dziewczyny o wyjątkowo małych stopach.

–Nie boli?

Jared odgarnął włosy z oczu.

–Jak powiedział Morissey: „Życie jest cierpieniem”.

–Zdaje się, że powiedział to Budda.

–Jestem prawie pewien, że Morissey był pierwszy. Jakoś w latach osiemdziesiątych.

–Nie, to był Budda.

–Widziałeś kiedyś obrazek Buddy w butach? – spytał Jared.

Fu nie mógł uwierzyć, że toczy tę dyskusję. Co więcej, nie mógł uwierzyć, że w niej przegrywa.

–Na górce mam parę nike’ów, które mogą na ciebie pasować, gdybyś chciał zmienić buty. Wylądujemy szczury. Muszę się wziąć do pracy.

Jared miał już na kolanach cztery plastikowe klatki, a w każdej z nich po dwa szczury, więc wygramolił się z hondy i chwiejnym krokiem podszedł na czerwonych koturnach do drzwi wiodących na poddasze.

–Nie próbuj malować ich na czarno – powiedział, patrząc na pleksiglasowe pojemniki, podczas gdy Fu otworzył mu drzwi. – Próbowałem tego ze swoim pierwszym kotem, Lucyferem. To była tragedia.

–Tragedia? – powtórzył Fu. – Nigdy bym się nie domyślił. Postaw je na podłodze w salonie. Jutro pożyczę z pracy ciężarówkę i kupię na nie jakieś składane stoły.

Oprócz starań o dyplom z biologii molekularnej, przychodzenia Abby z odsieczą, pracą nad wampirzym serum i tuningowaniem hondy, Fu nadal pracował na pół etatu w Stereo City, gdzie jego specjalnością było wmawianie ludziom, że potrzebują większego telewizora.

–Dalej masz tę pracę? – spytał Jared, zataczając się na schodach. – Abby mówiła, że macie od chuja forsy.

Dlaczego mu powiedziała? Miała nie mówić. Czy mówiła mu wszystko? Po co w ogóle miała przyjaciół? Dała Jaredowi pięć tysięcy dolarów z pieniędzy Tommy’ego i Jody, z okazji Chanuki – pomimo faktu, że żadne z nich nie było żydem.

„Bo nie pozwolę, żeby głównonurtowe społeczeństwo wrobiło mnie w główniane Boże Narodzenie z tym zombie, dzieciątkiem Jezus, ot co” – powiedziała wtedy. „I dlatego, że pomógł mi w opiece nad księżną i lordem Floodem, kiedy mieli kłopoty”.

–Muszę się maskować – wyjaśnił Fu. – Z przyczyn podatkowych.

Po części była to prawda. Musiał mieć tę przykrywkę, ponieważ, podobnie jak Abby, nie powiedział rodzicom, że się wyprowadził. Przywykli, że ciągle jest na uczelni, w laboratorium albo w pracy, i tak naprawdę nie zauważyli, że nie nocuje już w domu. Pomagał mu fakt, że miał czworo młodszego rodzeństwa, mającego szaleńcze terminarze pracy i nauki. Dla rodziców liczyła się tylko harówka. Dopóki harowałeś, byłeś w porządku. Z odległości paru kilometrów potrafili wyczuć harówkę albo jej brak. Mógł się wymknąć i mieszkać ze swoją upiornie seksowną dziewczyną, mógł prowadzić dziwaczne eksperymenty genetyczne na nieumarłych, gdyby jednak odszedł z pracy, natychmiast by to wyczuli.

Fu i Jared potrzebowali dwudziestu minut, by wnieść wszystkie klatki ze szczurami po schodach i porozstawiać w salonie.

–Nie zrobimy im krzywdy, prawda? – spytał Jared, podnosząc jedną z plastikowych klatek, by znaleźć się oko w oko z jej lokatorami.

–Zmienimy je w wampiry.

–O, super. Teraz?

–Nie, nie teraz. Na razie musisz je nakarmić i dopilnować, żeby w każdej klatce było poidelko – odparł Fu.

–Co potem? – spytał Jared, odgarniając włosy z oczu.

–Potem możesz iść do domu – odparł Fu. – Nie trzeba ich ciągle obserwować, dopóki nie zaczniemy eksperymentu.

–Nie mogę iść do domu. Powiedziałem rodzicom, że będę nocował u Abby.

Fu poczuł nagle przerażenie na myśl, że miałby spędzić noc na poddaszu z setką szczurów, dwoma wampirami w brzoje i Jaredem. Zwłaszcza z Jaredem. Może pójdzie do domu i zostawi Jareda ze szczurami – pojawi się u rodziców i zbije ich z tropu w kwestii swojego życia bez harówki, na poddaszu, z anglosaską dziewczyną.

–To możesz zostać tutaj – oznajmił. – Wrócę rano.

–Co z nimi? – Jared ruchem głowy wskazał pokryte brązem postacie Jody i Tommy’ego.

–Co z nimi?

–Mogę do nich mówić? Nie skończyłem opowiadać Jody swojej powieści. – Jared spędził bardzo długą noc na opowiadaniu Jody pierwszej części powieści, którą zamierzał napisać, erotycznego horroru, w którym występował on sam i jego szczur Lucyfer 2.

–Dobra – powiedział Fu.

Tak naprawdę nie lubił myśleć o tej dwójce ludzi – no, wampirów, ale wydawali się bardzo ludzcy – których pomógł uwięzić w brązowej skorupie. Takie myśli przyprawiały go o ciarki, co było w najwyższym stopniu nienaukowe.

–Ale bez dotykania – dodał.

Jared nadał się i usiadł na materacu, jedynym miejscu w całym połączonym z kuchnią salonie, które nie było pokryte plastikowymi klatkami z gryzoniami.

–Okej, ale pomożesz mi zdjąć te buty, zanim wyjdiesz?

Fu zadrżał. Nie minęła godzina, odkąd policjanci wyprowadzili Abby, a już mu jej brakowało,

jak odciętej kończyny. To budziło w nim wstyd. Jak hormony i ciśnienie hydrostatyczne mogły prowadzić do takich emocji? Miłość była bardzo nienaukowa.

–Przykro mi – powiedział. – Muszę lecieć. – Wiedział, że gdyby był prawdziwym bohaterem, o co oskarżała go Abby, pomógłby Jaredowi.

JARED

Abby Normal zaproponowała kiedyś, że opłaci Jaredowi tatuaż, który by głosił: „Uwaga. Nie podawać kofeiny bez nadzoru dorosłych”.

Jared pytał: „Może być czerwony? A musi być na czole? Może zrobię go sobie z boku, to będę mógł zapuścić włosy, jeśli przestanie mi się podobać. Czy jestem emo? Chcesz zagrać w „Bloodfeast” na Xboksie? W Urban Outfitters mają zielone futrzane pokrowce na Ipoda. Uwielbiam kawę z białą czekoladą. Powinni zaciągnąć Marylina Mansona na egzekucję cyrkowym samochodem. O kurwa, mam taką alergię na tę kredkę do oczu, że chyba się rozplaczę”.

–O mój Boże, przypominasz mi dziecko Upierdliwca i Nudziarza, poczęte w dupie.

–Co próbujesz powiedzieć? – spytał Jared.

Próbowała powiedzieć, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziała, że w żadnych okolicznościach nie można zostawiać Jareda samego w mieszkaniu z mnóstwem czasu i espresso, co właśnie zrobił Fu. A zatem, po nakarmieniu, napojeniu i nazwaniu wszystkich szczurów (większość otrzymała francuskie imiona z należącego do Abby egzemplarza *Kwiatów zła* Baudelaire’a) Jared zaczął parzyć espresso i po dziewięciu małych filiżankach postanowił odegrać dalszy ciąg swojej nienapisanej powieści przygodowej o wampirach, zatytułowanej *Mrok ciemności*, dla setki szczurów zamkniętych w plastiku i dwóch wampirów uwięzionych w brązie.

–I wtedy zła Królowa Krwi przywdziała swój chromowy przypinany wibrator śmierci i ruszyła za Lucyferem 2. Ale Jared Biały Wilk rzucił się na nią niczym tłusty dzieciak na babkę z kremem, parując jej ciosy swoim sztyletem śmierci, znanym jako Esz-Eś.

Jared wykonał piruet, czego nauczył się na lekcjach baletu w wieku sześciu lat, i ciał powietrze, nisko i szybko, swoim sztyletem o dwustronnym ostrzu, trzymany do tyłu, by przeciąć tętnicę udową wyobrażonej przeciwniczki, czego nauczył się z „Soul Assassin 5” na Xboksa (choć, nosząc koturny, było to trudniej zrobić niż w grze wideo). Sztylet był jak najbardziej prawdziwy, trzydzieści centymetrów dwusiecznej klingi ze stali węglowej i rękojeść w kształcie smoka. Jared nosił go, bo uważał, że wygląda na twardziela, kiedy bramkarze konfiskowali mu go w klubach.

–I rozcina jej broń na pół! – zawołał, skacząc i kręcąc bronią nieco za szybko. Zwichnął kostkę i stracił równowagę, a gdy padał, sztylet zrobił głęboką szczerbę w brązowym posągu.

–Au! – Siedział na podłodze, trzymając się za kostkę i kołysząc w przód i w tył w pozycji jogi znanej jako „oszałały półłotos”. Potem zauważył szczelinę, którą zostawił w brązie, tuż nad prawym obojczykiem Jody.

–Przepraszam, księżno – powiedział, wciąż lekko dysząc po bitwie. – Nie chciałem zrobić ci krzywdy. Po prostu musiałem ratować Lucyfera 2. Zrobiłabyś to samo dla lorda Flooda, gdyby występował w opowieści.

Potarł brąz rękawem, ale szczerba była głęboka i nie mogła zniknąć od polerowania.

–Abby mnie zabije. Naprawię to, księżno. Czekać no. Pasta do zębów. Użyliśmy jej na ścianie, kiedy napiliśmy się wódki mamy Abby i graliśmy w strzałki przelajowe w salonie. Moment.

Upuścił ciężki sztylet na podłogę, dźwignął się na nogi, skrzywił, a potem pokuśtykał do łazienki, by poszukać pasty do zębów.

Zauważył tubkę pasty przeciw próchnicy z sodą w chwili, gdy słońce opadło za horyzont na zachodzie. W salonie cienka niczym igła strużka mgły zaczęła się wysączać ze szczeliny, którą zrobił w posągu. Pasta do zębów raczej nie załatwiłaby sprawy.

ZWIERZAKI

Przez ostatnie dwa miesiące Zwierzaki, czyli pracownicy nocnej zmiany z Safewaya Marina, polowali na starego wampira, wysadzili jego jacht w powietrze, ukradli dzieła sztuki warte miliony dolarów, sprzedali je za grosze, wydali uzyskane setki tysięcy na hazard i niebieską dziwkę, zostali przemienieni w wampiry, rozszarpani przez zwierzęta z zoo, potem spaleni lampami z solarium, gdy zaatakowali Abby Normal, a jeszcze później zmienieni przez Fu z powrotem w siedmiu zwykłych facetów, którzy układali towar na półkach w Safewayu i palili trochę za dużo zioła. Jak to często bywa z przygodami – gdy przygoda już się skończyła, czuli się lekko znudzeni i zaniepokojeni, że już nigdy nie przydarzy im się nic ekscytującego.

Jeśli ktoś walczy z ciemnością, potem sam staje się ciemnością i jeszcze bzyka ciemność, to gra w kręgle zamrożonym indykiem i jazda na nartach za maszyną do czyszczenia podłóg nie gwarantuje tych samych emocji. Jeśli przy wtórce pół miliona dolarów dzielisz się z kumplami niebieskoskórą prostytutką, która następnie zabiła cię i wskrzesiła, nim zniknęła pośród nocy, wymiana opowieści o bzykaniu panienek stanowi dość przykry kontrast. W końcu pracowali nocą, a najstarszy z nich, Clint, miał tylko dwadzieścia trzy lata, zatem większość tych historii i tak była mocną przesadą, myśleniem życzeniowym albo i bezczelnym kłamstwem. Nawet krzyżowanie Clinta za pomocą opasek zaciskowych na regale z chipsami co drugi piątek nie wydawało się już zabawne, a w zeszłym tygodniu po prostu zostawili go, wiszącego i miotającego się wśród Doritos, po czym poszli zapełniać półki, nim zdążył im przebaczyć, bo nie wiedzą, co czynią. To naprawdę tragiczne, być młodym, wolnym i tępo znudzonym.

Kiedy więc Cesarz San Francisco wybiegł z krzykiem z parkingu i walnął twarzą w wielkie pleksiglasowe okno od frontu, aż zagrzechotały tik-taki przy wszystkich kasach, każdy z nich rzucił to, czym się właśnie zajmował, i pognął do przedniej części sklepu, licząc w głębi serca, że kroi się coś wspaniałego.

Całą siódmką stanęli po jednej stronie wielkiego okna, podczas gdy Cesarz łomotał w drugą, a królewskie psy skakały i czekały u jego boku.

–Może powinniśmy go wpuścić – powiedział Clint, nawrócony był narkoman o kręconych włosach, który obsługiwał płatki, kawę i soki. – Wygląda, jakby miał kłopoty.

–Si – powiedział Gustavo, opierając się na mopie. – Kłopoty.

–Wydaje się kurewsko przerażony – stwierdził Drew, chudy niczym Ichabod Crane władca działu mrożonek i główny oficer medyczny. – Totalnie kurewsko przerażony.

–Co się dzieje? – spytał Lash, szczupły czarnoskóry facet, który został ich przywódcą, gdy Tommy zmienił się w wampira, w dużej mierze dzięki temu, że prawie uzyskał MBA, ale także dlatego, że był czarny, więc w naturalny sposób bardziej luzacki od reszty.

–Morderstwo, zniszczenie, wygłodniałe nocne stwory, cała chmara! – wykrzyknął Cesarz. – Pospiesz się, proszę.

–Zawsze tak mówi – powiedział Barry, łysiejący pletwonurek, który zajmował się też mydłem i karmą dla psów.

–No, ale za każdym razem, kiedy tak mówi, jest to w pewnym sensie prawda – zauważył Jeff, wysoki jasnowłosy były skrzydłowy drużyny koszykarskiej z rozwalonym kolaniem (artykuły do pieczenia i kuchnia międzynarodowa). – Ja bym go wpuścił.

–Patrzcie, ten retriever jest cały w bandażach. Biedaczek – odezwał się Troy Lee, specjalista od sztuk walki, który pracował przy regałach z artykułami szklanymi. – Wpuśćmy

go.

–Po prostu chcesz zawinać tego małego w burrito – powiedział Lash.

–Tak, zgadza się, Lash. Ponieważ jestem Chińczykiem, mam głęboką potrzebę pochłaniania zwierząt domowych. Może byś go wpuścił, zanim mój wewnętrzny Chinol zmusi mnie, żeby zastosować kung-fu na twoim pieprzonym tyłku.

Lash rozumiał, że pozostanie przywódcą tylko dopóki będzie kazał wszystkim robić to, co i tak chcieli robić, a w dodatku na jego pieprzonym tyłku już w przeszłości stosowano kung-fu i nie miał ochoty na powtórkę, otworzył więc drzwi i wpuścił Cesarza.

Starzec wpadł do środka. Bummer i Lazarus przestały szczekać i przemknęły obok nich, kierując się na tył sklepu.

Jeff i Drew posadzili Cesarza za jedną z kas, a Troy Lee podał mu butelkę wody.

–Wyluzuj, Wasza Wysokość, już to robiliśmy.

–Nie tak. Nie tak – odparł Cesarz. – To istna burza zła. Zamknijcie drzwi.

Lash przewrócił oczami. Naprawdę już to robili, a zamknięcie drzwi niewiele mogło zmienić, jeśli starca gonil wampir.

–Oslaniamy cię, Wasza Wysokość – powiedział.

–Zamknijcie drzwi – jęknął Cesarz, wskazując za okno.

Ściana mgły sunęła przez parking z większą pewnością, niż można się na ogół spodziewać po mgle. Wysoki, jękliwy pisk dobywał się z mgły szerokim strumieniem, jakby został nagrany, wzmocniony i powielony tysiąc razy. Zwierzaki podeszli do szyby.

–Zamknij drzwi, Lash – powiedział Clint. Clint nigdy nie wydawał poleceń.

Na skraju mgły kotłowały się kształty, pazury, uszy, oczy, zęby, ogony – koty, utworzone z mgły, przetaczające się falami. Niektóre się częściowo materializowały, by zaraz wyparować i z powrotem stopić się z chmurą, a ich czerwone oczy wylaniały się z oparów niczym rozżarzone węgle z ogniowej nawaly.

–Uuu – powiedział Drew.

–Uuu – powtórzyli pozostali.

–Dobra, to faktycznie coś innego – stwierdził Troy Lee.

–Moi przyjaciele w całym mieście znikają – oznajmił Cesarz. – Ludzie ulicy. Nie ma ich. Zostają tylko ubrania i szary pył. Koty zabijają wszystko na swojej drodze.

–To pojebane – powiedział Jeff.

–Mocno, mocno pojebane – dodał Barry, wyciągając z za kasy jeden z ciężkich, drewnianych separatorów do oddzielania zakupów i chwytając go niczym pałkę.

–Zamknij te pierdolone drzwi, Lash! – krzyknął Clint.

–Jezus nie lubi, kiedy używasz słowa na „p” – odezwał się Gustavo, meksykański tragarz, który był katolikiem i lubił wypominać Clintowi potknięcia.

Mgła obmyła okno i pazury błyskawicznie poznały pleksiglas czymś na kształt szronu, jakby poddano szybę piaskowaniu. Hałas był taki, jakby... cóż, jakby tysiąc kotów-wampirów drapało pleksiglas – bolały od niego zęby.

–Czy ktoś wziął broń? – spytał Troy Lee.

–Ja mam trochę ziola – odrzekł Drew.

Mglisty koci pazur wsunął się przez szczelinę pod drzwiami i skrobął czubek trampka Lasha. Ten zasunął rygiel, po czym wyciągnął klucz i się cofnął.

–Dobra, przerwa – powiedział. – Spotkanie załogi.

JARED

Po drugiej stronie miasta, w sypialni na modnym poddaszu w modnej dzielnicy SOMA, niedoszły szczurojebca Jared Biały Wilk uniósł wzrok znad obolalej kostki, którą właśnie sobie masował, i ujrzał zupełnie nagą rudowłosą kobietę, wchodzącą do pokoju. Wspaniała, poskręcana peleryna włosów sięgała talii, okalając jej sylwetkę, która była idealna i biała niczym marmurowa rzeźba. W prawej dłoni trzymała dwusieczny sztylet Jareda.

Jared wycofał się rakiem na łóżko.

–Ja, ja, ja, to, to, to... Abby mnie zmusiła...

–Wyluzuj, Nożycoręki – powiedziała Jody. – Lepiej szybko znajdź jeden z tych woreczków z krwią, które ma Steve, jeśli nie chcesz skończyć szkoły średniej jako kupka zatłuszczonego pyłu. Księżna chce pić.

8

KRONIKI ABBY NORMAL, DWAKROĆ SKAZANEJ NA ZAGŁADĘ W PSIEJ BUDZIE ROZPACZY

Czy potępieni w piekle znają cierpienie, jakie powodują całodziennie zarzuty mamy, spiętrzone niczym parujące sterty nietoperzowego guana na mojej nastroszonej karmazynowej czuprynie? (Zdecydowałam się na karmazyn z elektryczno-fioletowymi końcówkami, by wyrazić swoje oburzenie faktem, że wyciągnięto mnie z domu i uwięziono z okrutnym Matkobotem i beznadziejną młodszą siostrą, Ronnie). Matka ewidentnie uważa, że jesteśmy za młodzi, by zamieszkać razem zaledwie tydzień po pierwszym spotkaniu i zająć skradzione mieszkanie z dwojgiem nieumarłych i ich nedorzeczną ilością kasy. W sumie nie wie o nieumarłych i kasie, ale i tak wyraziła swoje zdanie.

No to włożyłam swoją suknię ślubną w czerwoną szkocką kratę z czarnym welonem i oddałam się całodziennym dąsom w kącie salonu, wychodząc tylko po to, by wysyłać do Fu SMS-y o swojej udręce i tęsknocie, zmieniać kanały i tak dalej, gdy Jared zadzwonił z numeru gniazdka miłości.

To ja do niego: „Gadaj, trupolizie”.

A Jared nawija: „OKMB! Księżna wyszła, i była goła, ale teraz nie jest, i totalnie ubabrała krwią twój skórzany gorset, i musisz natychmiast przyjechać, bo szczury dostają szału, i potrzebne nam piła do metalu i pilnik”.

A ja: „Ojoj”.

A Jared: „Wiem. Wiem. OMB! OMB!”.

A ja: „Jest wkurwiona?”. Powiedziałam to znacznie spokojniej, niż się czułam.

Jared zamilkł na chwilę, jakby się nad tym zastanawiał, a potem odparł: „Włożyła twoje ubranie, z przodu ścieka po niej krew, kiwa głową, pokazuje kły i tak dalej”.

No to zaczynam mieć jakąś perspektywę – jak wtedy, gdy jesteś dzieckiem i myślisz, że masz kiepsko z tym hydrogenizowanym masłem orzechowym na DS, a potem widzisz w telewizji głodującego dzieciaka z muchami w oczach, który nie ma nawet kanapki, i mówisz sobie: „Ten ma dopiero kiepsko”. Więc myślę sobie, że może ten szlaban w matczynej twierdzy w Fillmore nie jest taki zły w porównaniu księżną wylewającą na mnie swój gniew za uwięzienie jej w brązie.

Zasunęłam: „Masz przesrane, Jared. Pa”. I wyłączyłam telefon.

Minęło z pięć minut, które spędziłam w swoim kącie, powtarzając: „O cholera, o cholera, o cholera” i tak dalej, i dzwonił telefon stacjonarny. A Ronnie zawołała ze swojego pokoju: „Odbierzesz?!”.
A ja: „Nawet nie wiedziałam, że jest podłączony”.

Ona na to: „To pewnie mama cię sprawdza, więc możesz odebrać”.

A ja: „Ronnie, odbierz, albo zamorduję cię we śnie i wrzucę twoje ciało do zatoki”.

A ona: „Okej”.

Potem: „To do ciebie. Jakaś Jody”. I Ronnie tak stała z ogoloną głową, podpierając się pod nieistniejące biodra, na zasadzie „no i co, zdziro?”.

No to ja: „Ożeż kurwa!”. A potem biorę telefon i mówię: „Cześć, mam amnezję i nie pamiętam nic z dwóch ostatnich miesięcy!”. Bo co powiedzieć komuś, kogo kazano się uwięzić w brązie?

Księżna na to: „Abby, nie jestem zła”.

Co było totalnym kłamstwem, bo słyszałam, że jest zła. Miała taki głos, jak mama, kiedy „nie jest zła”, chociaż prawdziwy wiek księżnej to tylko dwadzieścia sześć lat.

„Czyli mnie nie zabijesz?”.

„Pogadamy. Teraz chcę, żebyś wzięła wiertarkę i piłkę do metalu z dodatkowymi brzeszczotami, i przyszła na poddasze”.

A ja: „Nie wiem, skąd wziąć takie rzeczy, Fu jest w pracy, a ja mam szlaban i jutro muszę iść do szkoły. Mam klasówkę, więc totalnie nie mogę urwać się z lekcji, a pozatym, po coci to wszystko?”.

A ona: „Znajdź narzędzia i natychmiast przyjdź. Tommy jest uwięziony w rzeźbie i musimy go wydostać”.

Myślę sobie: ups. Ale jestem spokojna i mówię: „Nie może wyjść tak samo, jak ty?”.

Na to księżna: „Tommy nie wie, jak się zmienić w mgłę. Ja wydostałam się właśnie w ten sposób, ale Tommy jest tam zamknięty od... jak dawna, Abby?”.

„O, parę dni. Wszystko mi się płacze po urazie głowy”.

I wtedy słyszę, jak mówi: „Jared, podejdź tutaj. Chcę, żeby Abby usłyszała, jak pęka ci kark”.

„Dobra, jakieś pięć tygodni. Kurwa, księżno, nie przesadzasz?”.

„Przyjedź szybko, Abby”.

I po prostu się rozłączyła.

Więc napisałam SMS-a do Fu: KSIĘZNA WYSZŁA, CHCE PIŁE I WIERTARKE MIGIEM.

A on: CJK? CJK? CJK? WYSZŁA? CJK? SKLEP Z NARZEDZIAMI ACE, CASTRO ST.

(Wiem. Cztery razy CJK! Fu ma w sobie głęboką, intelektualną ciekawość. W zeszłym tygodniu przepytывał mnie przez dwadzieścia minut, jak to jest mieć lechtaczkę. A ja tylko powtarzałam „fajnie”. Wiem, głąb ze mnie, bo nie umiałam wymyślić nic innego. Muszę się nauczyć francuskiego. Mają ze trzydzieści siedem określeń na lechtaczkę. Trochę jak ze śniegiem u Eskimosów, tylko, wiecie, trudniej zbudować z tego igloo).

Dobra, no to napisałam mu: OKDZPA <3.

I mówię Ronnie, żeby powiedziała mamie, że chyba odkryłam trochę węglika na swojej szczoteczce do zębów, więc muszę iść do Walgreens po nową, ale niedługo wrócę. Potem

wkładam swoją kurtkę ze świetnymi brodawkami, na wypadek spotkania z kotkami-wampirami i w ogóle, wsiadam w tramwaj F na Castro Street i jadę do sklepu Ace. A potem czuję totalną niechęć, bijącą od kołosa w czerwonym kombinezonie a la Bob Budowniczy, więc zasuwam: „Co? Nigdy nie widziałeś sukni ślubnej?”.

A on: „Nie, podoba mi się i suknia, i kurtka, cały zestaw jest świetny”.

A ja: „Serio? Dzięki. Twój kombinezon też rządzi. Potrzebna mi piłka do metalu i wiertarka”.

A on: „Do czego?”.

A ja: „Mam przynieść kartkę od mamy? Jebana piłka do metalu i wiertarka. Spiesz mi się”.

A on: „Spytałem, bo mamy ponad trzydzieści różnych typów wiertarek”.

Ja na to: „Aha. Muszę uwolnić swojego mrocznego pana z brązowej skorupy, w której go uwięziłam”.

A on: „Trzeba było tak od razu”. I zaprowadził mnie do działu z wiertarkami, a ja wybrałam czerwono-czarną, która pasowała mi do sukni. Bob wybrał piłę, która była totalnie od czapy, ale nie chciałam zranić jego uczuć, więc powiedziałam tylko „*tres beau*”, co po francusku znaczy „słodko”.

Potem płacę i mówię: „Czemu o północy ciągle macie otwarte?”.

A Bob na to: „Wiesz, jak to jest, nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś będzie w środku nocy potrzebował uwolnić swojego mrocznego pana albo go związać”.

A ja: „Fuuuj”. Bo zupełnie nie kręca mnie takie rzeczy. SM i krępowanie interesują mnie tylko w odniesieniu do garderoby. Próbowalam się ciąć, by wyrazić swoje załamanie, gdy odrzucił mnie Tommy (czyli lord Flood), ale OKMB, boli jak ognisty chuj. Znaczą, lubię samookaleczenia jak każdy – mam osiem kolczyków w ciele i pięć tatuaży, a zrobienie niektórych bolało jak podwójny ognisty chuj, ale wtedy zajmował się tym zawodowiec i można było obarczyć kogoś winą. Nawet znam gościa w Haight, który wytatuuje cię za friko, jeśli jesteś dziewczyną i zgodzisz się cały czas na niego krzyczeć, co nie okazuje się takie trudne, kiedy ktoś dźga cię elektryczną igłą. Jak robił mi skrzydła nietoperza, krzyczałam na niego tak głośno, że na dwa dni straciłam głos.

No dobra, pojechałam tramwajem F przez miasto i trzy przecznice od Market na poddasze, ale cały czas trzymałam przycisk od kurtki, na wypadek, gdyby zaskoczył mnie Chet i jego wampiryczni koci kumple – totalnie nie umiem biegać w tej sukni, bo sprzączki motocyklowych butów zaczepiają o koronkę, czyli to byłaby akcja na zasadzie: stańcie albo zginiecie, gnoje! Ale żadne kotki-wampiry się nie pojawiły.

Tak czy siak, dotarłam na poddasze i weszłam z tekstem: „Hej, księżno, oto twoja wiertarka!” – żwawa jak pluszowy miś na dragach, chociaż to mógł być błąd, bo naukowo udowodniono, że martwych łatwiej się morduje. I myślę sobie: CJK, wampirzyco? Bo nie wyglądała normalnie, czyli jak laska z hemofilią, tylko była blada jak papier do drukarki. Zupełnie zignorowałam fakt, że bez pytania włożyła jedną z moich długich spódnic i czarny gorset, który podkreśla jej biust znacznie bardziej niż mój, co jest dość niegrzeczne. Mówię: „Księżno, dobrze się czujesz? Jesteś dość blada”.

A Jared na to: „Nie widziałeś jej, zanim wypila krew z tych woreczków”.

No i myślałam, że się zesram, bo ewidentnie zrobiła się śnieżnobiała, dlatego że była zamknięta bez jedzenia. Więc mówię: „Sorki. Chciałam tylko, żebyście po wieki byli razem, a

coś się na to nie zanosilo”.

A ona na to: „Później Abby”. I po prostu wzięła ode mnie narzędzia, podeszła do posągu, zaczęła wiercić, piłować i tak dalej.

Pytam: „Jak wyszłaś?”.

A ona: „Chłopiec od szczurów tańczył i uszkodził skorupę”.

A Jared: „Nie tańczyłem. Napilem się espresso i opowiadałem im swoją powieść, a wtedy straciłem równowagę w twoich głupich butach”.

A ja: „Nie można mu dawać kofeiny, księżno. Ciotka dała mu na gwiazdkę studolarowy kupon do Starbucks i nie obyło się bez pomocy lekarskiej”.

Jody przystanęła i popatrzyła na mnie, a jej oczy lśniły jak szmaragdy, bo, nie licząc włosów, na jej twarzy nie było żadnych barw. Powiedziała: „Tommy nie wiedział, jak zmienić się w mgłę, Abby. Nie miałam okazji go nauczyć, zanim zamknęłaś nas w brązie. Tkwi tam uwięziony, w pełni świadomy, od pięciu tygodni”.

A ja zaczęłam się cofać, bo widziałam już wkurwioną księżnę, na przykład wtedy, gdy Zwierzaki porwali Tommy’ego i musiała skopać im dupy, żeby go odzyskać, ale teraz miała zaciśnięte zęby, jakby się powstrzymywała przed wyrwaniem mi rąk czy coś. No to wymacałam przycisk w rękawie kurtki. Nie dlatego, że chciałam usmażyć księżnę, bo tego nigdy bym nie zrobiła. Tak tylko, na wszelki wypadek.

Wyciągnęła rękę i zanim zdążyłam się ruszyć, wyciągnęła mi baterię z wewnętrznej kieszeni i zerwała druciki. Znaczą szybciej, niż można mrugnąć.

No to mówię: „Nie zamierzałam ich zapalić”.

A ona: „Tylko dla bezpieczeństwa”.

Ale nie czułam się bezpiecznie. I wiedziałam, że Jared też nie czuje się bezpiecznie, bo zaczął pociągać nosem, jakby miał się rozplakać.

A Jody piłowała brąz jak wariatka – od tej strony, po której sama była, żeby nie pokaleczyć Tommy’ego – i w końcu miała odpilowany wystarczająco duży kawałek metalu, żeby go oderwać i zajrzeć do środka.

I mówi: „Tommy, wydostaniemy cię stamtąd. Muszę być ostrożna, ale niedługo cię wyciągnę”.

A Jared: „Potrzebna ci latarka?”.

A Jody: „Nie, widzę”.

A Jared: „Nie żyje?”.

Wtedy Jody złamała brzeszczot piły i zasunęła: „No jasne, że nie żyje, jest wampirem”.

Ja na to: „Ech! Przyglup”. I podałam jej nowy brzeszczot.

Muszę powiedzieć, że jak na kogoś obdarzonego supermocami i nieśmiertelnością, księżna chujowo radzi sobie z narzędziami. Widocznie mroczny dar nie obejmuje umiejętności majsterkowania.

Mniej więcej po godzinie udało jej się oderwać spory kawał posągu, odsłaniając twarz Tommy’ego, tors i w ogóle, a on tak tam tkwił, nie ruszał się, nie otwierał oczu i był jeszcze bledszy niż księżna, nawet lekko siny.

Jared spytał: „Nie żyje?”.

Jody wydała z siebie coś pomiędzy krzykiem a szlochom i powiedziała: „Przynies jeszcze jeden woreczek z krwią, Jared. No i, Abby, gdzie, kurwa, jest moje ubranie?”. I po policzku

popłynęła jej krwawa łza.

A ja: „Ojoj”. Bo zdałam sobie sprawę, czemu ubrała się w moje ciuchy. Kiedy Fu i ja się wprowadziliśmy, włożyliśmy wszystkie ubrania Tommy’ego i Jody do worków i wepchnęliśmy pod łóżko. Więc mówię: „Co chcesz włożyć, księżno? Rozumiem. Znaczy, możesz nosić moje rzeczy, kiedy tylko chcesz, bo jestem wierną pomagierką, ale twój stwórca obdarzył cię znacznie obfitszymi cyckami i zadkiem, bez obrazy, i moje rzeczy nie do końca na ciebie pasują. Bez obrazy”.

Wciął się Jared: „Włożyła twoją bluzę z kapturem z Emily, ale cała się pobrudziła krwią”. W niczym nie pomógł. „Hej, kto chce latte?”.

I księżna warknęła na niego, odsłaniając kły i w ogóle. Jared odskoczył i skręcił kostkę. A ja: „O cholera!”.

A ona szczeęknęła: „Krwi!”.

A Jared i ja: „Już zaraz będzie. O, cholera. O, cholera. O, cholera”.

Przyniosłam jej woreczek z krwią, a ona rozdarła go zębami i wylała mu krew na wargi i do ust, ale nic się nie stało. Jody zaczęła płakać, coraz głośniejsze, a Jared i ja coraz bardziej panikowaliśmy i nawet szczury w tych swoich małych pudełkach panikowały, biegały w kółko i w ogóle. W końcu Tommy otworzył oczy, a one były kryształowo niebieskie jak lód, a nie oczy, i krzyknął. Przysięgam na pierdolonego zombija Jezusa, że wszystkie okna na poddaszu zatrzęsły się we framugach.

Więc Jared i ja skuliliśmy się w kącie, zasłaniając uszy, a Tommy wyleciał z posągu. Było słychać, że kości w nogach trzaskają mu jak precle, kiedy je wyciągał, ale pełził na rękach, wywalając szczury i meble, prosto na mnie, z obnażonymi kłami.

Sięgnęłam do przycisku w rękawie, ale już był na mnie i gryzł moją szyję. Jest taki silny, że równie dobrze można by walczyć z posągiem. Usłyszałam krzyk Jody i poczułam, jak skóra na mojej szyi rwie się na strzępy. Zobaczyłam tunel prowadzący w ciemność i pomyślałam: Co ja, kurwa, umieram? Co jest, kurwa?

Potem rozległ się głośny brzęk, coś jak dzwon, i poczułam, że Tommy się ode mnie oderwał. I znowu zapaliło się światło. Zobaczyłam księżnę, która trzymała stalową lampę podłogową Fu jak włócznię. Najwyraźniej właśnie walnęła nią Tommy’ego na tyle mocno, by go ze mnie zrzucić. Ale, zamiast skoczyć na nią, znowu ruszył na mnie, rozmazując krew po całej podłodze i w ogóle.

Księżna złapała go za kark, zakręciła nim i wyrzuciła przez zbite okna, a metalowe framugi wyleciały razem z nim.

Znowu rozległ się krzyk. Trzymałam się za szyję i tak jakby pełzłam do wielkiej dziury, która kiedyś była frontową ścianą poddasza, a Tommy był na dole, na środku ulicy, goły, w wielkim rozbryzgu metalu i szkła. Próbował stanąć na nogi, opierając się o samochód.

Jody już była przy mnie. I zaczęła: „Tommy! Tommy!”.

Ale on poszedł, kulejąc, do zaułka po drugiej stronie ulicy. Szedł tak, jakby nogi miał ciągle połamane. Może i same mu się leczyły po drodze, ale wyraźnie bolały jak skurwysyn.

Jody złapała mnie za głowę, przekręciła ją w bok i oderwała moją rękę od ugryzienia. Myślałam, że zemdleję. Ale ona nachyliła się i polizowała ranę, tak ze trzy razy, a potem przyłożyła tam moją dłoń z powrotem.

„Trzymaj. Lada chwila się zablizni”. Potem potrząsnęła mną i wrzasnęła: „Dobra, gdzie,

kurwa, jest moje ubranie?!”.

A ja: „Pod łóżkiem. W workach”.

Wtedy chyba zemdlalam, bo następnym widokiem, który pamiętam, jest księżna, stojąca w dżinsach, butach i swojej czerwonej kurtce. Wkładała woreczki z krwią do mojej torby ze znakiem ostrzeżenia przed zagrożeniem biologicznym.

I oznajmiła: „Zabieram to”.

A ja: „Okej”. I potem: „Uratowałaś mnie”.

„Zabieram też połowę pieniędzy” – powiedziała.

A ja: „Nie możesz odejść. Dokąd pójdziesz? Kto się będzie tobą opiekował?”.

„Tak dobrze jak ty?”.

„Bardzo mi przykro” – ja na to.

A ona: „Wiem. Muszę go znaleźć. Ja go w to wciągnęłam. Nigdy tego nie chciał. Chciał tylko, żeby ktoś go kochał”.

Zbierała się do wyjścia, i to bez pożegnania, ale zasunęłam: „Księżno, czekaj, tam są koty-wampiry”.

Zatrzymała się, odwróciła i: „Coooo?”.

A Jared kiwał głową i powtarzał: „Powaga. Powaga”.

A ja: „Chet zmienił parę kotków w wampiry. Wczoraj w nocy zaatakowały Cesarza i zjadły policjantkę”.

Ona na to: „Ożeż kurwa”.

A ja: „Wiem, wiem”.

Potem poszła. Jared właśnie łapał jakieś szczury, które puciekwały. Powiedział: „Straciecie swoją polisę”.

Jody po prostu poszła. Poszła. Sama, prosto w noc. Jak napisał lord Byron w wierszu *Ciemność*:

Dawne ciemności narzędzie

Stało się niepotrzebnym –

Ciemność była wszędzie.

Chciałbym teraz bzyknąć swoją siostrę.

Parafrazuję.

TENDERLOIN

Jeśli w San Francisco szukasz świetnego taco, jedziesz do dzielnicy Mission. Gdy chcesz zjeść makaron, jedziesz do North Beach. Potrzebujesz trochę dim sum, sproszkowanej pochwy rekina albo korzenia żeń-szeń? Kieruj się do Chinatown. Marzysz o absurdalnie drogich butach? Union Square. Chcesz się rozkoszować mojito w tłumie atrakcyjnych, młodych specjalistów, udaj się do Mariny albo do SOMA. Ale jeśli szukasz koki, jednonogiej dziwki albo faceta śpiącego w kałuży własnego moczu, nic nie przebije Tenderloin, gdzie Rivera i Cavuto sprawdzali właśnie doniesienie o zaginięciu. No, w zasadzie zaginięciach.

–Dzielnica teatrów wydaje się dziś dość pusta – zauważył Cavuto, parkując nieoznakowanego forda pod zakazem przed Misją Świętego Serca.

Tenderloin w istocie była także dzielnicą teatralną, co stanowiło udogodnienie, jeśli chciałeś obejrzeć pierwszorzędny spektakl, a do tego wypić flaszkę jabola „Thunderbird” i dać się parę razy pchnąć nożem.

–Myślisz, że wszyscy są w swoich domkach letniskowych w Sonomie? – spytał Rivera, z poczuciem zagrożenia, które narastało w nim niczym mdłości. Zwykle o tej wczesnej porze ulicami Tenderloin przelewały się ponure rzeki bezdomnych, szukających pierwszego porannego drinka albo miejsca do spania. Tutaj spało się przede wszystkim za dnia. Nocą było zbyt niebezpiecznie. Wokół budynku Misji Świętego Serca powinna więc się kolejka ludzi czekających na darmowe śniadanie, dziś jednak kolejka ledwie wychodziła za drzwi.

Gdy weszli do środka, odezwał się Cavuto.

–Wiesz, to może być dla ciebie idealny moment, żeby wziąć którąś z tych jednonogich dziwek. Przy takim spadku popytu może załapałbyś się za darmo, bo jesteś gliną i w ogóle.

Rivera przystanął, odwrócił się i popatrzył na partnera. Kilkunastu obszarpanych mężczyzn z kolejki też popatrzyło, bo Cavuto zasłaniał światło w drzwiach niczym wielkie wymiętoszone zaćmienie słońca.

–Przyprowadzę do twojego domu tę gotycką dziewczynkę i sfilmuję, jak doprowadza cię do płaczu.

Cavuto niemal się osunął.

–Przepraszam. Bardzo się tym przejmuję. Drwiny to jedyny sposób, żeby przestać o tym myśleć.

Rivera go rozumiał. Przez dwadzieścia pięć lat był uczciwym gliną. Nie wziął ani dziesięciu centów łapówki, nie nadużył siły, nie świadczył specjalnych przysług ludziom władzy, i właśnie dlatego nadal był inspektorem, ale potem napatoczyła się ta ruda, i jej stan na „w”, i starzec z jachtem pełnym forsy, a poza tym i tak nie mogli nikomu powiedzieć. Dwieście tysięcy, które wzięli z Cavuto, to nie była tak naprawdę łapówka, lecz, cóż... dodatek za trudne warunki pracy. Ciężko było żyć z brzemieniem tajemnicy, której nie dość, że nie można było zdradzić, to jeszcze i tak nikt by w nią nie uwierzył.

–Ej, wiecie, czemu w Tenderloin jest tyle jednonogich dziwek? – zagadnął facet, który nosił puchowy śpiwór jak pelerynę.

Rivera i Cavuto zwrócili się ku nadziei na chwilę rozrywki niczym kwiaty ku słońcu.

–Cholerni ludożercy – powiedział ten ze śpiworem.

W ogóle nie śmieszne. Policjanci podreptali dalej.

–Żebyś wiedział – rzucił Rivera przez ramię.

–Hej, gdzie są wszyscy? – spytała kobieta w brudnej pomarańczowej parce. – Robicie łapankę, skurwiele?

–Nie my – odparł Cavuto.

Przeszli obok kolejki i młody mężczyzna w koloratce o ostrych, hiszpańskich rysach pochwycił ich spojrzenie ponad głowami jedzących, po czym dał im znak, żeby przeszli wokół podgrzewanych blatów na zaplecze. Ksiądz Jaime. Poznali się już kiedyś. W Tenderloin było wiele zabójstw, i tylko garstka ludzi przy zdrowych zmysłach, którzy wiedzieli, co się dzieje w okolicy.

–Tędy – powiedział duchowny.

Powiódł ich przez kuchnię i zmywak do zimnego betonowego korytarza, który prowadził do pryszniców. Wyciągnął pęk kluczy, który miał przymocowany drutem do pasa, i otworzył wentylowane zielone drzwi.

–Zaczęli to przynosić tydzień temu, ale dziś rano przyszło z pięćdziesiąt osób z rzeczami. Wszyscy byli przerażeni.

Ksiądz Jaime zapalił światło i przesunął się w bok. Rivera i Cavuto weszli do pomieszczenia pomalowanego na słoneczną żółć i pełnego szarych metalowych półek. Na każdej poziomej powierzchni piętrzyły się strzępy ubrań, pokrytych w różnym stopniu tłustawym szarym pyłem. Rivera podniósł pikowaną kurtkę ortalionową, częściowo podartą i ubrudzoną krwią.

–Znam tę kurtkę, inspektorze. Jej właściciel nazywa się Warren. Walczył w Wietnamie.

Rivera obrócił kurtkę, starając się nie wzdrygnąć na widok układu rozdarć materiału. Odezwał się ksiądz Jaime.

–Widzę tych ludzi codziennie i zawsze noszą to samo. Nie mają całych szaf ubrań do wyboru. Skoro ta kurtka jest tutaj, to Warren marznie albo coś mu się stało.

–I nie widział go ksiądz? – spytał Cavuto.

–Nikt nie widział. Mógłbym też opowiedzieć historie o większości pozostałych ubrań. A fakt, że trafiają tutaj, świadczy, że jest ich dużo. Ludzie ulicy mają niewiele, i nie biorą nic, czego nie mogą nieść. Czyli tutaj leży to, czego nie mogli wziąć ze sobą. Każdy z obecnych w stolówce szuka jakiegoś zaginionego przyjaciela.

Rivera odłożył kurtkę i podniósł parę bojówek. Nie były podarte, ale pokryte pyłem i zachłapane krwią.

–Mówi ksiądz, że może połączyć te ubrania z osobami, które zna?

–Tak, to samo powiedziałem policjantowi w mundurze dziś rano. Znam tych ludzi, Alphonse, a oni zniknęli.

Rivera uśmiechnął się w duchu, gdy duchowny użył jego imienia. Ksiądz Jaime był od niego o dwadzieścia lat młodszy, ale wciąż czasami zwracał się do niego jak do dziecka. Jeśli ciągle zwracają się do ciebie per „ojcze”, może to uderzyć do głowy.

–Czy oprócz bezdomności ci ludzie mieli ze sobą coś wspólnego? To znaczy... czy byli chorzy?

–Chorzy? Na ulicy każdy na coś cierpi.

–Chodzi mi o śmiertelne choroby. O których by ksiądz wiedział. Byli bardzo chorzy? Rak? Wirus? – Kiedy stary wampir uśmiercał ofiary, okazało się, że niemal wszystkie były nieuleczalnie chore i niebawem i tak by umarły.

–Nie. Nie łączy ich nic poza tym, że żyli na ulicy i że zniknęli.

Cavuto skrzywił się i odwrócił. Zaczął szperać w ubraniach, rozrzucając je wokół, jakby szukał zgubionej skarpetki.

–Proszę księdza, czy mógłby ksiądz zrobić nam listę osób, do których należała ta odzież? I dopisać wszystko, co ksiądz o nich pamięta. Wtedy mogę zacząć ich szukać w szpitalach i w więzieniach.

–Znam tylko ich uliczne przezwiska.

–Nie szkodzi. Niech się ksiądz postara. Wszystko, co ksiądz pamięta. – Rivera podał mu wizytówkę. – Proszę dzwonić bezpośrednio do mnie, gdyby pojawiło się coś jeszcze, dobrze? O ile nic nie będzie się działo, wezwanie mundurowych tylko niepotrzebnie przeciągnie sprawę.

–Jasne, jasne – powiedział ksiądz, wkładając wizytówkę do kieszeni. – Jak myślicie, co się dzieje?

Rivera spojrział na swojego partnera, który nie podniósł wzroku znad zapyłonych butów, które oglądał.

–Na pewno istnieje jakieś wyjaśnienie. Nie słyszałem o żadnej dużej miejskiej akcji relokacji bezdomnych, ale to się już zdarzało. Nie zawsze nam mówią.

Ksiądz Jaime popatrzył na niego tym wzrokiem duchownego, tymi oskarżycielskimi oczami, które Rivera zawsze wyobrażał sobie po drugiej stronie konfesjonau.

–Inspektorze, wydajemy tu codziennie czterysta do pięciuset śniadań.

–Wiem, ojcie. Wykonujecie dobrą robotę.

–Dzisiaj wydaliśmy sto dziesięć. I koniec. Ci w kolejce to już wszyscy na dzisiaj.

–Zrobimy co w naszej mocy.

Przeszli przez stolówkę, nie patrząc nikomu w oczy. Już w samochodzie przemówił Cavuto.

–Te ubrania były poszarpane pazurami.

–Wiem.

–Nie polują tylko na chorych.

–Nie – przyznał Rivera. – Atakują każdego na ulicy. Domyślam się, że każdego, kto się da zaskoczyć sam.

–Niektórzy z tych w stolówce coś widzieli. Poznałem. Powinniśmy wrócić i pogadać z niektórymi, kiedy ksiądz i jego wolontariuszy nie będzie w pobliżu.

–Tak naprawdę nie ma potrzeby, co? - Rivera zapisywał w notesie jakieś liczby.

–Powiedzą gazetom – stwierdził Cavuto, wjeżdżając za tramwaj linowy na Powell Street i postanawiając wlec się przez kilka przecznic z dziewiętnastowieczną prędkością, gdy pieli się pod Nob Hill.

–Najpierw przedstawiają to jako zabawne opowieści wariatów, a potem ktoś zauważy zakrwawione ubrania i wszystko się wyda. – Rivera dodał kolejną liczbę, po czym dopisał coś z zawijasami.

–Nie musi to się na nas odbić – powiedział z nadzieją Cavuto. – Znaczący, to w sumie nie nasza wina.

–Nieważne, czy obarczą nas winą – odparł jego partner. – My za to odpowiadamy.

–To co powiesz?

–Powie, że będziemy bronili miasta przed hordą kotów-wampirów.

–Teraz, jak już to powiedziałeś, stało się to realne. – Cavuto cicho pojękiwał.

–Zadzwońę do tego Wonga i sprawdzę, czy już zrobił mi tę kurtkę z ultrafioletem.

–Tak po prostu?

–Tak – potwierdził Rivera. – Jeśli posłuchać księdza, w jakiś tydzień zjadły około trzech czwartych bezdomnych z Tenerloin. Przyjmijmy, że w mieście trzy tysiące ludzi żyje na ulicy, i mówimy już o dwustu dwóch ofiarach. Ktoś na pewno zauważy.

–To właśnie liczyłeś?

–Nie, próbowałem sprawdzić, czy wystarczy nam pieniędzy na otwarcie księgarni.

Taki mieli plan. Wczesna emerytura, a potem sprzedaż rzadkich książek w oryginalnej księgarce na Russian Hill. Nauka gry w golfa.

–Nie wystarczy – powiedział Rivera. Zaczął wybierać numer Psa Fu, gdy jego telefon zaczął dzwonić, czego nigdy wcześniej nie robił.

–Co to, kurwa, było?

–SMS – odparł.

–Umiesz pisać SMS-y?

–Nie. Jedziemy do Chinatown.

–Trochę za wcześnie na sajgonki, nie?

–SMS był od Troya Lee.

–Tego Chińczyka z ekipy Safewaya? Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

–Tylko jedno słowo.

–Nie mów.

–KOTY.

–Chyba prosiłem, żebyś mi nie mówił?

–Boisko do koszykówki przy Washington – powiedział Rivera.

–Niech ten Wong zrobi mi taką świecą kurtkę. Rozmiar pięćdziesiąt, długą.

–Będiesz miał na sobie tyle światełek, że wezmą cię do latania nad stadionem z reklamami Goodyeara po bokach.

CESARZ

Nazywali to Krainą Wina. W istocie chodziło o obszar na południe od Market Street, przylegający do Tenderloin, gdzie sklepy z alkoholem sprzedawały duże ilości – choć był niewielki wybór – wzmocnionych win, takich jak „Thunderbird”, „Richard’s Wild Irish Rose” i „MD 20-20” (w świecie winiarskim zwane „Mad Dog”, czyli „Wściekłym Psem”, z uwagi na skłonność konsumentów do publicznego oddawania moczu i wykonywania trzech obrotów przed utratą przytomności na chodniku). Mimo że Kraina Wina należała formalnie do SOMA, czyli „modnej” dzielnicy South of Market Street, jeszcze nie przyciągnęła tłumu młodych specjalistów, którzy posypywali wszystko lśniąca warstwą latte i pieniędzy, tak jak zrobiła to nadbrzeżna sąsiadka. Nie, Kraina Wina składała się głównie ze zrujnowanych kamienic, zapuszczonych hotelików, nad wyraz obskurnych kin porno i starych zabudowań przemysłowych, w których teraz mieściły się magazyny do wynajęcia. A, i duży budynek federalny, który wyglądał jak ofiara molestowania ze strony olbrzymiego stalowego pterodaktyla, ale bez wątpienia rząd chciał po prostu odejść od standardowej architektury schronów przeciwlotniczych na rzecz bardziej pociągającej estetyki, zwłaszcza dla miłośników porno z Godzillą.

Właśnie w cieniu tego architektonicznego paskudztwa Cesarz rozpoczął poszukiwanie kota-wampira alfa. Nie spędzał z żołnierzami zbyt wiele czasu w Krainie Wina, jako że kiedyś utopił w butelce całą dekadę i od tamtej pory wyparł się winorośli. Było to jednak jego miasto i znał je jak ślady kocich zadrapań na pysku Bummera.

–Spokojnie, panowie, spokojnie – powiedział Cesarz, napierając ramieniem na pojemnik na śmieci za trzystuletnim budynkiem. Bummer i Lazarus powarkiwały nisko, odkąd weszli do tego zaułka, jakby w piersiach miały miniaturowe półciążarówki na jałowym biegu. Zbliżyli się.

Pojemnik odjechał w bok na zardzewiałych kółkach, ukazując okno piwnicy, zasłonięte luźno zamocowanym kawałkiem dykty. W budynku mieścił się kiedyś browar, ale już dawno przerobiono go na magazyn, z wyjątkiem piwnicy, której połowę zamurowano od wewnątrz. Zapomniano jednak o tym oknie, prowadzącym do podziemnego pomieszczenia zupełnie nieznanego policji, gdzie William i inni, którzy ulegli urokom Krainy Wina, szukali schronienia przed deszczem i zimnem. Oczywiście, człowiek musiał być pijany, by uznać to za dobre lokum. Oprócz miejsca przy samym oknie, piwnica była zupełnie ciemna, a przy tym wilgotna, pełna szczurów i cuchnąca uryną.

Odciągając dyktę, Cesarz usłyszał wysoki skwierczący dźwięk i z okna dobył się odór palonych włosów. Bummer szczechnął. Starzec cofnął się i odkaszlnął, odegnał dłonią dym sprzed twarzy, po czym zajrzał do środka. Wszędzie na widocznych częściach podłogi kocie ciała tliły się, płonęły i zmieniały w proch pod wpływem promieni słońca. Było ich mnóstwo, a z okna Cesarz nie widział przecież wszystkich.

–Wygląda na to, że to tutaj – powiedział, klepiąc bok Lazarusa.

Bummer prychnął, potrząsnął głową i trzy razy szybko szczechnął, co tłumaczy się jako „myślałem, że zapach palonych kotów sprawi mi większą frajdę, ale, o dziwo, nie”.

Cesarz opadł na dłonie i kolana, po czym zaczął się gramolić tyłem przez okno. Jego płaszcz

zaczepił o parapet, co nawet pomogło mu opuścić swój znaczny ciężar na podłogę.

Lazarus wetknął głowę przez okno i zaskamlał, co należy tłumaczyć: „trochę się martwię, że jesteś tam sam”. Obliczył dystans od okna do podłogi i skulił się, gotów do skoku w otchłań.

–Nie, zostań. Dobry Lazarus – powiedział jego pan. – Obawiam się, że nie mógłbym cię podnieść, gdybyś już znalazł się na dole.

Popiół ze spalonych kotów chrzącił mu pod nogami, gdy przemierzał pomieszczenie, aż dotarł do krańca plamy światła, która wyglądała niczym wyświechtany szary dywan. Żeby iść dalej, musiałby stąpać po ciałach śpiących – a raczej martwych – kotów, widział bowiem, że te zalegają także w cieniu. Zadrzał i powstrzymał nagle pragnienie, by rzucić się do okna.

Nie należał do osób szczególnie odważnych, miał jednak silnie rozwinięte poczucie obowiązku wobec swojego miasta i uważał, że musi nadstawić dla niego karku pomimo nadzwyczaj poważnego przypadku ciarek, które przechodziły po jego plecach niczym olbrzymia stonoga.

–Musi być inne wejście – powiedział, raczej po to, by uspokoić samego siebie, niż by przekazać informację. – Choć może nie dość duże dla człowieka, bo wtedy bym wiedział.

Ostrożnie odtrącił martwego kota na bok czubkiem buta, wzdrygając się przy tym. Głowę wypełniała mu wizja kotów-wampirów, atakujących samurajskiego szermierza, i musiał się z niej otrząsnąć, zanim zrobi następny krok.

–Przydałaby się latarka – stwierdził.

Nie miał jednak latarki. Miał pięć pudełek zapalek i tani ząbkowany nóż kuchenny, który znalazł w śmietniku. Posłużył się tą bronią, by pozbyć się wampirycznego kota Cheta. Gdy był jeszcze młody i naiwny, w zeszłym miesiącu, nosił drewniany miecz i chciał dźgać nim wampiry w serce, jak w filmach. Ale widział starego wampira, niemal rozszarpanego na strzępy przez wybuchy, ostrzał oraz harpuny wystrzeliwane przez Zwierzaków, i żadna z tych rzeczy nie wydawała się równie skuteczna jak drobny szermierz w SOMA. Tak czy owak, latarka by tu nie zaszkodziła. Zapalił zapalkę i trzymał ją przed sobą, zagłębiając się w ciemność i przy każdym kroku odsuwając stopami kocie ciała. Gdy zapalka oparzyła mu palce, zapalił następną.

Bummer szczechnął i ostry dźwięk poniosł się echem po piwnicy. Cesarz odwrócił się i zdał sobie sprawę, że w jakiś sposób wszedł za róg i okno nie jest już widoczne. Sięgnął do swojego przepastnego płaszcza i wymacał rączkę noża kuchennego, który nosił zatknięty za pasek na plecach. Parł naprzód, przechodząc do następnego pomieszczenia. Na ile mógł się zorientować, wydawało się duże, ale aż do skraju plamy światła zapalki podłogę zapelniały ciała kotów, w większości leżące na boku, jakby po prostu się przewróciły, albo w bezładnych stertach, jakby właśnie się bawiły, walczyły czy parzyły, gdy coś nagle wyłączyło je za pomocą pstryczka.

Znowu rozległo się odległe szczechanie Bummera, a potem drugie, głębsze, Lazarusa.

–Nic mi nie jest, panowie, zaraz z tym skończę i wrócę.

Zużywając już trzecie pudełko zapalek, Cesarz zobaczył uchylone stalowe drzwi. Ruszył w ich stronę, a koty zaczęły się przeredzać i widniała między nimi wolna przestrzeń, choć miała góra pół metra szerokości, jakby wykarczowano tu bardzo wąskie przejście. Stał i zaczerpnął tchu.

Usłyszał męskie głosy, ale z okolic okna, a wśród nich znowu szczechanie i warkot.

–Jestem tutaj! – zawołał. – Tutaj. Żołnierze są ze mną!

Dobiegł go odległy głos.

–Skurwiele powinni to zakryć. Jeśli miasto zamuruje ten szajs, to gdzie pójdziemy, jak zacznie padać?

Rozległ się łoskot, a potem chrobot, i Cesarz zdał sobie sprawę, że to odgłos dykty, wpychanej z powrotem w okno, i ciężkiego śmietnika, przepychanego tak, by je zasłonić.

–Zablokujcie kółka – powiedział ktoś.

–Jestem tutaj! Jestem! – krzyczał starzec. Zgrzytnął zębami, szykując się na bieg przez puszysty dywan z kotów do okna, ale się zawahał, zapalka oparzyła palce i ogarnęła go ciemność.

ZWIERZAKI

–Jestem niemal pewien, że to apokalipsa – stwierdził Clint, nawet nie unosząc głowy znad swojej wydrukowanej czerwoną czcionką Biblii Króla Jakuba.

Zwierzaki byli rozstawieni w różnych częściach boiska do koszykówki i grali w kosza w wersji HORSE. Troy Lee, Clint i Drew siedzieli zwrócenii plecami do ogrodzenia. Troy Lee próbował czytać Clintowi przez ramię, a Drew wpychał trawkę do fioletowej sportowej fajki wodnej z włókna węglowego.

Cavuto i Rivera zblizali się, obchodząc boisko.

–Jak leci, czarnuchy?! – rozległ się szorstki, chrypliwy głos, zupełnie niepasujący do otoczenia, jakby ktoś próbował zmusić maleńkiego smoka do ognistego bąka za pomocą klapsów rakieta do badmintona.

Rivera przystanął i odwrócił się do drobnej postaci stojącej przy linii rzutów wolnych, odzianej w ogromne trampki i bluzę z kapturem Oakland Raiders wystarczająco dużą dla skrzydłowego. Nie licząc okularów, postać wyglądała jak Yoda w wersji gangsta, tyle że nie była aż tak zielona.

–To babcia Troya Lee – wyjaśnił ten dzieciak, Jeff. – Musicie przybić jej żółwika, bo nie przestanie tak mówić.

Rzeczywiście, babcia trzymała uniesioną rękę i czekała na żółwika.

–Ty idź – powiedział Cavuto. – Ty jesteś etniczny. Rivera podszedł do drobnej kobiety i, choć czuł się bardzo zażenowany, stuknął pięścią w jej pięść.

–Szacun – powiedziała babcia.

–Szacun – odparł Rivera. Spojrzał na Lasha, który został doraźnym przywódcą Zwierzaków, odkąd Tommy Flood zmienił się w wampira. – Nie przeszkadza ci to?

Lash wzruszył ramionami.

–A co zrobić? Zresztą, najwyraźniej mamy apokalipsę. Szkoda czasu, żeby nawracać tę sukę na polityczną poprawność, skoro świat się kończy.

–To nie apokalipsa – odparł Cavuto. – To bez wątpienia nie apokalipsa.

–Jestem prawie pewien, że tak – powiedział Troy Lee, zerkając Clintowi przez ramię na *Apokalipsę świętego Jana*.

Wszyscy zgromadzili się wokół siedzących Zwierzaków. Rivera wyjął notes, potem wzruszył ramionami i wsunął go z powrotem do kieszeni. To i tak nie mogło się znaleźć w żadnym raporcie.

Drew zapalił fajkę, wciągnął długiego bucha, po czym podał ją Bany'emu, łysiejącemu pletwonurkowi, który też wciągnął dym.

–Jesteśmy policjantami, wiecie? – powiedział Cavuto niezbyt pewnym siebie tonem.

Drew wzruszył ramionami i zaciągnął się.

–Wszystko gra, to w celach leczniczych.

–Jak to leczniczych? Masz papier? Na co chorujesz?

Drew wyciągnął z kieszeni na piersi koszuli niebieską kartę i uniósł ją.

–Jestem niespokojny.

–To nie choroba – odrzekł Cavuto, wyrywając mu papier z ręki. – A to jest karta biblioteczna.

–Robi się niespokojny od czytania – wtrącił Lash.

–To choroba – dodał Jeff, starając się wyglądać pośepnie.

–To na artretyzm – powiedział Troy Lee.

–On nie cierpi na artretyzm. W żadnym wypadku. – Cavuto wyciągał już kajdanki z kabury przy pasie.

–Ale ona ma – odparł Troy Lee, wskazując babcię.

Staruszka uśmiechnęła się, wyjęła swoją kartę, wykonała artretyczny gest gangsterski z zachodniego wybrzeża, po czym zawołała:

–Co jest, czarnuchu?!

–Nie przybiję jej piątki – oznajmił Cavuto.

–Ma z dziewięćdziesiąt lat. Musisz. To nasz zwyczaj – odrzekł Troy Lee swoim tajemniczym, pradawnym, chińskim tonem. Na koniec lekko uklonił się na siedząco dla większego efektu.

Cavuto musiał się lekko pochylić, by przybić staruszce piątkę.

–W tych ogromnych butach nigdy nie ucieknie pani kotom-zabójcom – powiedział.

–Ona nie rozumie – odezwał się Barry.

–Nie *comprende* po angielsku – dodał Gustavo.

–Koty? – przypomniał sobie Rivera. – Wasz SMS.

–Tak, mówiliście, żeby zadzwonić, gdyby działo się coś dziwnego – odrzekł Troy Lee.

–Właściwie mówiliśmy, żebyście nie dzwonili – poprawił Cavuto.

–Serio? Wszystko jedno. Tak czy siak, wczoraj przybiegł Cesarz i zaczął walić w okna, cały przerażony kotami-wampirami.

–Widzieliście je?

–Tak, było ich od chuja pana. I nie wiem, jak chcecie je załatwić. Dlatego mam jasność, że to apokalipsa.

Clint, ten nawrócony, uniósł wzrok.

–Doszedłem do wniosku, że liczba bestii to ich liczba. Czyli było ich przynajmniej sześćset sześćdziesiąt sześć.

–Chociaż trudno było policzyć – wtrącił Drew. – Były w takiej chmurze.

Rivera spojrzał na Troya Lee, oczekując wyjaśnień.

–Wyglądało to tak, jakby wszystkie zmieniły się w parę, tak jak próbował zrobić stary wampir tej nocy, gdy wysadziliśmy jego jacht. Tyle że połączyły się w jedną wielką chmurę wampirów.

–Tak, zaczęła przenikać do sklepu, pomimo zamkniętych drzwi – powiedział Barry. – Tak się robi, jeśli palisz zioło w hotelu i nie chcesz, żeby wszyscy zaczęli wzywać ochronę. Zawsze musisz mieć ręcznik. Czytałem o tym w przewodniku dla zwiedzających galaktykę autostopem.

–Umiejętności – rzucił Drew, który miał już nieco szkliste oczy.

–Ale gdyby nie mokry ręcznik, to byłaby apokalipsa – stwierdził Troy Lee. – Clint szuka teraz w księdze wzmianki o ręczniku.

–Mam nadzieję, że to będzie apokalipsa typu Kopuła Gromu – powiedział Jeff. – A nie apokalipsa typu zombie, które próbują wyžreć ci mózg.

–Jestem prawie pewien, że to będzie apokalipsa typu miasto wyludnione przez koty-wampiry – odezwał się Barry. – Znaczący, opierając się na tym, co wiemy.

–To nie apokalipsa – odparł Cavuto.

–No i co się stało? – spytał Rivera. – Chmura po prostu sobie poszła?

–Tak jakby rozpadła się na wielkie stado kotów, które rozbiegły się we wszystkie strony. Ale co zrobimy dziś w nocy? Jeśli wróci? Cesarz przyprowałdził ją prosto do nas.

–Gdzie jest Cesarz?

–Poszedł dziś rano ze swoimi psami. Mówił, że chyba wie, gdzie może być naczelny kot-wampir, i że razem z żołnierzami zabije go, żeby uratować miasto.

–A wy mu pozwoliliście?

–To Cesarz, inspektorze. Gównu mu można kazać.

Rivera zerknął na Cavuto.

–Zadzwoń do centrali. Niech wydadzą komunikat, żeby każdy, kto zobaczy Cesarza, dał nam znać.

–Dzisiaj nie wyjdziemy z pracy, co? – spytał Cavuto.

–Weźcie sobie wolny dzień z powodu apokalipsy – podsunął Barry. – Juhuuu! Dzień apokalipsy!

Babcia Troya Lee wystrzeliła salwą kantońskiego dialektu w stronę wnuczka, który odpowiedział tym samym. Staruszka wzruszyła ramionami, podniosła wzrok na Cavuta i Riverę, mówiła przez jakieś pół minuty, po czym podeszła, wzięła od Jeffa piłkę i rzuciła zupełnie niecelnie, wywołując ogólne wiwaty.

–Co? Co? – spytał Cavuto.

–Chciała wiedzieć, czemu Barry krzyczy „juhuuu”, więc jej powiedziałem.

–Co ona na to?

–Że to nic takiego. Jak była mała, mieli koty-wampiry w Pekinie. Mówi, że są do dupy.

–Tak powiedziała?

–Po naszymu to inny idiom, ale tak, o to chodziło.

–To świetnie – odrzekł Cavuto. – Już lepiej się czuję.

–Musimy znaleźć Cesarza – stwierdził Rivera.

Cavuto wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu.

–I odebrać nasze okrycia na apokalipsę.

–A co z nami? – spytał Lash.

Rivera nawet się nie obejrzał, gdy mówił.

–Chłopaki, macie więcej doświadczenia w walce z wampirami niż ktokolwiek inny na tej planecie...

–To fakt, nie? – powiedział Troy Lee.

–Oj, ale mamy przejebane – stwierdził Lash.

–To smutne – stwierdził Drew, znowu nabijając fajkę. – Bardzosmutne.

CESARZ

Ciemność. Poczekał chwilę, słuchając własnego pulsu tętniącego w uszach, zanim zapalił następną zapalną.

–Odwagi – szepnął. Mantra, afirmacja, jakiś dźwięk, byle nie wyskakiwać ze skóry, gdy tylko w ciemności coś skrzypnie albo zaszura. Zapalił zapalną i trzymał ją w górze.

Z całej siły pociągnął wielkie stalowe drzwi. Otworzyły się na parę centymetrów. Może to było drugie wyjście. Bez wątpienia wszystkie te koty nie weszły przez okno, skoro zasłaniała je dykta. Łokciem pchnął je w bok, czując opór masy uspionych kotów-wampirów. Kiedy szpara była już dość szeroka, by się precisnąć, wepchnął tam ramię, po czym przystanął, gdy zapalka zgasła od tego ruchu.

Był w środku i podłoga pod stopami wydawała się czysta, chociaż miał wrażenie, że stoi na prochu. Zapalając następną zapalną, liczył, że zobaczy schody, korytarz, może kolejne zabite dyktą okno, w istocie jednak ujrzał małe pomieszczenie magazynowe, pełne szerokich metalowych półek. Powietrze faktycznie pokrywała gruba warstwa pyłu, a pośród niego piętrzyły się sterty ubrań. Poszarpane płaszcze, dżinsy, buty robocze, ale także jaskrawe satynowe ciuchy, modne spodnie, krótkie topy, koturny we fluorescencyjnych barwach, zmatowiały od pyłu i mroku.

To byli ludzie. Bezdomni i dziwki. Wampiry zaciągnęły tu ludzi, a potem ich zjadły – „wysssały na proch”, jak to określiła ta gotycka dziewczynka. Ale czemu? Choć dzikie i wyglodniałe, koty były przed przemianą zwierzętami domowymi. I nie wydawały się skłonne do wspólnego działania. Nie umiał sobie wyobrazić grupy dwudziestu kotów-wampirów ciągnących tu dorosłego człowieka. To nie miało sensu.

Zapalka oparzyła mu palec i odrzucił ją, po czym wyciągnął zza paska nóż, nim zapalił następną. Gdy zapłonęła, zobaczył coś na jednej z wysokich półek po przeciwległej stronie pomieszczenia. Coś większego niż domowy kot. Może to była jedna z ich ofiar, która przeżyła?

Wygodnie ujął nóż i ruszył naprzód, starając się nie wzdrygać, gdy zapyłone ubrania przyczepiały mu się do stóp i kostek.

To nie był kot. Przynajmniej nie domowy kot. Ale miał sierść. I ogon. Był wielkości ośmiolatka i tulił się do czegoś jeszcze większego. Cesarz uniósł nóż i postąpił krok naprzód, po czym się zatrzymał.

–Czegoś takiego nie widuje się co dzień – powiedział.

Kotowaty stwór spał na łyżeczce z nagą postacią Tommy’ego Flooda.

KRONIKI ABBY NORMAL, ŻAŁOSNEJ
KŁĘSKI WSZYSTKICH STWORZEŃ,
DUŻYCH I MAŁYCH

Zawiodłam jako pomagierka, jako dziewczyna i ogólnie jako istota ludzka, nie mówiąc już o biologii, którą ciągle totalnie zawalam, mimo że chodzę na lekcje po dwa razy.

Księżnej nie ma od jakiegoś tygodnia. Nikt nie widział ani jej, ani wampira Flooda. Chodzę na poszukiwania, głównie wtedy, gdy powinnam być w szkole. Nawet nie wiem, gdzie ich szukać. Po prostu łączę i pytam ludzi, czy nie widzieli totalnie seksownej rudej dziewczyny, a oni albo szybko się oddalają, albo – w wypadku jednego faceta, który, jak podejrzewam, był alfensem – proponują mi tysiąc dolarów, jeśli ją przyprowadzę, gdy już ją znajdę. Potem zaproponował mi pracę, bo powiedział: „Kolesie lecą na chude lolitki”.

Ja na to: „O, to bardzo mile, proszę pana. Dziękuję. Jak tylko znajdę przyjaciółkę, obie z radością będziemy obsługiwać odrażającą zgraję nieznajomych i oddawać panu wszystkie pieniądze razem z resztkami poczucia godności, jakie nam pozostały”.

A on: „Tak zrób, mała. Tak zrób”.

To kolejny powód, dla którego muszę znaleźć księżnę i błagać ją o wybaczenie, bo mój nowy fon ma kamerę wideo i nie mogę się doczekać, żeby wrzucić na blog klip z Jody rozrzucającą krwawe kawałki alfonsa po całym Tenderloin. (Księżna zrobiła mi wykład o szacunku do siebie i o tym, że kobieta nigdy nie powinna poświęcać swojej godności dla mężczyzny, chyba że on daje jej biżuterię albo jest niesamowitym ciachem i ma dobrą pracę, więc spodziewam się przynajmniej połamanych kości i porządnego lania).

Najwyraźniej w mieście nastąpił niedobór dziwek i bezdomnych, pisali o tym w „Chronicle”. Informowali o tym tak, jakby to było coś dobrego. „Coraz mniej występków”, czy jakoś w tym stylu. Był też inny artykuł, o tym, że w schroniskach dla bezdomnych pierwszy raz jest masa wolnych miejsc. OKMB! Oni stają się kocimi obiadekami, głąby! Właśnie dlatego nie chciałam być w szkolnej gazecie. Dziennikarze zapominają o tym, co zapomniane, i nawet nie pozwalają mówić „kurwa”.

Kiedy w końcu dotarłam do gniazdko miłości, wszystkie okna były zabite dyktą, a Fu i Jared zdążyli nazwać każdego szczura, porozmieszczać je alfabetycznie i w ogóle. Rzuciłam się w ramiona Fu i długo się całowaliśmy, a potem się rozejrzałam i:

„One nie żyją. Nasze poddasze jest pełne zdechłych szczurów”.

Jared na to: „Nie są martwe, tylko nieumarłe”.

No to ja do Fu: „Wyjaśnij, *s'il vous plait*”.

A Fu: „To niesamowite, Abby. Wystarczy wstrzyknąć im odrobinę krwi wampira i się przemieniają, ale dopiero kiedy je zabijesz. Trochę potrwało, zanim to rozpracowaliśmy”.

„Czyli zabiłeś wszystkie te szczury?”.

„Tak” – powiedział Jared. „Było mi smutno. Ale już się z tym pogodziłem. Dla nauki”.

„Jak?”.

A Fu na to: „Chlorkiem potasu”.

W tej samej chwili Jared zasunął: „Młotkiem”.

I wtedy jego oczy zrobiły się wielkie jak w filmie anime.

„Tak, chlorkiem potasu. To miałem na myśli”.

A ja: „Zabijaliście szczury i robiliście z nich wampiry, podczas gdy księżna i Tommy zaginęli, całe miasto zasypały ulotki o zaginionych kotach, a Chet i jego slugusy pożerają wszystkich bezdomnych i do tego zapewne dziwki?”.

A oni: „No... tak”.

„Musiałem iść do pracy i na zajęcia” – dodał Fu. „I wypolerować samochód”.

Wtedy Jared powiedział: „I jeszcze robiliśmy ultrafioletowe kurtki dla tych dwóch gliniarzy, a do tego potrzeba z milion takich cienkich drucików”. Wskazał nasz stolik do kawy, czyli jedyną powierzchnię, która nie była zastawiona klatkami z trupami szczurów, a tam leżały nawet nie kurtki, tylko ułożone w kształt kurtek siatki z drutu z małymi szklanymi paciorkami.

A ja: „Gliniarze nie mogą tego nosić. To wygląda jak bielizna dla robotów”.

A Jared: „*Tres* fajne, *non?*”.

„Nie!” – ja na to. „I nie paskudź już francuskiego swoim otworem na fiuta. Zepsujesz cały język, jeszcze zanim nauczysz się dosyć, by wyrazić głęboką rozpacz i mroczne żądze *en francais*, ty szczurobójco”.

Dobra, wiem, że pograłam trochę ostro, ale byłam zła, a na swoje usprawiedliwienie mam to, że lekko napierałam na nogę Fu, kiedy mówiłam „mroczne żądze”, więc powiedziałam to z miłością.

Fu na to: „Nie mieliśmy czasu, żeby kupić kurtki. Muszą być skórzane, a takie sporo kosztują”.

Czyli mamy jasność, że nawet pomimo szalonych naukowych umiejętności ninja, mój ukochany Fu nie może zostawać bez nadzoru kobiety. Ale ostatnio chodził do domu, a rodzice mają na niego zły wpływ.

Więc mówię: „Rozumiem. Pójdę się spotkać z Lily”.

Lily to moja rezerwowa NP. Była moją NP, ale akurat wtedy poznałam lorda Flooda i księżnę, a Lily dostała książkę, która przyszła pocztą do jej pracy, czyli do Komisu Ashera. I ta książka przekonała ją, że jest Śmiercią, więc ja do niej: „Wszystko jedno, zdziro”.

A ona: „Mogę swobodnie przeżywać własny koszmar, pasztecie”.

Byliśmy super.

Pojechałam autobusem 45 z zawałonego zdechłymi szczurami gniazdka miłości na North Beach. W drodze przez Chinatown zawsze przechodzą mnie ciarki z powodu wszystkich tych chińskich babć, które na pewno gadają o mnie, bo zepsułam im Fu swoim anglo-gotyckim urokiem. W dodatku łapie mnie szalona ochota na dim sum – powinnam kiedyś iść na terapię albo przynajmniej coś zjeść.

No i u Ashera Lily wyszła zza lady, uściskała mnie i mocno pocałowała w czoło (bo jest ode mnie wyższa, a do tego ma duże cycki).

A ja: „Mam na czole wielki fioletowy odcisk ust, tak?”.

A Lily: „Pocałunek Śmierci. Przywyknij, zdziro. Pasuje ci do końcówek włosów, *tres* super”.

Ja na to: „Okej”. Tak naprawdę to nie był pocałunek Śmierci, ale faktycznie pasował mi do włosów. Potem mówię: „Lils, potrzebuję męskich kurtek skórzanych w tych rozmiarach”.

Dałam jej karteczkę, którą napisał mi Fu, z rozmiarami, fasonami i w ogóle.

A ona: „CJK, Abs? Długa pięćdziesiątka? Kupujesz kurtkę dla orki?”.

„Dla gigantycznego gliniarza geja. Łapiesz?”.

„Aha. Chcesz zapalić goździkowego szluga?”.

A ja: „Wystarczy ci fioletowej szminki?”. Bo palenie jest najgorsze dla szminki, a ta naprawdę pasowała mi do włosów.

A ona: „Dziwko, proszę cię”. Co oznaczało: „Czy kiedyś miałam za mało rzeczy do makijażu?”. To prawda, bo nosi torbę z Robotami Piratami, do której można by schować dziecko, tyle że ona chowa w niej kosmetyki.

No to ja: „Okej”.

Więc Lily i ja wyszłyśmy tylnymi drzwiami i paliliśmy, gapiąc się na śmietnik, jakby to była otchłań naszej rozpacz. Właśnie się szykowałam, żeby opowiedzieć jej o gniazdku miłości, Fu, kotkach-wampirach i tak dalej, bo byłam jakby w trybie „chłopak”, czyli zero kontaktu, co Lily totalnie rozumie.

No i Lil zasunęła: „Czyli ten wielki gliniarz gej ma latynoskiego partnera?”.

A ja na to: „Rivera i Cavuto. Zgrzybiali mieszkańcy dnia, ale Rivera ma urok tajnego agenta. Znasz ich?”.

A Lily: „Tak, byli tu wczoraj, ten Rivera nosi drogie garnitury. I jeszcze dobrze pachnie. Bzyknęłabym się z nim”.

Zaczęłam się dławić.

„Lils, facet ma z tysiąc lat i jest gliną. Matkobot robił do niego maślane oczy. OMB! Jesteś obrzydliwa!”.

„Zamknij się, nie mówię, że normalnie bym się z nim bzyknęła. Ale gdyby zombie zgotowały światu apokalipsę, a my bylibyśmy uwięzieni w centrum handlowym i musielibyśmy zastrzelić się nawzajem, żeby nie mogły nam wyżreć mózgow i zrobić z nas nieumarłych... Wtedy bym się z nim bzyknęła”.

No to ja: „A, to co innego”. Żeby ją pocieszyć, bo nie ma chłopaka i czasami zachowuje się jak zdzira, by to sobie zrekompensować, ale nadal uważam, że to było obrzydliwe. Chciałam zmienić temat, więc pytam: „No i czego chcieli?”.

„Pytali o różne nieważne sprawy. Czy widziałam dziwne koty, czy widziałam Cesarza albo jakąś rudą panienkę...”.

Ja na to: „Kurwa! Kurwa! Kurwa!”. W duchu. Ale na zewnątrz jestem zupełnie wyluzowana i mówię: „Znaczący ty nic nie wiedziałaś, tak?”.

„Nie, Asher mówił, że ruda laska weszła do sklepu dwa wieczory temu, a potem wczoraj jechałam tramwajem do delikatesów Max po kanapkę i chyba widziałam, jak szła do hotelu Fairmont. Jak płaszcz z długich rudych kędziorów, dla którego mogłabym zabijać nawet małe pieski”.

„Czerwona skórzana kurtka?”.

„Cudna czerwona skórzana kurtka”.

„Nie powiedziałaś im, prawda?”.

Lily: „No, powiedziałam”.

A ja: „Ty zdradziecka dziwko!”. I przywalilam jej w ramię.

Na swoją obronę mam tyle, że należy mówić swojej byłej NP o nowych dziarach, więc ten wrzask to była gruba przesada. Skąd miałam wiedzieć, że ma na tym ramieniu świeży tatuaż? Ten jej cios w mój cyc był totalnie nie na miejscu.

Więc zaczęłam *tres* głośno jęczeć, a ta ruska kobieta z góry wyjrzała przez okno i woła:

„Proszę być cicho, to brzmi jak płonący niedźwiedź!”.

Na to Lils i ja zaczęłyśmy się śmiać i powtarzać raz po raz: „Jak niedźwiedź”, aż Rosjanka zatrzęsła okno. Jak niedźwiedź.

Potem wszystko mi się przypomniało i mówię: „Lils, muszę wziąć te kurtki i jechać do Fairmont. Muszę ratować księżnę”.

A Lily: „Okej”. Nawet nie spytała o szczegóły i właśnie za to ją kochani – taka z niej nihilistka, że to normalnie nie jest śmieszne.

Dobra, więc biorę te kurtki i łapię taksówkę do Fairmont, a taksjusz jest totalnie wkurzony, bo to tylko sześć przecznic, ale jak dojeżdżam do hotelu, to tylko mówię: „Kurwa”, bo jest już za późno.

JODY

Zасыпаніе было једną z czynności, за которыми Jody tęskniła, odkąd przestała być człowiekiem. Brakowało јей tego pełnego satysfakcji i zmęczenia uczucia zapadania się w łóżko i wypływania w mroczne morze snów. Właściwie, po przemianie, o ile tylko pożywała się wystarczająco często, nigdy nie czuła nawet zmęczenia. Przez większość poranków, jeśli akurat nie kochali się z Tommym, tracąc zmysły w swoich ramionach, po prostu znajdowała sobie wygodną pozycję i czekała, aż słońce wzejdzie i ją wyłączy. Może czasem zatrzepotała przez sekundę powieką, lecz potem gasła niczym lampa.

Stanem najbliższym snu, jakiego doświadczyła jako wampirzyca, była przemiana w mgłę wewnątrz brązowego posągu, ale nawet wtedy drzwi do krainy marzeń zamykały się o świcie. Stała czujność wampira była, cóż, nieco irytująca. Zwłaszcza że od tygodnia szukała Tommy'ego po całym mieście, wysilając swe wyostrzone zmysły do granic możliwości, i co rano musiała wracać do hotelu z niczym. Najwyraźniej Tommy pokuśtykał do zaułka i zniknął. Sprawdziła wszystkie miejsca, do których kiedykolwiek go zabrała, wszystkie miejsca, w których był – i o których wiedziała – a jednak nigdzie nie natrafiła choćby na cień dowodu, że Tommy tam zaglądał. Liczyła, że będzie miała jakiś specjalny wampiryczny „szósty zmysł”, który pomoże јей go znaleźć – stary wampir, który ją przemienił, najwyraźniej miał taki zmysł – ale nie.

Teraz wracała do swojego pokoju w Fairmont na siódmy z kolei poranek. Siódmy raz miała wywiesić tabliczkę „nie przeszkadzać”, zamknąć drzwi, włożyć dres, wypić torebkę z krwią, trzymaną w zamkniętym minibarku, umyć zęby, a następnie wpełznąć pod łóżko i przeszukiwać w myślach plan miasta, dopóki nie wyłączy јей brzask. (Ponieważ o świcie była, technicznie rzecz biorąc, martwa, spanie na wierzchu wygodnego materaca stanowiło niebezpieczny luksus, wpełzając zaś pod łóżko, odgradzała się od światła słonecznego јeszcze једną warstwą, na wypadek gdyby jakaś wścibska pokojówka dostała się do јей pokoju).

Częścią јей nowego przedporannego rytuału był nieco późniejszy powrót do hotelu każdego kolejnego ranka – niczym skoczek spadochronowy, który coraz bardziej zbliża się do ziemi, zanim pociągnie за uchwyt, by trochę zwiększyć przyływ adrenaliny. Przez ostatnie dwa dni wchodziła do hotelu akurat w chwili, gdy zaczynał piszczeć јей zegarek z alarmem, nastawionym na dziesięć minut przed wschodem słońca zgodnie z elektronicznym kalendarzem. Taki sam zegarek kupiła także Tommy'emu i zastanawiała się, czy wciąż go nosi. Idąc przez California Street, próbowała sobie przypomnieć, czy miał go na ręce, gdy wycięli go z brązowej skorupy.

Alarm zadziałał dwie przecznice od Fairmont i nie mogła powstrzymać uśmiechu na myśl o dreszczyku emocji. Przyspieszyła kroku, wiedząc, że i tak znajdzie się bezpieczna w pokoju ze sporym zapasem czasu przed wschodem słońca, ale być może będzie musiała zrezygnować z dresu i krwawej przekąski.

Wchodząc po schodach do lobby, poczuła zapach cygar oraz wody kolońskiej „Aramis” i to połączenie sprawiło, że elektryczny dreszcz niepokoju przeszedł po јей plecach, zanim јeszcze zidentyfikowała zagrożenie. Gliny. Rivera i Cavuto. Rivera pachniał aramisem, Cavuto cygarami. Zatrzymała się, a obcasy јей butów poślizgnęły się lekko na marmurowych stopniach.

Zobaczyła ich przy recepcji, boy prowadził ich јednak do windy. Zabierał ich do јей pokoju.

Jak? – pomyślała. Nieważne. Robiło się widno. Spojrzała na zegarek: trzy minuty na

znalezienie schronienia. Cofnęła się od drzwi, zeszła na chodnik, a potem puściła się biegiem.

Zazwyczaj opanowałyby się, by nikt nie zwrócił uwagi na rudą kobietę w wysokich butach i dżinsach, biegnącą szybciej niż sprinter na Igrzyskach Olimpijskich, ale teraz – trudno. Niech zobaczą i opowiedzą kolegom, którzy i tak im nie uwierzą. Potrzebowała osłony, i to natychmiast.

Przebiegła dwie i pół przecznicy przez Mason Street i znalazła się w bocznym zaułku. Pierwszą noc po przemianie w wampira przeżyła pod śmietnikiem. Może zdoła przetrwać noc w środku. Ale ktoś tam był, pracownicy restauracyjnej kuchni, którzy wyszli na papierosa. Biegła dalej.

Na odcinku następnych dwóch przecznic nie natrafiła na żadne zaułki, dalej zaś znalazła wąską przestrzeń między budynkami. Może zdoła się tam wcisnąć i wpełznąć w jakieś piwniczne okienko. Przeczłogała się przez wąskie drzwiczki z dykty i zdążyła opuścić jedną nogę, zanim z korytarza wypadł pitbul. Wyskoczyła na chodnik i znowu zaczęła biec. Co za psychopata używa półmetrowej przestrzeni jako wybiegu dla psów? Powinni tego zakazać.

To było Nob Hill, otwarta przestrzeń z szerokimi bulwarami, dumna niegdyś dzielnica, dzisiaj nad wyraz irytująca dla wampirzycy, która poszukuje schronienia. Skręciła za róg przy Jackson Street, łamiąc przy tym obcas prawego buta. Wiedziała, że powinna nosić trampki, ale drogie skórzane buty z cholewami pozwalały jej się poczuć nieco jak superbohaterka. Okazało się, że skręcona kostka boli jak diabli, nawet gdy jesteś superbohaterką.

Teraz poruszała się na palcach, biegnąc, kuśtykając ku Jackson Square, najstarszej dzielnicy San Francisco, która przetrwała wielkie trzęsienie ziemi i pożar w 1906 roku. W starych ceglanych budynkach było tam pełno małych skrytek i piwnicznych sklepików. Jedna z budowli miała nawet w piwnicy ozebrowanie żaglowca – wraku, który zabudowano, gdy po gorączce złota zostało tyle statków, porzuconych na wybrzeżu, że miasto dosłownie się na nie rozrosło.

Minuta. Piramida Transamerica kładła na okolicę długi cień, niczym wskazówka śmiercionośnego zegara słonecznego. Jody rzuciła się do ostatniego, rozpaczliwego sprintu, łamiąc przy tym drugi obcas. Rozglądała się po ulicach w poszukiwaniu okien, drzwi, starając się wyczuć w środku ruch, szukając spokoju i prywatności.

Tam! Po lewej, drzwi poniżej poziomu ulicy, klatka schodowa, przykryta porośniętą jaśminem poręczą z kutego żelaza. Jeszcze dziesięć stopni i będę na miejscu. Wyobraziła sobie, jak przeskakuje przez poręcz, wyważa ramieniem drzwi i nurkuje pod pierwszy z brzegu przedmiot, który osłoni ją przed światłem.

Zrobiła trzy ostatnie kroki i skoczyła akurat w chwili, gdy słońce wyłoniło się nad horyzont. Zesztywniała w powietrzu, spadła na chodnik przed schodami i prześlizgnęła się, szurając po ziemi ramieniem i twarzą. Gdy jej oczy się zamykały, dokładnie przed sobą zobaczyła jeszcze parę pomarańczowych skarpet, a potem straciła przytomność i zaczęła się tlić w promieniach słońca.

Chiński sklep z ziołami pachniał lukrecją i suszonym małym tyłkiem. Zwierzaki wcisnęli się w wąskie przejście między ladami, próbując schować się za babcią Troya Lee i ponosząc spektakularną porażkę. Za szklaną gablotą sklepikarz wydawał się jeszcze starszy i bardziej przerażający niż babcia Lee, co do tej pory żadnemu z nich nie wydawało się możliwe. Zupełnie jakby wyrzeźbiono go z jabłka, a potem na sto lat położono na parapecie, by wysechl.

Ściany sklepu były wypełnione od podłogi po sufit małymi szufladkami z ciemnego drewna, co do jednej wyposażonymi w małą brązową ramkę i białą karteczkę ze znakami chińskiego alfabetu. Starzec stał za szklanymi gablotami, w których leżały najróżniejsze wysuszone fragmenty roślin i zwierząt, od całych koników morskich i maleńkich ptaszków, przez kawałki rekinów i ogony skorpionów, po dziwne, kolczaste strzępy, które wyglądały tak, jakby przyleciały z innej planety.

–Co to? – zwrócił się Drew do Troya Lee spod welonu włóknistych jasnych włosów. Wskazał pomarszczony czarny przedmiot.

Troy Lee powiedział coś po kantońsku do babci, która powiedziała coś do sklepikarza, a ten szcęknął coś w odpowiedzi.

–Penis niedźwiedzia – rzekł Troy Lee.

–Kupimy trochę? – spytał Drew.

–Po co? – zdziwił się Troy.

–Na wszelki wypadek – wyjaśnił Drew.

–Jasne, dobra – odparł tamten, po czym rzucił coś po kantońsku do babci. Nastąpiła wymiana zdań ze starcem, aż w końcu Troy powiedział: – Ile chcesz? Kosztuje pięćdziesiąt dolców za gram.

–Kurde – wtrącił Barry. – Drogo.

–Mówi, że nigdzie nie kupisz lepszego suszonego penisa niedźwiedzia – stwierdził Troy Lee.

–Dobra – odrzekł Drew. – Jeden gram.

Troy przekazał przez babcię zamówienie sklepikarzowi. Ten odciął czubeczek niedźwiedziego prącia, zważył i umieścił na czubku stosiku ziół na kawałku papieru, który położył na ladzie dla Drew. Papier babci był znacznie większy i handlarz pół godziny dreptał po sklepie, zbierając składniki. W pewnej chwili, gdy stał na szczycie drabiny w kącie sklepu, Zwierzaki przeskoczyli ladę i splekli ramiona w charakterze żywej sieci ratunkowej, co tylko przeraziło starca i wywołało u babci tyradę po kantońsku, na którą wszyscy zareagowali jak psy, gwałtownie zwracając na nią uwagę i przechylając głowy, jakby mieli jakiegokolwiek pojęcie, o czym, do cholery, mowa.

Ostatnio Zwierzaki mieli wiele do czynienia z ratowaniem życia. Zazwyczaj faceci w ich wieku byli przekonani o własnej nieśmiertelności, a przynajmniej obojętni na swoją śmiertelność, ale odkąd zostali zamordowani przez niebieską dziwkę, przemienioną w wampira, potem wskrzeszeni jako wampiry, a na koniec przywróceniu do życia dzięki genetycznej alchemii Psa Fu, odczuwali coś, co można określić tylko mianem jezusowości.

–Czuję się bardzo jezusowo – powiedział Jeff, wysoki sportowiec.

–Ja zawsze czuję się bardzo jezusowo – odparł Clint, który zawsze się tak czuł.

–Tak, bardzo jezusowo, dziwki! Chodźmy zbawić jakichś skurwieli! – krzyknął Lash, co u

wszystkich wywołało lekkie zażenowanie, jako że siedzieli wtedy w Starbucks, rozprawiając o ataku kociej chmury i informacjach, które wymienili z dwoma gliniarzami z wydziału zabójstw. – Wszystko zależy od nas – dodał cicho Lash, jakby zapadając się w swoją bluzę z kapturem i wkładając ciemne okulary.

Teraz patrzyli, jak stary sklepikarz zawija zestaw składników dla babci w papier i skręca go tak mocno, że stał się sztywny niczym wykałaczką, po czym odwraca pakuneczek i pisze na odwrocie jakieś chińskie znaki za pomocą ołówka stolarskiego.

–Co tam jest napisane? – zwrócił się Barry do Troya Lee...

–„Lekarstwo na koty-wampiry”.

–Bez kitu?

–No. A do tego masa ostrzeżeń przed skutkami ubocznymi.

Godzinę później siedzieli wokół stołu kuchennego u Lee, czekając, aż zagotuje się zupa w wielkim dwudziestolitrowym kotle na kuchni.

Babcia Lee podniosła się z krzesła i podeszła tam z paczuszką ziół. Troy Lee dołączył do niej, pomógł odpakować zawiniątko, po czym odsunął papier od palnika, gdy staruszka wrzucała do wrzątku garście ziół i fragmentów zwierząt. Z gara dobyły się ohydne i magiczne opary, niczym gazy smoka na diecie złożonej tylko z demonów.

–Czy to naprawdę podziała, babciu? – spytał po kantońsku Troy Lee.

–O, tak. Używaliśmy tego, kiedy byłam małą dziewczynką w Chinach i na miasto napadły koty-wampiry.

–I ciągle mają przepis w sklepie przy Stockton Street?

–To dobry przepis.

–A jak się tego w ogóle używa?

–Z petardami.

–To jest mokre, jak chcesz używać petard?

–Nie wiem, po prostu lubię petardy.

Zwierzaki zatkali nosy i zaczęli się ulatniać z kuchni.

–Śmierdzi jak sfermentowana dupa skunksa – stwierdził Jeff.

Babcia powiedziała coś po kantońsku, dodając „moje dziwki” w okropnie pozbawionym akcentu angielskim.

–Co? Co powiedziała? – spytał Jeff.

–Mówi: „Stąd wiemy, że to dobry przepis, panowie” – przełożył Troy Lee.

CESARZ

Ciemna piwnica. Tysiąc śpiących kotów-wampirów. Jeden dawny człowiek, obecnie wampir. Jedna ogromna, ogolona hybryda kota-wampira. Pięć zapalek. Brak wyjścia. Pół godziny, może mniej, do zmierzchu.

Cesarz nie należał do ludzi używających wulgaryzmów, ale gdy ocenił sytuację i oparzył sobie palce, a do końca zostały mu cztery zapalki, powiedział:

–Jest do dupy.

Nie dało się nic na to poradzić, czasami mężczyzna, nawet szlachetny, musi mówić szorstką prawdę, a jego sytuacja faktycznie była do dupy.

Próbował już wszystkiego, co mu przyszło do głowy, by uciec z piwnicy, od zbudowania schodów do okna z pustych dwustulitrowych beczek, aż po wrzaski o pomoc, głośnie niczym u kogoś, kto się pali, ale nawet na platformie z beczek po oleju nie miał wystarczającego punktu podparcia ani siły, by odsunąć śmietnik od okna.

Słyszał skamłanie Bummera i Lazarusa w zaułku na zewnątrz.

Wszystkie pozostałe okna były zamurowane, wszystkie stalowe drzwi zaryglowane, a windy i liny, ma się rozumieć, już dawno zabrano z szybów (co odkrył po godzinie podważania drzwi metalową podporą, którą zabrał z jednej z półek, gdzie Tommy Flood leżał skulony z Chetem). Pylista struga zmierzchu sączyła się z góry szybem windy, dzięki czemu Cesarz zyskał pewność, że nie da się wspiąć tym szybem i że zachód słońca jest już niebezpiecznie blisko, jako że blask nabrał ciemnopomarańczowej barwy.

Będzie walczył, o tak, nie podda się bez walki, ale nawet nadzwyczaj sprawny drobny szermierz uległ atakującemu stadu kotów, więc jakie szanse miał on, w ciemności, uzbrojony tylko w metalowy pręt? Sprawdzał już, czy w beczkach nie ma łatwopalnych substancji, licząc, że zdoła spalić swoich wrogów, zanim się obudzą, nie miał jednak szczęścia. W beczkach były jakieś ciała sypkie i stałe, a zresztą i tak nie wiedział, jak miałby uniknąć uduszenia wyziewami z palonych kotów.

A potem, gdy rozmyślał, jak uciec przed płomieniami, przyszło mu do głowy, jak to zrobić. Wrócił do pomieszczenia magazynowego, gdzie leżeli Chet i Tommy, po czym zapalił jedną z cennych zapalek, by określić swoją pozycję. Tak, w drzwiach wciąż był rygiel, a do tego znajdowało się tam dosyć beczek i półek, by zbudować za nimi barykadę. Zapalka zgasła i zaczął iść po omacku, aż dotknął pleców Tommy'ego. Zimne ciało. Złapał byłego przyjaciela pod pachy i ściągnął go z półki, po czym powłókł przez pomieszczenie, objając po drodze o drzwi. Przepchnął go na bok i wzdrygnął się na chrupnięcie, które się rozległo, gdy spadł na nieruchome ciała martwych kotów.

Ruszył z powrotem przez mrok, macając dookoła, aż trafił na sierść Cheta. Wyczuł coś, co uznał za przednie łapy, po czym znów cofnął się przez pomieszczenie, holując wielkiego ogolonego kota-wampira. Chet był lżejszy niż Tommy, ale niewiele, więc Cesarz dostał zadyszki. Nie mógł sobie pozwolić na to, by usiąść. Snop światła w szybie windy nabrał koloru głębokiej czerwieni.

Usłyszał za oknem szczekanie Bummera.

–Uciekajcie, żołnierze! Zabierajcie się stąd. Znajdę was rano. Sio!

Nigdy nie podnosił głosu do żołnierzy, nawet gdy groziło im niebezpieczeństwo, i teraz usłyszał skamłanie Lazarusa z powodu takiego rozkazu, po chwili jednak rozległ się warkot

Bummera, odciągane go za sierść na karku. Sto metrów dalej dotrze do niego, co robić.

Żołnierze byli bezpieczni.

Zamknął metalowe drzwi, a potem ciągnął, aż usłyszał trzask. Wreszcie zużył przedostatnią zapalkę, by popatrzeć na prosty zamek i ostatni raz omieść wzrokiem pomieszczenie, próbując zapamiętać układ beczek i półek, bo wiedział, że będzie się musiał poruszać w ciemności.

Gdy zapalka się dopaliła, usłyszał ruch w pomieszczeniu na zewnątrz. Po prawej stronie drzwi stał metalowy regał. Złapał go i przewrócił na drzwi. Tak, otwierały się na zewnątrz, ale co to szkodziło? Im większą liczbą obiektów odgradzał się od kotów-wampirów, tym lepiej. Podnosił spod nóg naręcza ubrań i rzucał je na półki, a potem cofnął się przez pomieszczenie, ciskając przed siebie wszystko, czego dotknął, przedostając się na drugą stronę. W końcu podpełzł do ciężkiej półki, na której leżeli wcześniej Tommy i Chet. Przykucnął przodem do drzwi. Wymacał rękojeść kuchennego noża, który nosił za pasem na plecach, po czym wyciągnął go i trzymał przed sobą.

Z pomieszczenia na zewnątrz dobiegły wyraźne kocie odgłosy – piski, syki i miauki. Obudziły się, wstały i poruszały się. Rozległo się ostrożne drapanie do drzwi, potem przybrało na sile, jakby ktoś włączył na zewnątrz maszynę do piaskowania, a potem ustało równie szybko jak się zaczęło i mężczyzna słyszał już jedynie własny oddech.

Nie. Był jakiś ruch. Cichy szelest tkaniny, a potem niegłośne, wibrujące mruczenie. Dobiegało od wewnętrznej strony drzwi, był tego pewien. Włożył nóż między zęby i zapalił ostatnią zapalną. Pomieszczenie wyglądało tak, jak się spodziewał – mnóstwo gruzu i beczek – ale spod regału przed drzwiami sączyła się warstewka mgły, sunęła po podłodze w jego stronę, rozwijając się w niewielkie fale, wydające dźwięki podobne do mruczenia.

KRONIKI ABBY NORMAL,
KTÓRA, ZBRUKANA PLUGAWYM
WSYSANIEM SZCZURÓW, MUSI
ZNALEŹĆ WŁASNEGO MORDERCĘ

Skąd miałam wiedzieć, że moja tragiczna karma wyciągnie oślizgłe macki, by mój bohaterski Fu ześwirował poza granice naszego gorącego romansu? Dobra, wpadłam na maksa w panikę, że gliniarze omal nie dorwali księżnej, i musiałam wyżalić się Fu, lecz nie miałam na to szansy, bo, gdy tylko wróciłam do gniazdka miłości, rzuciłam się w jego niosące ulgę ramiona i ściągnęłam go na ziemię, gdzie całowałam go po francusku, aż tak jakby zachłysnął się w ekstazie. Po prostu zrzucił mnie z siebie, jakbym była grudką gumy *Bubblicious*, ale wyżutą z całego *licious*.

I mówi: „Nie teraz, Abby. Mamy kryzys”.

„Zaraz będziesz miał kryzys, lajzo...”. Przybrałam swój najbardziej autentyczny akcent hip-hopowej zdziury. „Kryzys mojego obcasa na swoich klejnotach”.

A on totalnie ignoruje moje zranione uczucia i nawija: „Jared, drzwi! Zostawiła otwarte drzwi.”.

Więc Jared potyka się, lecąc przez poddasze do drzwi, a ja: „Rozciągasz mi buty”.

A on: „Szczurza mgła! Szczurza mgła! Szczurza mgła!”.

A ja: „Nie nazywaj mnie szczurzą mgłą, skurwielu. Kto trzymał ci włosy, kiedy wypileś całą flaszkę likieru miętowego i godzinę rzygaleś na zielono?”.

Na to Fu: „Abby, spójrz”. I pokazuje na te małe plastikowe klatki na stoliku do kawy, które były w miarę puste, a potem na tę parę, która unosi się przy ścianach, wydobywa spod lodówki w kuchni i w ogóle.

Mówię: „Wyjaśnij, *s'il vous plait*”.

A Fu: „O zmierzchu szczury obudziły się jako wampiry. Jared i ja karmiliśmy je krwią, którą zostawiła Jody, napelniając te ich poidelka. Ale potem się odwróciliśmy i te, które mieliśmy nakarmić, wydostały się z klatek. A później zobaczyliśmy, że z niektórych klatek ciągle leci mgła i kieruje się do torebek z krwią”.

„I one gryzą” – mówi Jared.

„Tak, gryzą” – mówi Fu. Potem podwija nogawkę spodni i pokazuje mi miejsce ugryzione tak z dziesięć razy.

A ja na to: „Nie możesz zostać wampirem beze mnie”.

A on: „Nie, musiałbym mieć w sobie trochę ich krwi, a uważałem, żeby nie znalazła się nawet na mnie”.

Nagle smuga mgły zaczęła się wspinać po moim bucie (miałam czerwone martensy) i wyłoniła się z niej mała główka. Wtedy Fu wyciąga jakby znikąd raketę tenisową i wali w ten szczurzy łeb, który leci przez pokój i uderza o ścianę, ciągnąc za sobą mgłę jak ogon komety.

Wiem! Rakietę tenisową. CJK?

No to mówię: „Skąd masz raketę? To jakiś twój mały sekret?”.

„Nie rozumiesz, o co chodzi” – zasuwa Jared, jakbym totalnie nie rozumiała, o co chodzi. „Halo? Powinniśmy się bać, że nas zeżrą, Siostrzo Obojętna”.

Właśnie wtedy mgła znowu zaczęła nabierać kształtu i zbliżać się do mnie, więc Fu przyłożył następnemu na wół mglistemu szczurowi i posłał go przez pokój.

Na to ja: „Okej, słuszna uwaga. Co robimy?”. I pokazuję guzik mojej słonecznej kurtki, bo Fu wymienił baterię, wyciągniętą z laptopa, i jestem gotowa, żeby usmażyć parę gryzoni.

A Fu: „Nie, jeszcze nie. Trzeba znaleźć sposób, żeby je zbadać. Muszę je zmienić z powrotem w szczury. I muszę się dowiedzieć, w jaki sposób ta mgła się ukazuje. Znaczący, technicznie to niemożliwe”.

Więc pytam: „Znaczący, że to magia?”.

„Znaczący, że nigdy nie słyszałem o czymś takim w przyrodzie”.

„Jak o magii”.

A on: „Nie ma czegoś takiego jak magia”.

Ja na to: „Księżna powiedziała, że to magia”.

A on: „Moja babcia myśli, że mikrofalówka to magia”.

Więc pytam: „A nie?”.

Na to Fu: „Magia to po prostu nauka, której jeszcze nie rozumiemy”.

Więc ja: „Nie mówiłam?”.

Westchnął ciężko, zrobił do mnie tę swoją minę zniecierpliwionego naukowca i powiedział: „Musimy zamknąć je z powrotem w klatkach. Nie mogą żerować pod postacią mgły, więc trzeba skłonić je do żerowania, a wtedy będziemy mogli je złapać i powsadzać do klatek”.

Mówię: „Uwierzysz, że Tommy nie mógł nauczyć się zmieniać w mgłę przez pięć tygodni, a twoje szczury zrobiły to z dnia na dzień? Musi być totalnym głąbem”.

„Albo mamy genialne szczury” – zasunął Jared, akurat w chwili, kiedy Fu zrzucił mu z nogi rakieta następną szczurzą głowę.

Ja na to: „Nie wydaje mi się. Dlaczego nie wystawisz po prostu talerzyka z krwią? Jak nabiorą kształtu, żeby się napić, możesz powrzucać je rakieta do pudełka”.

„Próbowaliśmy. Zorientowały się” – odparł Fu.

A Jared: „Widzisz? Genialne szczury”.

Wtedy mówię do Fu: „Wiesz, on ma słabość do szczurów”.

A Fu: „Tak. Zauważyłem. Wracają też do normalnej postaci wystawione na promienie UV, ale wtedy zaczynają się palić”.

Potem Jared powiedział: „Raz, jak Lucyfer 2 utknął w rurze odpływowej w garażu, wyciągnęliśmy go odkurzaczem»Shop Vac«mojego ojca”.

A Fu: „Właśnie. Możemy je wessać do odkurzacza”.

Wtedy ja mówię: „Wtedy mgła wyleci po prostu z drugiej strony, nie?”.

„Mogę włożyć bardzo słabą diodę UV do zbiornika odkurzacza. Może to pozwoli przywrócić im zwykłą postać i ich nie spalić. Poeksperymentuję trochę, jak cię nie będzie”.

Ja na to: „Fu, wiesz, że mnie to kręci, kiedy nawijasz jak uczony, ale co masz na myśli, mówiąc:»jak cię nie będzie«?”.

A on: „Pójdziesz po odkurzacz»Shop Vac«. Nie mamy takiego”.

Spojrzałam na Jareda, któremu trząsał się tyłek w moich butach „Skankenstein®”, więc był bezużyteczny, i powiedziałam: „Nie będę targać wielkiego odkurzacza autobusem ani tramwajem, daj kluczyki do samochodu”.

Fu szeroko otworzył usta w stylu „O NIEEE” i miał oczy jak postać z anime, jakby chciał

spytać „cooooo?”.

No to ja: „Chyba że naprawdę kochasz swój samochód bardziej niż mnie”.

A on: „Okej”. I dał mi kluczyki. Co okazało się kiepskim pomysłem.

Muszę lecieć. Przyjechał holownik.

No dobra, okazuje się, że jazda prawdziwym samochodem jest znacznie trudniejsza niż w „Grand Theft Auto: Zombie Hooker Smackdown”. Mimo że uszkodzenia były w sumie niewielkie, można by ich uniknąć, gdyby nie trzeba było ciągle zmieniać biegów. Wszystko szło znakomicie, gdy jechałam po shop vaca, bo używałam tylko jedynki i dwójki. Wracalam już do domu, kiedy poczułam się pewnie, więc postanowiłam sprawdzić, czy jest też trójka, i wtedy coś poszło nie tak. Mimo wszystko te wrzaski i płacze Fu były przesadną reakcją w stylu emo. W końcu, kiedy holownik opuścił hondę, nie było nawet widać żadnych uszkodzeń, chyba że człowiek wczuł się pod spód i popatrzył tam, gdzie hydrant zmienił trochę układ paru kabli. A hondy są zasadniczo wodoodporne, więc to nic wielkiego, prawda?

A było tak...

Prowadziłam jak ninja przez całą drogę do sklepu z narzędziami Ace w Castro, ale nie zaparkowałam, bo to wymaga cofania, które nie należy do moich umiejętności. Więc stanęłam na drugiego, wbiegłam do środka, a ten dziadyga za ladą zasunął: „Tam nie wolno parkować”.

Ja na to: „Odpieprz się, dupku, mam faceta”.

No i dobra, znalazłam swojego gejowskiego Boba Budowniczego, a on: „Skarbie, jak się masz? Superanckie buty!”.

A ja: „Dzięki, podoba mi się twój kombinezon. Potrzebny mi shop vac”.

A on: „Jakiej wielkości?”.

A ja: „Musi się w nim zmieścić ze sto szczurów”.

A on: „Dziewczyno, musimy iść razem na imprezę albo zakupy i obiad”.

Totalnie mi to pochlebilo, bo zakupy to dla gejów święta rzecz, ale dalej skupiałam się na misji, więc zasunęłam: „Czerwony, jeśli macie”. Bo czerwien to nowa czerń, a poza tym pasuje do moich martensów.

No i poszliśmy do działu z odkurzaczami, a Bob zasunął: „Jak tam Mroczny Pan?”.

Ja na to: „O, poszedł sobie. Próbował mi wyszarpnąć tętnicę szyjną, więc księżna wyrzuciła go przez okno i to zraniło jego uczucia”.

Więc Bob poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „Faceci. Co zrobić? Wróci. Ale wiertarka się sprawdziła?”.

A ja: „O tak. Wyciągnęliśmy go, ale złamał obie nogi, bo się napalił”.

Wtedy przybrał ojcowski ton i powiedział: „Hasło bezpieczeństwa, skarbie. Każdy powinien mieć hasło bezpieczeństwa”.

A ja na to: „Okej”.

Potem Bob Budowniczy pomógł mi załadować shop vaca do samochodu, bo okazało się, że do wessania stu szczurów potrzeba odkurzacza tak wielkiego, że można by w nim spać.

Dobra, potem pojechałam, nastąpiła akcja z samochodem, zjawili się gliniarze i zaczęli nawijać: „Nie masz prawa jazdy i nie wolno parkować na chodniku, bla, bla, o mój Boże, moje nudne gliniarskie życie jest tak beznadziejne, że chyba zeżrę ten pistolet, bla, bla”.

A ja na to: „Luz, gliny. Wezwijcie moich gliniarskich sługusów Riverę i Cavuta, *s'il vous plait*. Potwierdzą, że wykonuję tajną gliniarską misję i że tacy żałośni mieszkańcy dnia, jak wy,

nie powinni zawracać mi dupy”. Potem dałam im wizytówkę Rivery, którą wyciągnęłam z torby takim ruchem, jakby to była legitymacja twardziela.

No i gliniarz jeden, który rządził, bo miał kluczyki do radiowozu, zasunął: „Sprawdźę to, zaczekajcie tutaj, a ja pójdę pohłasować radiem w samochodzie, jak ostatni frajer, a tymczasem moją żonę posuwa w domu jakiś hojnie obdarzony student”.

Parafrazuję.

I po jakichś dwóch minutach podjechali Rivera i Cavuto. Teraz mają psa. Wabi się Marvin i jest *tres* uroczy. Cały rudy i wygląda jak doberman czy inna bestia, ale totalnie mnie polubił i merdał tym krótkim ogonkiem, a ja dałam mu na dłoni trochę wody z hydrantu, i on się napił, chociaż wszędzie wokół było mnóstwo wody, ale pewnie smakowała ulicą i w ogóle.

I mówię: „Rivera, powiedz tym palantom, że ty i misiwaty pedzio jesteście moimi dziwkami”.

Na to Rivera cichym głosem zatroskanego gliniarza: „Dziewczyna ma problemy psychiczne”.

„Rana głowy wywołała zespół Tourette’a – dodał Cavuto.

„Zajmiemy się tym” – powiedział Rivera.

Więc musiałam jechać z tyłu gliniarskiego samochodu z Marvinem i odkurzaczem. Było bardzo ciasno, a Marvin ciągle chciał mnie lizać po twarzy, przez co makijaż miałam *tres* zjebane, gdy już dotarliśmy na poddasze.

Mówię: „Marvin kocha mnie jak nie wiem co, gliny”.

A Cavuto: „Nic dziwnego, to pies od trupów”.

A ja: „Akurat, zmyślasz, bo chcesz wyjść na luzaka”.

A Rivera: „Wysiadaj. Powiedz swojemu chłopakowi, że jak najszybciej potrzebujemy tych kurtek. A jak już przekażesz wiadomość, idź do domu. Powinnaś być u matki”.

No i zostawili mnie na chodniku z odkurzaczem i odjechali. W oczach Marvina zobaczyłem łzy psiej rozpaczy.

Napisałam do Fu SMS-a, że potrzebuję pomocy przy wniesieniu shop vaca na górę, a on zszedł na dół w chwili, gdy przyjechał holownik, więc zaraz zaczęły się te wszystkie wrzaski i płacze. Fu w ogóle nie dawał się pocieszyć i nawet kiedy zaproponowałam mu ręczną robótkę – czyli najlepsze, co mogłam dla niego zrobić na chodniku, w obecności przechodniów – odmówił, czym chyba udowodnił, że naprawdę kocha samochód bardziej niż mnie.

Więc myślę sobie: o nie! Czarna jak atrament rozpacz odrzucenia otoczyła mnie niczym ciemna tortilla depresji, zawinięta na burrito bólu.

Chciałam oplakiwać swoją utraconą niewinność, ale nie. Musieliśmy naprawić odkurzacza, by wessał wampiryczną szcurzą mgłę i zmienił ją w wampiryczne szcurze mięso. Więc kiedy Fu montował w shop vacu jakieś naukowe ustrojstwa, musiałam ściągnąć Jareda z blatu kuchennego, gdzie postanowił stanąć, i dostał ciężkiego świra, gdy osiągnął granice swojej odporności na szcurzą mgłę.

Krzyczał: „Zabierz je ode mnie! Zabierz je ode mnie!” – i wymachiwał rakieta jak cholerny wiatrak, chociaż mgły nie było nigdzie w pobliżu, tylko unosiła się pod ścianami jak listwa przypodłogowa z pary.

A ja na to: „Musisz wyluzować, pajacu, moje buty rysują blat”.

Jared, jak na sygnał, zaczął się drzeć niby mała dziewczynka. (Kiedy Lily i ja przechodziłyśmy fazę stylu gotyckiej lolity – który obie potem porzuciłyśmy, ja dlatego, że

właśnie zrobiłam sobie piercing wargi i kawa latte ciągle kapala mi na koronki, a Lily dlatego, że w plisach jej tyłek wyglądał grubo – chodziliśmy do parku przy Washington Square i ćwiczyliśmy przerażone krzyki małych dziewczynek. Ale nawet bez treningu Jared był znacznie lepszy niż którakolwiek z nas. Myślę, że to może przez astmę. Ja i Lily przebijaliśmy go za to budzącymi dreszcz spojrzzeniami).

Tak czy siak, cieszyłam się, że Jody zabrała mu sztylet, bo ktoś mógłby stracić oko, gdyby ciągle go miał, kiedy podciąłam go tą samą stalową lampą podłogową, której księżna użyła na Tommym. (Chociaż teraz była trochę wygięta).

A wtedy on: „Au, au, au”.

A ja: „Twoje kung-fu ciapowatego transwestyty nie ma szans z moim kung-fu oświetlenia domowego”.

Na co on zaczął jęczeć: „Wracam do domu. Robisz mi krzywdę. Jesteś do dupy. To wszystko jest do dupy. Zjem rodzinny obiad... ze swoją rodziną... a jutro pójdę do szkoły, więc możesz się odpiardolić i umrzeć, Abby Normal”.

A ja: „Świetnie, oddawaj buty”.

A on: „Świetnie”.

A ja: „Świetnie”.

I byłoby znacznie lepiej, gdyby mógł od razu po prostu wybiec, ale straciliśmy z pół godziny, żeby ściągnąć z niego moje buty. Ja siedziałam na zlewie, a on na blacie, strzegąc mnie z rakieta tenisową, bo okazało się, że mam dość niską tolerancję na szczurzą mgłę, która próbowała pogryźć także mnie.

Dobra, w końcu zdjęliśmy moje buty z Jareda, a on postanowił zostać i pomóc, bo okazuje się, że nawet smuga gryzącej szcurzej mgły to lepsza zabawa niż rodzinny obiad. Fu wyposażył shop vaca w słoneczne diody i w ogóle, a potem go włączył i zaczął wsysać mgłę tak, że hej. (Gejowski Bob Budowniczy ma supersprzęt!). To jest genialne, bo widać, jak mgła wchodzi do środka, a potem słychać łoskot, kiedy dioda znowu zmienia szczury w ciała, a one walą o wnętrze plastikowej obudowy.

Fu przekrzykiwał hałas silnika: „Może trzeba je rozładować i powkładać do pudełek, zanim będzie ich za dużo. Nie chcemy potem tego otworzyć i mieć do czynienia z setką szczurów”.

A ja: „A czemu ich tam po prostu nie zostawimy do zachodu słońca? Wtedy zasną”.

Fu popatrzył na mnie zupełnie zaskoczony, więc ja: „Zamknij się. Umiem być i mądra, i seksowna”.

On na to: „Okej”. Nie wiem, czy chodziło mu o sarkazm, czy o to, że nie umiem być mądra, czy że nie jestem seksowna. I nie dowiedziałam się, bo wtedy shop vac zaczął wydawać ten dźwięk „puf-szu-plask”, a Jared znowu pojechał z tym wrzaskiem małej dziewczynki.

Okazało się, że wylot odkurzacza wydmuchiwiał wampiryczne szczury, czyli „puf-szu”, roztrzaskując je o ścianę, czyli „plask”. A przy każdym szczurze Jared pisał. Więc mieliśmy coś takiego: „puf-szu-plask-pisk! puf-szu-plask-pisk! puf-szu-plask-pisk!”. Wiem! To by był totalnie odlotowy industrialny rytm do jakiegoś tanecznego kawalka. Ale nie nagrałam go, bo dużo się działo.

Wtedy Fu powiedział: „Pozbierajcie je i powkładajcie do pudełek. Zamknijcie je srebrną taśmą klejącą”.

Okazuje się, że te wampiryczne szczury są dość wytrzymałe, więc kiedy waliły o ścianę i

zjeżdżały w dół, to potem się zbierały i kuśtykały przed siebie, ale na tyle wolno, że dawało się je łapać. Zresztą dalej były sflaczałe i w ogóle.

No to Jared i ja odwróciliśmy się do Fu, żeby posłać mu swoje najlepsze spojrzenie w stylu „no proszę cię, gnojku”.

A Fu: „Dobra, to wy zajmijcie się rurą”.

Więc ja: „Pewnie, teraz to chcesz, żebym zajęła się twoją rurą...”.

A on: „Abby, proszę!”.

Do tej pory myślałam, że Fu to najbardziej wyluzowany ninja miłości w Bay Area, ale okazuje się, że jeśli cała ta nauka pójdzie trochę nie tak, facet rozpada się na kawałki. No to wzięłam rurę i zaczęłam wsysać szczury, a tymczasem Fu znalazł jakieś gumowe rękawice i łopatkę, żeby zająć się zbieraniem klapniętych gryzoni.

Potem Jared wpadł na pomysł wstrzeliwania szczurów prosto do plastikowych klatek, co nawet się sprawdzało, chociaż najpierw parę przeleciało przez plastik i zaczął przyciskać pudełka do po poduszki, przyklejonej taśmą do ściany. A Fu zaczął zalepiać pokrywki, zanim szczury-wampiry mogły się pozbierać.

Mówię: „Wiecie, gdyby dało się z tego sprzętu strzelać małymi piaskami do kotów-wampirów, skończylibyśmy te bzdury w dzień czy dwa”.

A Fu i Jared obaj przewrócili oczami, jakbym była na haju czy coś, podczas gdy oni pakowali świeżutki, gniecione szczury. No i dobra, gdzieś tak koło północy wszystkie szczury znowu znalazły się w pudełkach i większość była w niezłym stanie, ale niektóre były dość mocno rozpiardolone po swoim locie.

Jared powiedział: „Idę do domu. Mam problemy”.

Myślę: to pewnie znaczy, że pójdzie do domu i oznajmi Lucyferowi 2, że nie są już NP, bo już nigdy mu nie stanie przy gryzoniu po naszej wieczornej szczurzej rzezi, a to dobrze, tak mi się zdaje.

Potem Fu wyjechał: „Też muszę iść. Rano mam spotkanie z promotorem i muszę się przygotować, a po południu pracuję”.

A ja: „Możesz się przygotować tutaj”.

A Fu: „Nie wydaje mi się”. I odwrócił wzrok.

Chciałam mu powiedzieć, że postanowiłam zostać nocną istotą, ale liczyli na mnie, więc rzuciłam: „Dobra. Idźcie. Ja zostanę”.

Na to Fu: „Poczekaj do świtu, a potem daj każdemu poidelko z krwią. Wyzdrowieją. Ale pamiętaj, żeby zakleić klatki taśmą, bo uciekną. Bla, bla, biologia, nauka, behavior, trudne słowo, trudne słowo, bla, bla”.

No i pocałowałam go, jakby to był ostatni raz, i poszłam do sypialni, żeby się położyć i poczekać do świtu, ale na naszym łóżku był ten jakby ogromny drewniany labirynt, więc wróciłam do salonu i w towarzystwie szczurów odpoczywałam na futonie aż do rana. I tak nie mogłam spać, bo myślałam o tych wszystkich ludziach, na których totalnie się zemszczę, gdy już zostanę nosferatu, oczywiście po tym, jak znajdę Jody i Tommy’ego i ich uratuję.

Wtedy, niczym Terminator (ten płynny, nie ten, który był gubernatorem), powstanę z resztek własnej metalicznej spermy, by pokonać wszystkich, którzy mi się sprzeciwiają. Wiem, co muszę zrobić. Kiedy Fu będzie w pracy, a Jared w szkole, użyję pobłogosławionej mrocznym darem krwi i stanę się nosferatu. Więc kit wam w ucho, lajzy!

No dobra, o świcie, kiedy wszystkie szczury przestały lazić po swoich klatkach, znalazłam jedną ze strzykawek, które Tommy dostał w punkcie wymiany igieł, gdy udawał ćpuna, i pobrałam krew od najzdrowszego szczura-wampira, jakiego mieliśmy. Potem musiałam zdecydować, czy ją wypić, czy sobie wstrzyknąć, i po jakimś czasie postanowiłam, że to drugie. Okazuje się, że to działa jak w filmach i boli znacznie mniej niż piercing brwi.

Zatem leżałam tak i czekałam, aż zacznie się wampiryzm. Myślałam o Fu, o tym, jak jedzie o zachodzie słońca szybką koleją BART do domu rodziców, zamiast zostać ze mną, i jak dupkowane było to posunięcie z jego strony. Myślałam o czasie, który spędziliśmy razem, niemal sześciu tygodniach, i o tym, jak ostro go potraktuję, kiedy już zostanę wyższą istotą niewypowiedzianego zła i nadnaturalną pięknnością. Myślałam też, że może księżna, Flood i ja będziemy musieli żyć razem w trójkącie, a Fu i Jared zostaną naszymi owadożernymi pomagierami, jak Renfield z *Drakuli*, tyle że Fu ciągle będzie miał te swoje świetne mangowe włosy, a ja będę się z nim czasem z litości bzykać.

I trochę płakałam nad stratą swojego człowieczeństwa i w ogóle, bo zdałam sobie sprawę, że jak tylko skończę ratować Tommy'ego i Jody oraz robić niewolników z Fu i Jareda, wślizgnę się którejs nocy do salonu pana Snavely'ego – wniknę pod drzwiami pod postacią mgły – a potem zmaterializuję się w swoją najcudowniejszą, alabastrową, nagą złośliwość i przestraszę go na maksa za to, że oblał mnie z biologii. A to dość nieludzkie. I gdy tak rozpaczałam, zapadłam w głęboki sen nieumarłych.

Wiem. *Tres* czadowo.

Ale nie! Teraz się obudziłam, światła ciągle nie ma, szczury-wampiry dalej śpią, a ja nie mam supermocy i moje zło jest nadal totalnie wypowiedziane. Kurwa! Zapomniałam, muszę umrzeć, zanim się przemienię. Szukałam wszędzie tego całego chlorku potasu, którym zabijali szczury, ale znalazłam tylko młotek, więc myślę: no, raczej nie. Podeszłam do Market Street i myślałam, czy nie rzucić się pod autobus, ale co potem, jeśli zostawią moje zwłoki na słońcu i się spalę? Odpadało. Potem myślę: to może podciąć sobie żyły? Ale to boli jak skurwysyn, więc tylko troszeczkę podciąłam jeden nadgarstek. Krew leciała mi przez jakieś pół godziny i nawet nie zakręciło mi się w głowie, więc mówię: jebać ten chujowy cyrk, potrzebuję współnika.

Zadzwoiłam pod numer dla samobójców.

I mówię: „Potrzebuję pomocy”.

A koleś: „Jak się nazywasz?”.

A ja: „Nie macie identyfikacji numeru? Co to za badziewny telefon zaufania?”.

A on: „Tu się wyświetla, że nazywasz się Allison. Wszystko w porządku, Allison?”.

A ja: „Nie, nie wszystko w porządku. Dzwonię pod numer dla samobójców”.

A on: „Nie chcesz popełnić samobójstwa, Allison”.

A ja: „Właśnie, debilu, potrzebuję kogoś, żeby mnie załatwił. Szybko, dyskretnie, bezboleśnie, i żeby za bardzo nie spierdoliło mi fryzury”.

A on: „Ale jest tyle rzeczy, dla których warto żyć”.

No to ja: „Marnujesz moje minuty, fiutku. Potrzebuję numeru do cyngla albo jednego z tych lekarzy od eutanazji”.

Odpowiada: „Nie mogę ci w tym pomóc”.

A ja: „Frajer!”. I wyłączam telefon.

Nie wierzę, ale okazuje się, że Matkobot miał rację. Czasami można ufać tylko członkom

rodziny. (Sorki, ledwie stłumiłam szerokie ziewnięcie, kiedy to pisałam). No i jestem, czekam na swoją młodszą siostrę Ronnie, aż wróci ze szkoły i będzie mogła mnie zamordować, a potem schować moje ciało pod łóżkiem, aż wrócę jako prawdziwa pani nocy w Greater Bay Area. To mój ostatni wpis jako śmiertelniczki. Idę wybrać ciuchy na śmierć.

Zastanawiam się, jak ona to zrobi? Lepiej, żeby bezboleśnie, bo inaczej pierwszym punktem na mojej liście rzeczy do zrobienia, jak już będę nieumarła, będzie totalne skopanie siostrzyczce tyłka.

SAMURAJ Z JACKSON STREET II

Katusumi Okata od czterdziestu lat żył wśród *gaijin*. Amerykański handlarz sztuką, podróżujący przez Hokkaido w poszukiwaniu drzeworytów z epoki Edo, przybył do pracowni jego ojca, zobaczył dzieła chłopca i zaproponował, że weźmie Okatę do San Francisco, by ten tworzył drzeworyty dla jego galerii przy Jackson Street. Od tamtej pory drzeworytnik mieszkał w tym samym piwnicznym mieszkaniu. Miał kiedyś żonę, Yuriko, ale zabito ją na ulicy na jego oczach, gdy miał dwadzieścia trzy lata, więc teraz mieszkał sam.

W mieszkaniu była betonowa podłoga, przykryta dwiema słomianymi matami, stół, na którym leżały jego drzeworytnicze narzędzia, dwupalnikowa kuchenka, czajnik elektryczny, jego miecze, futon, trzy komplety ubrań, stary fonograf, a teraz jeszcze poparzona biała kobieta. Naprawdę nie pasowała do całej reszty, nieważne, jak ją układał.

Pomyślał, że może sporządzić cykl drzeworytów, przedstawiających jej poczerniały, kościsty kształt. Jeźdzący w mieszkaniu niczym demoniczna zjawa rodem z szintoistycznego koszmaru, ale kompozycja się nie sprawdzała. Poszedł do Chinatown i kupił bukiet czerwonych tulipanów, po czym położył je obok niej na futonie, ale nawet z dodatkowym elementem kolorystycznym i kompozycyjnym obraz nie przekonywał. W dodatku nadawała jego materacowi zapach spalonych włosów.

Okata nie nawykł do towarzystwa i nie był pewien, jak podtrzymać rozmowę. Raz zaprzyjaźnił się z dwoma szczurami, które wyszły z dziury w ceglanej ścianie. Rozmawiał z nimi i karmił je pod warunkiem, że nie przyprowadzą kolegów, ale nie usłuchały i wkrótce musiał zamurować dziurę. Doszedł do wniosku, że nie znały japońskiego.

Jednakże, uczciwie mówiąc, także ona niespecjalnie sobie radziła z podtrzymywaniem rozmowy – leżała tam jak mumia pokryta kreozotem, z ustami otwartymi niczym w krzyku agonii. Usiadł na stolku przy futonie, wzięwszy szkicownik i ołówek, po czym zaczął ją rysować. Podziwiał pelerynę rudych loków, która powiewała za nią, gdy zobaczył ją na ulicy, i żałował, że niemal wszystkie spłonęły na słońcu, zostało jedynie parę kosmyków. Szkoda. Może i tak zdoła narysować rude loki. Niech zawirują wokół poczerniałego grymasu niczym jedna z fal Hukosaiego.

Wiedział, czym była, ma się rozumieć. Nadal dochodził do siebie po spotkaniu z kotami-wampirami, a oddanie wszystkich szczegółów wymagało dłuższego szkicowania, zwłaszcza że teraz jej kły sterczały prosto w sufit i były o wiele za długie jak na zwykłą poparzoną białą dziewczynę. Zapelniał trzy strony szkicami, eksperymentując z kątami i kompozycją, ale przy czwartej stronie stwierdził, że ogarnął go smutek, którego nie odeгна dzięki chwili uwiecznionej w rysunku.

Katusumi zdjął swój krótki miecz wakizashi ze stojaka na stole roboczym, wyciągnął go z pochwy i ukląkł przy futonie. Pokłonił się głęboko, po czym przytknął koniuszek ostrza do poduszki kciuka i przeciął. Przyłożył palec do jej otwartych ust i ciemna krew pociekła na zęby i wargi.

Czy będzie jak koty? Dzika? Czy będzie potworem? Zważył w prawej dłoni ostry jak brzytwa wakizashi, na wypadek gdyby demon się zbudził. Ale czy gdyby mógł wskrzesić swoją ukochaną Yuriko, nawet jako demona, nie zrobiłby tego? Wszystkie te lata, które minęły, treningi kendo, rysunek, rzeźba, medytacje, chodzenie po ulicach bez strachu, samotnie... Czy

nie o to chodziło? O ożywienie Yuriiko? O to, by nie żyć bez niej?

Gdy poparzona dziewczyna wzdrygnęła się z donośnym, chrapliwym wdechem, od jej żeber oderwały się strzępy popiołu, sypiąc się na futon, a z oczu szermierza popłynęła woda.

RIVERA I CAVUTO

Marvin, pies od trupów, zaprowadził ich do Krainy Wina. Tam znaleźli Bummera i Lazarusa, psy Cesarza, pilnujące śmietnika w zaułku przy opuszczonym budynku. Marvin podrapał śmietnik i starał się dalej trwać przy swoim zadaniu, podczas gdy boston terier obwąchiwał mu genitalia, a golden retriever rozglądał się, nieco zażenowany.

Nick Cavuto chwycił za pokrywę, gotów ją unieść.

–Może powinniśmy zadzwonić do tego młodego Wonga i sprawdzić, czy nasze słoneczne kurtki są już gotowe, a dopiero potem otworzyć.

–Jest dzień – zauważył Rivera. – Nawet jeśli tam są, eee, stwory, to nie będą się ruszać. – Wypowiadanie na głos słowa „wampiry” wciąż sprawiało mu dużą trudność. – Marvin mówi, że w środku jest ciało, trzeba zajrzeć.

Cavuto wzruszył ramionami, podniósł pokrywę i przygotował się na falę odoru zgnilego mięsa, nic takiego jednak nie nastąpiło.

–Pusty.

Bummer zaszczekał. Marvin zaczął skrobać bok pojemnika. Lazarus prychnął, co po psiemu oznaczało: „Ech! Zajrzyjcie za śmietnik”.

Rivera zajrzał do środka. Nie było tam nic oprócz paru stłuczonych butelek po winie i ryżowej części zestawu taco, w śmietniku nie było nic, a jednak Marvin nadal drapał stal, czyli dawał wyuczony sygnał, że znalazł zwłoki.

–Może trzeba dać Marvinowi ciastko, żeby go zresetować, czy coś – powiedział Rivera.

–Nie ma ciała, nie ma ciastka, taka jest zasada – odparł Cavuto. – Wszyscy musimy z tym żyć.

Na wzmiankę o ciastku zarówno Bummer, jak i Marvin przerwały swoje czynności, usiadły, przybrały posłuszny i skruszony wygląd, a ich oczy mówiły: „Potrzebuję ciastka i bardzo na nie zasługuję”. Lazarus, przygnębiony, że jego towarzysze to takie łase na ciastka dziwki, podszedł do śmietnika z boku i zaczął drapać miejsce pomiędzy pojemnikiem a ścianą, po czym spróbował wcisnąć tam pysk.

Cavuto wzruszył ramionami, wyjął parę rękawic roboczych z kieszeni kurtki, po czym wyciągnął pustaki spod kółek pojemnika. Rivera patrzył z przerażeniem, uświadamiając sobie, że brud ze śmietnika znajdzie się prawdopodobnie na jego drogim włoskim garniturze.

–Weź się w garść, Rivera – rzucił Cavuto. – Mamy do wykonania policyjną robotę.

–Nie powinniśmy wezwać do tego mundurowych? Znaczący, jesteśmy detektywami.

Cavuto wstał i popatrzył na partnera.

–Naprawdę wierzysz w filmy, w których James Bond zabija trzydziestu gości w walce wręcz, wysadza ich tajną kryjówkę, staje w ogniu, potem ucieka pod wodą, a na jego smokingu nie ma nawet zagnieć, prawda?

–W zwykłym sklepie takiego nie kupisz – stwierdził Rivera. – To tkanina najwyższej jakości.

–Po prostu mi z tym pomóż, dobra?

Gdy śmietnik znalazł się na środku zaułka, trzy psy stłoczyły się przy zasłoniętym okienku. Marvin prezentował swoje doskonale opanowane drapanie, oznaczające „w środku jest trup, dajcie mi ciastko”, Bummer szczeekał, jakby obwieszczał wielką wyprzedaż w Hau-Markecie, na którą natychmiast trzeba iść, Lazarus zaś wydawał z siebie przeciągłe, ponure wycie.

–Pewnie tam – stwierdził Cavuto.

–Myślisz? – spytał Rivera.

Cavuto zdołał wcisnąć palce pomiędzy ramę a dyktę i ją wyciągnąć. Nim odłożył ją na bok, Bummer skoczył przez okienko w ciemność. Lazarus podrapał parapet, po czym wskoczył za swoim towarzyszem. Marvin, pies od trupów, cofnął się, po czym dwa razy potrząsnął głową, co oznaczało: „Nie, mnie już wystarczy, idźcie, tylko dajcie mi ciastko. Poczekam tutaj i... eee, no proszę, te jaja bez wątpienia wymagają potraktowania językiem. Nie, w porządku, idźcie beze mnie”.

Nos Marvinina rozróżniał tyle zapachów, ile ludzkie oko kolorów, w zakresie szesnastu milionów woni, lecz, niestety, jego psi mózg miał znacznie bardziej ograniczony zasób określeń na te zapachy, więc to, co czuł, przekazywał jako: *martwe koty*, dużo, *martwi ludzie*., dużo, *martwe szczury*, dużo, *kupa i siki*, dużo smaków, wszystkie nieświeże, i *stary facet, który powinien wziąć prysznic*, żadne z powyższych nie sprawiało mu kłopotu. Zapachem, którego nie umiał zaklasyfikować, na który nie miał odpowiedzi, który trzymał go przy okienku, była ta nowa woń: *martwy, ale nie martwy*. Nieumarły. Było to straszne, a lizanie się po jajkach uspokajało go i odwracało myśli od ciastka, które zapomnieli mu dać.

Rivera zaśwycił latarką do środka. Piwnica wydawała się pusta, jeśli nie liczyć stert gruzu oraz grubej warstwy pyłu i popiołu na podłodze, poznaczonej śladami łap setek kotów. Widział ruch Bummera i Lazarusza tam, gdzie kończył się krąg blasku. Psy drapały w metalowe drzwi.

–Musimy wziąć łom z samochodu – powiedział Rivera.

–Chcesz tam wejść? – spytał Cavuto. – W tym garniturze?

Rivera skinął głową.

–Tam coś jest, jeden z nas musi iść.

–Jesteś cholernym bohaterem, Rivera, słowo daję. Prawdziwym, odzianym w welnę chesankową i jedwab, bohaterem.

–Tak, to po pierwsze, a poza tym ty się nie zmieścisz w tym okienku.

–Właśnie że się zmieszczę – odparł Cavuto.

Pięć minut później obaj stali pośrodku piwnicy, omiatając kurz balistycznymi latarkami „Surefire”, jakby dzierżyli bezgłośnie miecze świetlne. Rivera wskazał drogę do stalowych drzwi, przy których psy ujadły tak, jakby ktoś przykleił tam taśmą lisa.

–Zamknijcie się! – warknął Rivera i ku jego zaskoczeniu Bummer i Lazarus ucichły i usiadły.

Obejrzał się na partnera.

–Można się przestraszyć.

–Tak, i Williemu Maysowi niech będą dzięki, że tylko tego. – Cavuto był głęboko wierzącym kibicem San Francisco Giants i przyklękał za każdym razem, gdy mijal brązowy pomnik Williego Maysa przed stadionem bejsbolowym.

–Słuszna uwaga – przyznał Rivera. Złapał za drzwi, a te ani drgnęły, ale luk, wryty w kurzu i popiele, świadczył, że niedawno je otwierano. – Łom – powiedział, sięgając w tył.

Cavuto podał mu narzędzie i w tej samej chwili wyciągnął z kabury na ramieniu pistolet. Był to nedorzecznie wielki automatyczny desert eagle kaliber 12,7 mm.

–Kiedy znowu zacząłeś to nosić?

–Jak powiedziałeś słowo na „w” w Misji Świętego Serca.

–To ich nie powstrzyma, wiesz?

–Sprawia, że czuję się lepiej. Potrzywasz, kiedy będę wyważał drzwi?

–Jeśli tam... są, to będą uśpione, czy jak to się tam nazywa. Jest dzień, nie mogą zaatakować.

–Tak, no, ale na wypadek gdyby okólnik do nich nie dotarł...

–Rozumiem.

Rivera wcisnął łom w ościeżnicę i naparł nań całym ciężarem. Przy trzecim pchnięciu coś trzasnęło i drzwi uchyliły się odrobinę. Bummer i Lazarus natychmiast się ocknęły i wypełniły szczelinę hałasem. Rivera obejrzał się na Cavuta, który pokiwał głową, a wtedy Rivera otworzył drzwi i się cofnął.

Sterta pólek i rupieci blokowała drzwi, ale Bummer i Lazarus zdołały się precyzyjnie przesuwać. Znalazły się w pomieszczeniu, zanosząc się gorączkowym, rozpaczliwym szczekaniem. Między rozsuniętymi gratami Rivera zaświecił latarką do małego magazynu, ponad beczkami, regałami i stertami zakurzonych ubrań.

–Pusto – oznajmił.

Cavuto stanął przy nim w drzwiach.

–Pusto, akurat.

Potężny glina utorował sobie drogę kopniakami przez barykadę, jedną ręką trzymając latarkę wysoko nad głową, drugą zaś desert eagle'a, wymierzonego w rząd beczek pod prawą ścianą, gdzie Bummer i Lazarus osiągnęły huraganowy poziom psiego szaleństwa.

Rivera podążył za partnerem do pokoju, po czym zbliżył się do beczek, a Cavuto go ubezpieczał. Ponad szczekaniem słyszał słabe metaliczne stukanie dochodzące z jednej z beczek. Beczka była wywrócona do góry dnem i zawierała jakieś ciało stałe, na etykiecie napisano coś o mineralach do filtrowania wody. Spoczywała na wieku, częściowo wgiętym do środka.

–Coś tam jest.

–Zatkaj uszy – poradził Cavuto, odciągając kurek desert eagle'a i mierząc w środek beczki.

–Naćpałeś się? Nie możesz strzelić do tego czegoś.

–Jest różnica pomiędzy „nie możesz” a „nie powinienem”. Chyba nie powinienem do tego strzelać.

–Oslaniaj mnie. Przewróć ją.

Zanim Cavuto zdążył odpowiedzieć, Rivera chwycił brzeg beczki i pchnął z całej siły. Była ciężka i upadła z łoskotem. Bummer i Lazarus biegały wokół pokrywy inerwowo ją drapały.

–Gotów? – spytał Rivera.

–Dawaj – powiedział Cavuto.

Rivera kopnął krawędź pokrywy, a ta odturlała się z klągnięciem, po czym wylądowała z głuchym odgłosem na gęstej warstwie pyłu zalegającej podłogę. Bummer wparował do środka, Lazarus podskakiwał na zewnątrz.

Rivera wyciągnął broń i podszedł do miejsca, z którego mógł zajrzeć do beczki. Najpierw przywitała go burza siwych włosów, a potem para błyszczących błękitnych oczu, osadzonych w szerokiej ogorzalej twarzy.

–No, to nie było zbyt przyjemne – powiedział Cesarz poprzez warstwę psiej śliny, którą obdarowywał go Bummer.

–Nic dziwnego – odparł Rivera, opuszczając broń.

–Mogę potrzebować pomocy, by wydostać się z tego pojemnika.

–Możemy to zrobić – powiedział Cavuto. Policjant zmagał się z bardzo poważnym przypadkiem empatycznej gęsiej skórki, wyobrażając sobie, że spędza całą noc, albo i więcej, do góry nogami, wciśnięty w beczkę. On i Cesarz mieli podobne gabaryty. – Boli?

–A nie, dziękuję. Już dawno straciłem czucie w rękach i nogach.

–Domyślam się, że nie wlałeś tam sam, prawda?

–Nie, to nie moja sprawa – odrzekł Cesarz.– Potraktowano mnie brutalnie, ale to chyba uratowało mi życie. W beczce było za mało miejsca, żeby się któryś zmateralizował. Otaczały mnie setki tych drani. Ale na pewno je widzieliście, kiedy weszliście. Rivera pokręcił głową.

–Mowa o kotach? Nie, wszędzie są ślady, ale piwnica jest pusta.

–No to niedobrze – stwierdził starzec.

–Faktycznie. – Rivera był rozkojarzony.

Promień jego latarki skakał po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś, co pomoże im wyciągnąć Cesarza z beczki. Zatrzymał się przy półkach, gdzie kurz pozostał nieporuszony podczas ich zmagania się z beczką. Tam, odcisnięty wyraźnie jak w gipsie na Dzień Matki, widniał pojedynczy ślad ludzkiej stopy.

–Bardzo niedobrze – powiedział.

Zza okna Marvin zaszczeakał szybko trzy razy, co Rivera wziął za ostrzeżenie, ale po psiemu oznaczało: „Ej, mogę w końcu dostać to cholerne ciastko, czy nie?”.

To słowa sprowadziły Tommy'ego z powrotem. Przez tydzień spędzony w towarzystwie kotów-wampirów i przez kilka wcześniejszych tygodni, gdy był uwięziony w brązowym posągu, słowa do niego nie docierały. Jego umysł zdziczał, tak jak wcześniej jego ciało po ucieczce. Pierwszy raz, odkąd Jody go przemieniła, posłuchał swoich instynktów, a one doprowadziły go do wielkiego ogolonego kota-wampira Cheta i jego wampirycznego potomstwa. Biegając z nimi, nauczył się używać swoich zmysłów wampira, stał się łowcą, i pierwszy raz polował na krwawą zdobycz: myszy, szczury, koty, psy i, tak, ludzi.

Chet był w stadzie osobnikiem alfa, Tommy zaś samcem beta, szybko jednak wspinał się na poziom, z którego mógłby już rzucić wyzwanie pozycji Cheta. O ironio, to właśnie Chet doprowadził go do słów, które z kolei doprowadziły go z powrotem do zdrowia psychicznego. W chmurze, połączony z innymi zwierzętami, czuł i wiedział to samo, co one, a Chet znał słowa, przypisywał je pojęciom i doświadczeniom, zupełnie jak człowiek, a właśnie to od początku powstrzymywało Tommy'ego przed przemianą w mgłę. Jako człowiek z wszczepioną w mózg gramatyką wszystko nazywał jakimś słowem. A, że był pisarzem, żadne doświadczenie, którego nie potrafił opisać, nie miało dla niego wartości. A żeby przemienić się w mgłę, należało po prostu BYĆ. Słowa przeszkadzały. Oddzielały cię od twojego stanu.

Kot Chet nie posługiwał się kiedyś słowami, jako że jego koci mózdzek nie był przystosowany do tego typu informacji, ale gdy stał się wampirem za sprawą wampira najwyższej klasy, jego mózg się zmienił i idee wiązały się dlań teraz ze słowami. Gdy chmura łowców przesączała się pod drzwiami, by zaatakować Cesarza (kierując się zapachem psa i znajomości, Chet bowiem znał Cesarza za życia), słowo „pies” przemknęło przez umysł Cheta, a potem z kolei przez umysły wszystkich łowców. Dla Tommy'ego stanowiło źródło przemiany. Słowa, dla kotów pozbawione znaczenia, przewalały się przez jego mózg, niosąc wspomnienia, osobowość, tożsamość.

Zmaterializował się z chmury w ciemnym magazynie, gdzie zobaczył obraz ciepły Cesarza, skulonego w kącie i trzymającego nóż w pogotowiu. Nawet gdyby w pomieszczeniu paliło się światło, Tommy poruszał się tak szybko, że Cesarz raczej nie zobaczyłby, co się dzieje. Wampir pochwycił starca, wsadził go do beczki, wcisnął pokrywę tak mocno, że zgniótł metalowe krawędzie, a następnie postawił beczkę tak, by cały ciężar spoczywał na pokrywie. Instynkt i doświadczenie podpowiedziały mu, że łowcy nie znajdą w środku dość miejsca, by się całkiem zmaterializować, zatem, mimo że beczka nie była hermetyczna, Cesarzowi nic nie groziło, dopóki wieko pozostanie nietknięte. W środku brakowało miejsca dla kota, a to oznaczało ratunek dla starego kloszarda.

Tommy z powrotem wtopił się w obłok i ruszył przez pomieszczenie, próbując narzucić pozostałym łowcom poczucie zagrożenia, dołączając do Chetowego słowa „pies” obraz rozpoznawalny dla kocich mózdzków. Wampiryczna chmura, której liczne macki przeszukały pomieszczenie pod kątem zdobyczy i nie znalazły nic odpowiedniego, wniknęła z powrotem pod drzwi i ruszyła dalej na poszukiwanie krwi, która nie była tak szczelnie zamknięta ani nie

pachniała równie niebezpiecznie.

Popłynęły w górę szybu windy przez budynek, a potem na ulicę, gdzie Tommy wraz z kilkoma kotami przybrał zwykłą postać, wyłączając się z chmury. Tommy, który odzyskał już samoświadomość, rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że jest nagi. Wszystko, czego doświadczył, odkąd wypuszczono go z brązowej skorupy, stało się w jego umyśle rozmazaną, sensoryczną plamą, jako że znowu zaczął myśleć słowami. Ale przypomniał sobie Cesarza, jednego z pierwszych poznanych w mieście ludzi, który do tego zawsze był dla niego miły. Tak naprawdę załatwił mu pracę w Safewayu, gdzie Tommy poznał Jody.

Jody. Zarówno słowa, jak i instynkty przytłaczały go, gdy o niej myślał. Wspomnienia radości i bólu czyste niczym stan umysłu łowcy, a z drugiej strony wir słów i obrazów, w których szukał czegoś, co by ją opisało. Jody. „Żądza”. Tak, o to słowo chodziło.

Będzie potrzebował ubrania i języka, by poruszać się w świecie, w którym znajdzie Jody. Nie miał pojęcia, skąd to wie, ale wiedział. Najpierw jednak musiał się pożywić. Ruszył chodnikiem za chmurą łowców, z powrotem nastawił zmysły na polowanie i pierwszy raz od paru tygodni w jego mózgu rozbłysło słowo „krew”.

Słowa sprowadziły go z powrotem.

OSŁAWIONY PIES FU

–Masz zupełnie rozjebany samochód – oznajmił Cavuto.

–Wiem – odparł Stephen „Pies Fu” Wong. Odsunął się w bok i dwaj policjanci minęli go, wchodząc do środka. – Wasze kurtki są gotowe.

–Mieszkanie też masz rozjebane – zauważył Cavuto, patrząc na dyktę, wstawioną w miejsca, gdzie powinny znajdować się okna.

–I pełne szczurów – dodał Rivera.

–Zdechłych szczurów – powiedział Cavuto, potrząsając jednym z plastikowych pudełek z przyklejoną taśmą pokrywką.

Szczur w środku przetoczył się jak... no cóż, jak zdechły szczur.

–Nie zdechły – odparł Jared. – Jest dzień. Są nieumarłe. – Miał na sobie koszulkę zespołu SKULL-FUCK SYMPHONY i obcisłe czarne dziewczęce dżinsy, owinięte od połowy łydki do połowy podeszew czarnych chucków taylorów elastycznymi cielistymi bandażami. Swojego irokeza ufarbował w fioletowe kolce a la Statua Wolności.

Cavuto popatrzył na niego i pokręcił głową.

–Chłopcze, nawet w społeczności gejów tolerancja ma swoje granice.

–Bolą mnie kostki – jęknął Jared.

Fu przytaknął.

–Mieliśmy parę ciężkich dni.

–Zorientowałem się – powiedział Rivera. – Gdzie twoja straszna dziewczyna?

–Nie jest straszna – zaproponował Jared. – Jest skomplikowana.

–W domu – wyjaśnił Fu.

–Zgodnie z mrocznym cyrografem, który z wami zawarła – powiedział Jared tak złowieszczo, jak tylko potrafił.

–Nagle nabrałeś angielskiego akcentu? – spytał Cavuto.

–Robi to, kiedy chce brzmieć bardziej gotycko – stwierdził Fu. Próbował stanąć przed resztkami brązowego posągu Jody i Tommy’ego, ale że ten był od niego dwa razy większy, tylko przyciągnął do niego uwagę.

Rivera wyjął z kurtki długopis, przeciągnął nim po krawędzi metalowej skorupy. Na długopisie został czerwono-brązowy skrzep.

–Panie Wong, co tu zaszło?

–Nic – odrzekł Jared, już bez angielskiego akcentu.

Fu spoglądał to na jednego inspektora, to na drugiego, z nadzieją że się zorientują, o ile jest od nich mądrzejszy, i odpuszczą, ale nie odwracali wzroku. Dalej patrzyli na niego tak, jakby wpadł w tarapaty. Podeszedł do futonu, który służył im za kanapę, zepchnął na podłogę stertę pudełek z nieumarłymi szczurami, usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

–Myślałem, że znajdę jakąś naukową żyłę złota, nowy gatunek, nowy sposób rozmnażania... do diabła, może i znalazłem, ale wszystko zupełnie wymknęło się spod kontroli. Pieprzona magia!

Rivera i Cavuto przeszli na środek pokoju i stanęli nad Fu. Rivera sięgnął w dół i ścisnął go za ramię.

–Skup się, Stephen. Co tu się stało? Dlaczego cały posąg jest we krwi?

–Byli w środku. Tommy i Jody. Abby i ja kazaliśmy pokryć ich brązem, kiedy byli

nieprzytomni za dnia.

–Czyli nigdy nie opuścili miasta, jak twierdziłeś? – spytał Cavuto.

–Nie, cały czas byli w środku. Abby powiedziała, że im to nie zaszkodzi, że kiedy przybierają postać mgły, to tak, jakby śnili. Postać mgły! Co to, do diabła, jest? To niemożliwe.

–A ty czuleś się z tym źle, więc ich uwolniłeś? – indagował Rivera.

–Nie, Jared wypuścił Jody.

–Totalny przypadek – wtrącił Jared. – Była zresztą dość wkurwiona.

Fu opowiedział, jak Jared wypuścił Jody, Jody i Abby wypuściły Tommy'ego, Jody wyrzuciła Tommy'ego przez okno, a Tommy uciekł w noc, zupełnie nagi.

–No i jest w mieście – zakończył. – Są oboje.

–Wiemy – odparł Cavuto.

–Naprawdę? – Fu pierwszy raz podniósł wzrok. – Wiecie?

–Widziano ją w hotelu Fairmont i natrafiliśmy tam na woreczki z krwią. Znajdziemy ją. A Cesarz widział Tommy'ego Flooda, nagiego, śpiącego ze wszystkimi kotami-wampirami. Powiedział, że jeden z kotów, Chet, nie jest już naprawdę kotem. Wytlumacz to, naukowcu. Fu skinął głową.

–Domyśliłem się, że coś takiego może się stać. Szczury są mądrzejsze.

–To pomaga.

–Nie, odkryłem, że krew wampira niesie ze sobą cechy gatunku-gospodarza. Im dalej od pierwszego wampira, tego starego, który przemienił Jody, w każdym razie tego, którego uważamy za pierwszego, tym mniej zachodzi zmian. Abby mówiła, że Cheta przemienił pierwszy wampir, dlatego zwierzę nabiera ludzkich cech. Będzie silniejszy, większy i mądrzejszy niż którykolwiek z kotów-wampirów. Zmienia się w coś nowego.

–Coś nowego?

–Tak. Zauważyliśmy to u szczurów. Te pierwsze, które przemieniłem za pomocą krwi Jody, są mądrzejsze od następnych, przy których użyłem krwi tamtych szczurów. Każde kolejne pokolenie, im dalej od niej, jest coraz mniej inteligentne, To znaczy, nie mieliśmy czasu, żeby je porządnie zbadać, ale sądząc po czasie, w którym uczą się labiryntu, widać jasno, że wrodzona inteligencja jest wyższa u osobników bliższych człowieka-wampira. Są też silniejsze, bo tylko jedno pokolenie dzieliło Jody od pierwszego wampira. Myślałem, że opracowałem algorytm, który to opisuje, ale potem wszystkie zmieniły się w mgłę, połączyły i wszystko spierdoliły.

–Dobra – powiedział Cavuto. – Będziemy kiwać głowami i udawać, że mamy pojęcie, o czym mówisz, dopóki nam nie wyjaśnisz, o czym, do diabła, mówisz.

Fu wstał i dał im znak, żeby poszli za nim do sypialni. Całe łóżko przykrywał labirynt ze sklejki, z małymi i słabymi niebieskimi diodami, oświetlającymi każde rozgałęzienie. Od góry zamontowano pleksiglasową osłonę.

–Diody UV są po to, żeby nie zmieniły się w mgłę i nie uciekły z labiryntu – wyjaśnił. – To za mało, żeby zrobić im krzywdę, ale wystarczy, żeby się nie ulatniały.

–O, świetnie, zabawkowe miasto – powiedział Cavuto. – Akurat mamy na to czas.

Fu nie zwrócił na niego uwagi.

–Szczury przemienione dzięki krwi Jody szybciej przechodziły labirynt i łatwiej go zapamiętywały niż te, do których użyłem szczurzej krwi. Tak było, dopóki nie połączyły się w

jedną chmurę. Potem już wszystkie znalazły labirynt, nawet jeśli nigdy ich tam nie wkładaliśmy.

Rivera nachylił się i udawał, że przygląda się labiryntowi.

–Co chcesz powiedzieć, Stephen?

–Myślę, że pod postacią mgły mają wspólną świadomość. To, co wie jeden, wiedzą i pozostałe. Gdy już się połączyły, wszystkie znalazły labirynt.

Rivera spojrział na Cavuta i uniósł brwi.

–Cesarz mówił, że Tommy Flood był w tej samej chmurze, co koty-wampiry.

–Mamy przejebane – powiedział Cavuto.

Rivera spojrział na Fu, szukając potwierdzenia.

–Mamy przejebane?

Fu wzruszył ramionami.

–Hmm, na ile się zorientowałem, Tommy nie był aż tak inteligentny.

Rivera skinął głową.

–Mhm, a gdyby twoja dziewczyna się w nim nie durzyła, mielibyśmy przejebane?

Fu skulił się lekko, a potem się otrząsnął.

–Myślę, że ograniczają je możliwości mózgu danego gatunku, więc koty-wampiry nadal będą kotami, tyle że wyjątkowo sprytnymi. Z kolei Chet...

–Mamy przejebane – przerwał mu Cavuto. – Powiedz to.

–Z naukowego punktu widzenia, tak – powiedział Jared, który stał w drzwiach sypialni.

–Jak je powstrzymać? – spytał Rivera.

–Słońce. Promienie UV załatwią sprawę – odparł Fu. – Trzeba je znaleźć, kiedy śpią, bo inaczej po prostu uciekną. Nie są niezniszczalne. Rozczłonkowanie albo dekapitacja je zabije.

–Robiłeś doświadczenia? – spytał Cavuto.

Fu pokręcił głową.

–Było parę wypadków, kiedy próbowaliśmy włożyć je z powrotem do klatek, ale opieram tę hipotezę na przedstawionym przez Abby opisie faceta z mieczami, który pojawił się na ulicy.

–To chyba niezły twardeł – dorzucił Jared. – Znaleźliście go?

Cavuto chwycił go za kolec z włosów, poprowadził do kąta, postawił twarzą do ściany, po czym odwrócił się do Fu.

–Czyli te kurtki, które nam zrobiłeś, mogą je załatwić?

–Jeśli będziecie wystarczająco blisko. Ich śmiercionośny zasięg to jakieś cztery metry. Myślę, że mogę zmajstrować coś skuteczniejszego, na przykład laserową latarkę UV o wysokiej pojemności. Czymś takim można by je ciąć na odległość.

–Miecze świetlne! – wykrzyknął Jared. Podskoczył z podniecenia, a potem skrzywił się, poczuwszy ból w kostkach. – Auć.

–Dosyć – powiedział Cavuto. – Taki świr jak ty nie może być gejem. Zgłoszę to do komitetu. Cofną ci tęczową flagę i nie będzie ci wolno nawet zbliżyć się do parady.

–Jest taki komitet?

–Nie – powiedział Rivera. – On robi sobie jaja. – Odwrócił się z powrotem do Fu. – A coś, co działałoby na szerszą skalę? Jakaś szczepionka czy coś?

Fu myślał przez chwilę.

–Jasne, co dziś mamy, wtorek? Rano zajmuję się leczeniem eboli, ale po obiedzie mogę popracować nad szczepionką na wampiry.

Rivera się uśmiechnął.

–Gina ludzie, Steve. Wielu ludzi. A jedyne osoby, które mają szansę to powstrzymać, znajdują się w tym pokoju.

–Nie chodzi o ciebie – zwrócił się Cavuto do Jareda.

–Kutas – odparł Jared.

–Popracuję nad tym – powiedział Fu. – Ale nie jest tak źle, jak wam się wydaje.

–Popraw nam humor, mały – rzucił Cavuto.

–Nie wszystkie sobie radzą. Czwooro na dziesięć zwierząt przemienionych w wampiry nie dożywa drugiej nocy. Albo padają na miejscu... w pewnym sensie gniją od środka... albo dostają świra, jakby przytłaczały je wyostrzone zmysły. Mają coś w rodzaju ataku, który miesza im w mózgach, i tracą instynkt samozachowawczy. Nie żerują ani nie kryją się przed światłem. Spala je pierwszy wschód słońca po przemianie. To jak przyspieszona ewolucja, która eliminuje słabe osobniki już pierwszego dnia.

–O czym ty do mnie mówisz?

–Chmura kotów nie będzie rosła wykładniczo. A może się rozszerzyć na inny gatunek tylko w jeden sposób: ofiara musi ugryźć napastnika podczas ataku i połknąć krew wampira. Dlatego nie pojawiło się więcej ludzi-wampirów.

–To dlaczego nie ma psów-wampirów? – spytał Cavuto.

–Przypuszczam, że koty rozrywają je na strzępy jeszcze przed przemianą – wyjaśnił Fu. – Nie jestem psychologiem, ale sądzę, że między wampirami nie ma żadnego braterstwa. Jeśli jesteś kotem-wampirem, zasadniczo wciąż jesteś kotem. Pies-wampir to przede wszystkim pies.

–Z wyjątkiem Cheta – wtrącił Rivera – który jest kotem plus czymś jeszcze.

–No, występują pewne anomalie – przyznał Fu. – Mówilem wam, to bardzo rozmyta nauka. Nie podoba mi się.

Zaćwierkał telefon Rivery, więc inspektor otworzył go i spojrział na ekranik.

–Zwierzaki – oznajmił.

–I? – spytał Cavuto.

–Są w sklepie mięsnym w Chinatown. Mówią, że wiedzą, jak zabijać wampiry, ale nie mogą ich znaleźć.

–Możemy zawieźć Marviną. Napisz im, że już jedziemy.

Rivera trzymał telefon tak, jakby to było coś paskudnego i zdechłego.

–Nie wiem jak.

Fu wyrwał mu telefon z dłoni, wstukał wiadomość, nacisnął WYŚLIJ i oddał.

–Proszę, już jedzicie. Chyba mówiliście, że jedyne osoby, którzy mogą to naprawić, są w tym pokoju.

–To prawda. Ale teraz wychodzą.

–Nie zapomnijcie swoich słonecznych kurtek – powiedział Jared. – Naładowaliśmy baterie i w ogóle. Myślicie, że będziecie umieli je włączyć, czy mam jechać z wami, żeby pomóc?

–To dzieciak. – Rivera złapał Cavuta za rękę. – Nie możesz go bić.

–Dosyć tego, mały. Jesteś wykluczony z plemienia. Jeśli się dowiem, że dotknąłeś członka, nawet własnego, wyślę cię do lesbijskiego więzienia.

–Są takie?

Rivera popatrzył zza swojego partnera na Jareda i pokiwał głową, powoli, z powagą.

KATSUMI OKATA

Poparzona biała dziewczyna nie wracała zbyt szybko do zdrowia i Okata tracił krew. Ciągłe tylko na nią patrzył, szkicował i wciskał swoją krew do jej ust. Choć większość rudych włosów odrosła, a popiół poodpadał, odsłaniając bladą skórę pod spodem, wciąż była mizerna jak duch i zdawało się, że oddycha najwyżej dwa-trzy razy na godzinę. W ciągu dnia nie oddychała w ogóle i nie wydawała żadnych odgłosów z wyjątkiem cichych jęków, gdy ją karmił, które milkły, jak tylko przestawał.

Sam nie czuł się najlepiej, a drugiego dnia doznał zawrotów głowy i zemdlął na macie obok niej. Gdyby naprawdę miała ożyć jako demon, będzie zbyt słaby, żeby się obronić, i wysie z niego ostatnie krople życia. O dziwo, niezbyt mu to odpowiadało. Musiał jeść i nabierać sił, a ona potrzebowała więcej krwi.

–Trzeba będzie znaleźć równowagę – powiedział do białej dziewczyny po japońsku. Ostatnio więcej z nią rozmawiał i odkrył, że już nie wzdryga się na dźwięk własnego głosu w tym małym mieszkanku, w którym tak długo nie rozbrzmiewały ludzkie słowa. Równowaga.

Gdy zrobiło się widno, a ona nie ruszała się przez godzinę, zamknął mieszkanie, wziął miecz i poszedł do Chinatown, wstydząc się, że stawia takie drobne, starcze kroki, bo tak bardzo osłabł. Może naprawdę pójdzie do restauracji na herbatę i makaron, posiedzi, aż wrócą mu siły. A potem znajdzie lepszy sposób na karmienie poparzonej dziewczyny.

Znał tylko kilkanaście kantońskich słów, mimo że przez czterdzieści lat mieszkał w pobliżu Chinatown. Były to te same słowa, które znał po angielsku. Swoim uczniom w dojo powiedział, że bushido i język japoński są nierozzerwalnie połączone, lecz w istocie chodziło raczej o jego upór i niechęć do rozmów z ludźmi. Znał następujące słowa i zwroty: *dzień dobry, do widzenia, tak, nie, proszę, dziękuję, dobra, przepraszam* oraz *possij mi fiuta*. Ustanowił jednak zasadę, by ostatnie trzy wyrazy wypowiadać tylko w połączeniu z *proszę* i/lub *dziękuję*, a złamał ją tylko raz, gdy pewien zbir w Tenderloin próbował mu zabrać miecz i Okata zapomniał powiedzieć *proszę*, zanim rozłupał tamtemu czaszkę niewyjętą z pochwy katana. Powiedział za to *przepraszam*.

Minał ponad tydzień, odkąd Okata był w dojo w Japantown. Uczniowie pomyślą, że ich sprawdza, a gdy nadejdzie czas, by stanąć z nimi twarzą w twarz, powie im przez swój translator, że muszą się nauczyć siedzieć. Nauczyć się cierpliwości. Niczego się nie spodziewać. Oczekiwanie było pragnieniem, a czyż Budda nie nauczał, że pragnienie to źródło wszelkiego cierpienia? Potem przywali każdemu z nich bambusowym *shinsai* w ramach pogładowej lekcji cierpienia. *Dziękuję*.

Nie przepadał specjalnie za gotowymi daniami chińskimi, ale do Japantown miał za daleko, a potrawy japońskie w jego dzielnicy były zbyt drogie. Ale makaron to makaron. Zje akurat tyle, by odzyskać siły, a potem kupi rybę i może trochę wołowiny, by wspomóc wytwarzanie krwi, po czym zanieś je do domu i przygotuje.

Gdy już pochłonął trzy miseczki soby i wypił imbryk zielonej herbaty w restauracji o nazwie Soup, skierował się do sklepu mięsnego. Obok starego mężczyzny, grającego na *gaohu*, czyli dwustrunowym pionowym instrumencie smyczkowym, którego dźwięk kojarzył się z krzywdzonym kotem, szermierz minął dwóch policjantów, którzy przystanęli, jakby się zastanawiali, czy dać skrzypkowi pieniądze, czy może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby

potraktowali go paralizatorem. Uśmiechnęli się i uklonili Okacie, który odpowiedział uśmiechem. Byli lekko rozbawieni widokiem drobnego mężczyzny w przykrótkich szerokich spodniach w kratę, skarpetkach o barwie fluorescencyjnego oranżu i pomarańczowym kapeluszu, którego widywali w mieście, odkąd byli mali. Nigdy nie przyszło im do głowy, że był kimś więcej niż ulicznym ekscentrykiem albo że laska, którą odmierzał swoje dziarskie kroki, wcale nie była laską.

Okata musiał długo posługiwać się gestami i pantomimą, by wyklarować chińskiemu rzeźnikowi, że chce kupić krew, gdy jednak w końcu się udało, zdziwił się, że krew nie tylko jest w sprzedaży, ale w dodatku w różnych smakach: świńska, kurza, wołowa i żółwia. Żółwia? Nie dla jego poparzonej dziewczyny. Jak ten rzeźnik śmie nawet sugerować coś takiego? Zdecydował się na wołową plus litr czy dwa świńskiej, bo przypomniał sobie, jak kiedyś czytał, że pewne plemię ludożerców z wysp pacyficznych nazywa ludzkie mięso „długą świnia”, więc może świńska krew bardziej przypadnie jej do gustu.

Rzeźnik złożył pokrywki na osiem litrowych plastikowych pojemników zawierających całą nieżółwią krew, jaką miał, po czym ostrożnie włożył je do dużej torby na zakupy i podał ją kobiecie przy kasie. Okata zapłacił, wziął torbę i właśnie chował resztę, gdy ktoś poklepał go po ramieniu.

Odwrócił się. Nikogo nie było. Potem spojrział w dół. Małeńka chińska babcia w gangsterskich ciuchach, które nadawały jej wygląd kojarzący się z hip-hopowym Yodą. Powiedziała do niego coś po kantońsku, następnie powiedziała coś do rzeźnika, a potem do kobiety przy kasie, która wskazała na torbę, w końcu znowu odezwała się do Okaty. Na koniec położyła dłoń na jego torbie z zakupami.

–Dziękuję – rzekł Okata po kantońsku. Uklonił się lekko.

Staruszka ani drgnęła.

Konfrontacja z chińską babcią podczas zakupów w Chinatown nie była niczym niezwykłym. Właściwie nieraz musiał się przeciskać przez tłum Chino-matron tylko po to, by kupić porządną kapustę, ale ta tutaj najwyraźniej chciała tego, co Okata już kupił.

Uśmiechnął się, znowu lekko uklonił, powiedział „do widzenia” i spróbował ją wyminąć. Zastąpiła mu drogę i zauważył to, co powinien dostrzec już wcześniej: za nią stała grupa młodych mężczyzn. Było ich siedmiu, biali, Latynosi, czarni i żółci. Wszyscy wydawali się lekko naspawani, a jednak pełni determinacji.

Staruszka szczerknęła coś do niego po kantońsku i próbowała zabrać torbę. Potem młodzi mężczyźni za nią ruszyli do przodu.

ZWIERZAKI

–Obmyła was krew Baranka? – zapytał Clint, nawrócony na wiarę były narkoman, do funkcjonariuszy, gdy ci weszli do sklepu. Uśmiechnął się przez ramię. Był od stóp do głów uwalany krwią. Wszyscy w sklepie byli uwalani krwią, z wyjątkiem dwóch mundurowych policjantów, którzy próbowali rozdzielić trzy grupy: klientów, rzeźników i Zwierzaków. Tych ostatnich ustawili za ladą, twarzami do ściany, krępując im ręce opaskami zaciskowymi.

–Inspektorze, ci kolesie twierdzą, że mieli się tu z panem spotkać – odezwał się młodszy z mundurowych, wychudzony Latynos o imieniu Muñez.

Rivera pokręcił głową.

–On zaczął – powiedział Lash Jefferson. – Zajmowaliśmy się swoimi sprawami, a on rzucił się na nas jak wariat.

Rivera zerknął na policjanta o azjatyckich rysach, Johna Tana, z którym pracował już wcześniej, gdy prowadził śledztwo w sprawie morderstwa w Chinatown i potrzebował tłumacza.

–Co się stało?

Tan pokręcił głową i końcem pałki przesunął czapkę na tył głowy.

–Nikt nie został ranny. To krew wołowa i wieprzowa. Rzeźnik mówi, że ci goście zaatakowali małego Japończyka, stałego klienta, bo wykupił całą wołową krew.

–Potrzebowaliśmy jej na przynętę – powiedział Lash. – Wie pan, inspektorze, jak piwo na ślimaki. – Puścił oko.

–Zaatakowaliście starca, bo kupił resztę krwi krowy? – spytał Cavuto.

–To on nas zaatakował – odparł Troy Lee. – Tylko się broniliśmy.

–Miał miecz – oznajmił Drew, który następnie szybko się odwrócił i polizal ścianę. Ciągłe był pod wpływem zielska zwanego mrówkojadem i zdawało mu się, że dostrzegł tam smakowitego robaka. Okazało się, że to gwóźdź. Nie tak smaczny.

Posterunkowy Tan przewrócił oczami, odwracając się do Rivery.

–Rzeźnik mówi, że starzec miał jakąś laskę. Użył jej w samoobronie.

–Nie wyciągnął miecza z pochwy, ale to jeszcze nie znaczy, że go nie miał – odezwał się Jeff, wysoki jasnowłosy sportowiec.

–To była walka o honor – dodał Troy Lee.

–Jeden starzec z laską na was siedmiu? – spytał Rivera. – Honor?

–Powiedział do mojej babci, żeby posłała mu fiuta – wyjaśnił Troy.

–Mimo wszystko – odparł Cavuto.

–Ale ona się zgodziła – powiedział Troy.

–To cholernie nie w porządku – stwierdził Lash.

Babcia, która stała z innymi oburzonymi zakrwawionymi klientami po drugiej stronie sklepu, wystrzeliła w policjanta salwę kantońskiego. Rivera popatrzył na posterunkowego Tana, licząc na tłumaczenie.

–Mówi, że źle zrozumiała, co mówił, bo miał zły akcent.

–Mam to gdzieś – stwierdził Rivera. – Gdzie jest ten facet z rzekomą laską?

–Uciekł, zanim tu dotarliśmy – oznajmił Tan. – Wezwaliśmy wsparcie, ale poprosiliśmy tamtą jednostkę o odnalezienie ofiary, kiedy ci tutaj nie stawiali oporu.

–Opór nie ma sensu – powiedział Clint głosem robota.

–Myślałem, że jesteś chrześcijaninem – zauważył Cavuto.

–A co, nie mogę lubić i Jezusa, i *Star Treka*?

–Oj, do kurwy nędzy. Rivera, po prostu aresztujmy tych kretynów i...

Rivera podniósł rękę, by uciszyć towarzystwo.

–Posterunkowy Tan, obawiam się, że ich potrzebuję. Masz ich nazwiska, na wypadek gdyby pojawił się ten od laski i wniósł oskarżenie. Niech tamci ludzie zostawią dane u rzeźnika. Ci koleś zapłacą im za pralnię.

–Tak jest, sir – powiedział Tan. – Są twoi. Mam im zdjąć opaski?

–Nie – odparł Rivera. – Chodźcie, chłopcy. – Wyprowadził Zwierzaków z rękami skrępowanymi na plecach ze sklepu z mięsem na ruchliwy chodnik przy Stockton Street, w istną rzekę ludzi.

–Lepiej zabierz babcię Troya Lee – poradził Lash, zataczając się w bok, kiedy obok przejechał sprzedawca z wózkiem pełnym skrzyń.

–Tak, babcia ma tajną broń – wypalił Troy Lee.

–Słyszałem – powiedział Cavuto.

Jeff, wysoki sportowiec, rzucił:

–Hej, czy ktoś się zastanawiał, po co staremu Japońcowi sześć litrów zwierzęcej krwi?

KRONIKI ABBY NORMAL,
NOSFERATU

No, to było dramatyczne. Ronnie płacze i kuli się w drugim pokoju, bo wypila trochę jej krwi. Ja pierdolę, ty głupia emo-lalo, weź się, kurwa, w garść, masz tego na litry! Czego się spodziewała? W końcu mnie zabiła, myślała, że to za friko? Nie jestem jakąś łatwą dziwką śmierci, która pozwala się zabić za nic, jestem nosferatu, szmato. Ten towar ma swoją cenę. W dodatku jej krew totalnie smakuje jak krem na pryszczę. Prawie się porzygałam.

Wiem, *tres* fajnie, *non*? No to skoro już jestem mroczną i piękną istotą niewypowiedzianego zła, chyba zacznę prowadzić blog z płatnym dostępem. Chociaż mogę reklamować jedynie mrok i niewypowiedziane zło, bo jeśli chodzi o piękno, zaczynam praktycznie od zera. Po pierwsze, wszystkie moje tatuaże totalnie zniknęły. Zniknęły! Jakby ktoś je starł. Gdy poddałam się mrocznemu darowi, lykając cały słoiczek pigulek nasennych Matkobota, Ronnie ukryła mnie pod stertą kolder i pluszowych zwierząt, a kiedy się obudziłam o zachodzie słońca, wypełzłam spod mogiły troskliwych misiów, muppetów i tak dalej z totalnie wymazanymi tatuażami. Jakby tusz został wypchnięty na wierzch mojej skóry. Teraz Ronnie ma Epileptycznego Elma, na którym jest więcej mojego tuszu niż na mnie. I wszystkie moje dziurki od piercingu się zabiżniły. Wszystkie sztyfty i kółka leżą na podłodze.

Cycki? Ciągle żalodne. Miałam taką nadzieję, że dopadnę Fu i pokażę mu wspaniałą wampiryczny dekol. Wiecie, tak włożyć stanik i ścisnąć piersi, żeby potem zrobić BAM! „Zobacz, Fu. Drzyj przed zabójczym dekoltem i błagaj, żeby nie wytarzała w nim twojej przystojnej buźki ninja”. Ale nie! Teraz powie: „O, zdaje się, że pod koszulkę wpadły ci jakieś monety, wampirku. Może ci pomóc?”.

A zatem cierpię.

I nie można sobie zrobić implantów. Widziałam, co się stało, kiedy niebieska dziwka Zwierzaków zmieniła się w wampira. Budzisz się, twoje implanty leżą na podłodze i mówisz: „Hej, obciągnęłam ze stu nieznanym, żeby je mieć”. To tak szacunkowo. Jestem pewna, że liczba nieznanym zależałaby od stawek za zrobienie lodu i za implanty w waszej okolicy. (Kiedy masz matkę pielęgniarke, poznajesz medyczną wiedzę tajemną). Nie można tego później usunąć, wiecie, gdyby zaszła taka potrzeba.

Nawet makijaż mam zepsuty, bo Ronnie próbowała walnąć mnie poduszką, więc potrwa to z godzinę. Słyszałam, że czasami, nawet jak wrzucisz ogromną dawkę leków, nie zawsze umierasz, bo twoje serce się nie zatrzymuje, i dlatego trzeba wsadzić głowę do plastikowej torby. Ale nie chciałam tego zrobić, bo nałożyłam na oczy makijaż a la Kleopatra, który był *tres* elegancki, żeby dobrze wyglądać po zmartwychwstaniu. Więc Ronnie miała położyć mi rękę na ustach i nosie, aż przestanę oddychać, a potem poprawić mi makijaż, gdyby szminka się rozmazała. Bo w przeciwnym razie całymi tygodniami byłabym dziewczyną w śpiączce, a Matkobot nie chciałby odłączyć mnie od aparatury z powodu poczucia winy, że traktowała mnie jak szmatę i nigdy nie doceniała mojej mrocznej złożoności, wewnętrznego piękna i tak dalej, a mam za dużo spraw na głowie, żeby pójść na coś takiego.

Ale Ronnie nawet nie czekała, aż stracę przytomność. Wzięłam tabletki i popiłam oranżadą „SunnyD” (bo my, nosferatu, uwielbiamy odrobinę ironii), a potem położyłam się na podłodze,

jak zaplanowałyśmy, więc Ronnie po prostu wturlała moje ciało pod łóżko, żeby schować mnie przed śmiertcionośnymi promieniami słońca i mamą. A zatem rozpaczalam po stracie swojej śmiertelności i w ogóle, kiedy Ronnie normalnie rzuciła mi w twarz poduszkę i na niej usiadła. A ja na to: „Czekaj, czekaj, mmmfff, mmmfff”.

A potem pierdnęła mi prosto w twarz – to był jeden z tych ohydnych, wegańskich bąków – bo została weganką, odkąd miała wszy i ogoliłyśmy jej głowę. (Nie wiem czemu. Coś z czosnkiem i pasożytami. To wariatka). No i dobra, stwierdziłam, że mogę jeszcze poczekać na mroczny dar i że Ronnie musi umrzeć, jak tylko ją z siebie zrzucę. I wtedy pierdnęła jeszcze raz! A jest chudsza ode mnie. Nie wiem, jak w ogóle mogła mieć tyle tego w sobie. A śmiała się tak bardzo, że aż ze mnie spadła, i wtedy wykonałam swój ruch.

No i tak ganiałam ją po domu, krzycząc: „Zedrę z ciebie skórę, zrobię z niej buty i będę cię nimi wdeptywać w psie gówna!”, oraz rzucając inne podstawowe groźby superłotrów, a wtedy wszystko zafalowało i pamiętam tylko, że potem weszłam w przesuwne szklane drzwi i tak jakby się odbiłam. Umarłam zatem tragicznie i młodo, a w pobliżu nie było nikogo, kto pograżylby się w żalobie, albo wylewał łzy, albo ucałował moje zimne, pozbawione życia wargi i tym podobne.

Ale teraz jestem nieumarła i wspaniała. Myślę, że przy odrobinie praktyki zostanę super, superłotrem, i naprawdę mi to pasuje, bo nie będę brała żadnych kredytów studenckich, co byłoby konieczne, gdybym wybrała drugą z wymarzonych ścieżek kariery – romantycznej poetki.

Dobra, teraz muszę poprawić sobie makijaż, wybrać strój, a potem wyruszyć samotnie w noc na poszukiwanie księżnej i wampira Flooda, może też wpaść do gniazdka miłości, żeby totalnie przytłoczyć Fu swoim natrętnym i wiecznym pięknem, mimo wciąż małego biustu.

OKdzpa. Nieśmiertelność rządzi! Mogę stukać w klawiaturę z demoniczną prędkością! Bójcie się mnie! Nara.

CESARZ

Cesarz i żołnierze dzielili się kanapką z szynką na ławce przy pirsie numer dziewięć w jasnym, południowym słońcu i patrzyli, jak do przystani wślizguje się ciemny nóż jachtu. Był tylko nieco krótszy od boiska piłkarskiego, cały czarny, ze stalowymi wykończeniami – starzec wyobrażał sobie, że tak właśnie wyglądałby statek kosmiczny, gdyby miał napęd żaglowy. Żagle na trzech masztach ze stali nierdzewnej zostały mechanicznie zwinięte w czarne obłoki z włókna węglowego, a pełne krzywizn okna kokpitu i kabiny zostały zaczernione. Na pokładzie nie było żadnej załogi.

Przez wszystkie lata spędzone na morzu i nad morzem Cesarz nie widział niczego podobnego.

Bummer położył uszy i warknął.

–Spokojnie, mały, to tylko żaglowiec, do tego piękny – powiedział starzec, chociaż wydało mu się dziwne, że na pokładzie nie ma nikogo, kto zawiązałby cumy.

Statek tak duży i, co może ważniejsze, tak kosztowny, zwykle cumowało przynajmniej pięć osób. Gdy jednak znalazł się równoległe do przystani, w burcie otworzyły się dysze wspomagające, które łagodnie popchnęły kadłub do pomostu. Dysze po drugiej stronie też zadziałały, zatrzymując go o kilkanaście centymetrów od brzegu. Unosił się tam, a dysze odpalały w miarę potrzeb, by uchronić go przed dryfowaniem. Sto metrów stali i włókien węglowych, zapewne ponad dwieście ton, zaparkowane równie łatwo i w pewnym stopniu płynniej niż mini cooper pod sklepem.

Bummer podbiegł do końca falochronu, zanosząc się salwami szczeknięć, które należałoby przełożyć jako „zła łódź, zła łódź, zła łódź”.

Taki jazgot ze strony wylupiastookiego towarzysza nie był niczym niezwykłym i normalnie Cesarz poprzestałby na uspokajającym słowie, ale do zjedzenia pozostało jeszcze pół kanapki i Bummer musiał uznać, że coś jest bardzo nie tak, skoro zdecydował się ją zostawić.

Teraz Lazarus poczuł zapach chłodnego wiatru nadciągającego znad zatoki i zaskamlał, potrząsnął głową, a potem popatrzył na Cesarza, co po psiemu oznaczało „pachnie nieumarłym, szefie”.

Kłoszard nie rozumiał, co mówią do niego towarzysze, ale miał pewne podejrzenia. Po prostu nie był gotów, by to usłyszeć. Minęło ledwie parę godzin, odkąd dwaj inspektorzy policji podwieźli go do jachtklubu St. Francis, którego członkowie pozwalali jemu i żołnierzom korzystać z zewnętrznych pryszniców, a jeden z nich kupił im nawet tę pyszną kanapkę i przekazał jako dar w podzięcie za służbę dla miasta. Zaledwie godzinę po tym, jak zdołał wyprostować szyję, spędziwszy wcześniej większą część nocy do góry nogami w beczce. Dopiero teraz, po spacerze wzdłuż morza i dobrym posiłku, ból w kolanach i ramionach zaczął ustępować. Nie był gotów, by znowu stanąć do walki.

–Jestem samolubnym starcem – zwrócił się do żołnierzy. – Tchórzem, który przejmuje się własną wygodą, podczas gdy poddanym grozi niebezpieczeństwo. Boję się. – Lecz już w chwili, gdy to mówił, wstawał na skrzypiących kolanach, podpierając się laską, którą raptem tego ranka odebrał z jachtklubu, gdzie zostawił ją na przechowanie.

Główkę wyrzeźbiono z kości słoniowej na kształt niedźwiedzia polarnego i pasowała do ręki Cesarza, jakby powstała na jego zamówienie, choć tak naprawdę był to prezent od milego młodzieńca nazwiskiem Asher, właściciela komisju w North Beach, ale to już inna historia.

Żałował, że nie ma w niej ostrza, tak jak w lasce, którą nosił sam Asher. Niestety, musiał zmierzyć się z czarnym statkiem, dysponując jedynie laską, kanapką i nieustraszonymi, porośniętymi sierścią towarzyszami.

Nadał się niczym nadymka i ruszył wzdłuż przystani, a Bummer i Lazarus podążyły za nim z opuszczonymi uszami, warcząc harmonijnie na dwa głosy. Kilkoro ludzi zgromadziło się przy ogrodzeniu falochronu, pokazując palcami wielki żaglowiec. Nie było rzadkością, że ktoś przerywał dzień, by się zatrzymać, ale jeśli akurat biegł albo szedł szybkim krokiem i potrzebował pretekstu do przerwy, czarny statek mógł rozpałcić wyobraźnię i pozwolić na złapanie oddechu.

Znalazłszy się przy statku, Cesarz nie był pewien co robić. Nie licząc zachowania Bummera, nie miał tak naprawdę powodu, by wchodzić na pokład. A statek nie należał do jego miasta, nie mógł więc rościć sobie prawa do władzy nad nim. Słyszał dysze, włączające się sporadycznie tuż pod powierzchnią wody, po to, by utrzymać statek w jednym miejscu. Wystarczył krok – dość długi – by stanąć na rufie. Może, gdy już skoczy, przyjdzie mu do głowy co dalej robić. Cofnął się, by nabrać rozpędu, przynajmniej takiego, na jaki pozwalały mu zaawansowany wiek i budowa ciała przypominająca bojler, ale gdy w odliczaniu doszedł do dwóch, nad relingiem kokpitu wyłoniła się opalona twarz, okolona płataniną jasnych dredów, i młody mężczyzna zawołał:

–Git, wujciu, niesiesz nam superanckie żarło?! Kolosalne dzięki, ale proszę czekać w przystani!

Wtedy Cesarz się zatrzymał. Bummer i Lazarus przestały nawet warczeć, usiadły i przechyliły głowy w sposób, w jaki zrobiłby to pies nasłuchujący słowa „jedzenie” podczas recytacji *Iliady*.

Mężczyzna podciągnął się na czarną osłonę kokpitu i wylądował na pokładzie. Był szczupły i muskularny, opalony na kolor kawy z mlekiem, z tatuażem przedstawiającym humbaka, na prawym mięśni piersiowym. Nosił szerokie szorty, pomimo panującego nad zatoką chłodu, a także złote kółko w nosie oraz cały ich zestaw wzdłuż krawędzi każdego ucha. Dredy okalały jego głowę na podobieństwo węży słonecznych, szukających drogi ucieczki.

Przeskoczył na pomost, wyszczerzył się w olśniewająco białym uśmiechu i porwał resztkę kanapki z ręki Cesarza.

–Ach, laska Jah z tobą, wujciu, za to cholerne żarło. Długo żem był na morzu.

Bummer warknął. Jasnowłosy rastaman miał ich kanapkę.

–A, kochane psiaczki – powiedział rasta. – Niech was Jah błogosławi. – Uklęknął i podrapał Bummera za uszami.

Nieznajomy pachniał olejem kokosowym, trawką i nieumarłym. Bummer zamierzał go ugryźć, jak tylko skończy drapać go za uszami.

–Jestem Pelekekona Keohokalole. Mówcie mi Kona, dla skrót. Kapitan piratów i lew słonej ciszy, no nie?

–Jestem Cesarzem San Francisco, protektorem Alcatraz, Sausalito i Treasure Island – przedstawił się Cesarz, który nie umiał być nieuprzejmy wobec uśmiechniętego przybysza, pomimo czarnego statku. – Witam w moim mieście.

–Ach, wielkie dzięki, brachu. Szacun, nie? Ale nie możesz płynąć tym statkiem *Raven*, o nie. Zabije cię, brachu. Automatycznie zabije. Trup, trup i już. Nie chodzący trup, jak ci na dole.

–To się rozumie samo przez się – odrzekł Cesarz.

PIES FU

Szczury biegały od godziny, gdy Fu usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych. Odłożył lutownicę na drucianą podkładkę i odwrócił się do drzwi, gdy znalazła się na nim. Poczul trzask swoich kręgów, gdy jej nogi owinęły się wokół niego i przewrócił się w tył. Coś złapało go z tyłu głowy, a w usta wepchnęło mu się coś wilgotnego i metalicznego: język.

Ogarnęła go panika i omal się nie udusił, ale wtedy poczul zapach: mieszaninę sandałowych perfum, goździkowych papierosów i kawy z mlekiem. Mimo przerażenia doznał silnej erekcji, którą teraz wepchnął w napastniczkę w geście obrony.

Odsunęła się i chwyciła w garść jego koszulę, próbując złapać oddech.

–Wark! – warknęła.

–Tęskniłem za tobą – powiedział Fu...

–Twoje cierpienie dopiero się zaczęło – oznajmiła Abby.

Miała na sobie czerwoną spódniczkę mini w szkocką kratę, czarny trykot z głębokim dekoltem, obrozę z kolcami i jasnozielone buty „Converse Chuck Taylor”, które czasami określała mianem „chucków zakazanej miłości” – z powodów, których nigdy nie udało mu się odgadnąć.

–Zdaje się, że łamiesz mi żebra.

–To dlatego, że jestem nossssssferatu, a moja moc to legion i w ogóle! *Tres* fajnie, nie?

Fu zdał sobie sprawę, że naprawdę to zrobiła – w jakiś sposób zdołała zmienić się w wampira. Zniknęły kolczyki z nosa, brwi i warg, ślady piercingu się zabiły. Wytatuowany pająk na szyi też zniknął.

–Jak? – spytał, natychmiast próbując obliczyć jej szanse przeżycia.

Rozmawiał z nią wczoraj przez telefon i był pewien, że wspomniałaby o przemianie, gdyby już jej dokonała, więc wnioskował, że to ciągle pierwsze dwadzieścia cztery godziny. Nadal mogła się zaliczać do tych, którym groziło szaleństwo lub autodestrukcja, a choć Abby nie brakowało ani szaleństwa, ani skłonności autodestrukcyjnych, to jeszcze nie oznaczało, że nie powinien podjąć starań, by ją uratować.

Znowu go pocałowała, mocno, i choć było to nadzwyczaj miłe, nad wyraz czujnie sprawdzał, czy nie pękła skóra na jego wargach – lub jej. Na razie wszystko było w porządku. Odepchnęła go, ale potem znów złapała jego potylicę, by nie walnął nią o podłogę. Właściwie teraz, po śmierci, wydawała się nieco troskliwsza, choć nie oznaczało to, że spokojniejsza.

–Cierpliwości, mój miłosny ninja, wykorzystam cię tak, jak należy wykorzystać słodką mangowłosą męską dziwkę, ale najpierw musimy wypróbować moje moce. Wypuśćmy część szczurów z klatek, a ja wydam im rozkazy za pomocą swoich wampirycznych zdolności parapsychicznych. Zobaczymy, czy dadzą się namówić do posprzątania kuchni.

Dobra, może jeszcze nie wyszli poza obręb szaleństwa.

–Tak, a potem spróbujemy nakłonić sikorki, żeby zawiązały ci wstążkę we włosach.

–Nie drwij sobie, Fu! Musisz mnie słuchać! Jestem księżna Abigail von Normal, królowa-dziwka nocy, a ty jesteś moim uległym seksualnym niewolnikiem!

–To jesteś księżną czy królową? Powiedziałaś i jedno, i drugie.

–Zamknij się, gnojku, bo wyszę cię do cna!

–Dobra – odrzekł. Mądry mężczyzna wie, kiedy ustąpić.

–Nie w ten sposób, Fu. Chodziło mi o to, że nad tobą zapanuję, a ty spełnisz moje żądania!

–A czym będzie się to różniło od każdego innego dnia?

–Porzuć banalność i pytania jajogłowego, Fu. Totalnie psujesz mi słodycz władzy nad nocą.

–Brzmi trochę jakbyś kupiła sobie latarkę.

–Dosyć tego. Stłukę ci ten tylek ninja. – Zeskoczyła z niego i przybrała pozę kung-fu

„przyczajony tygrys, wyrwę ci serce”, którą zna każdy, kto oglądał filmy o sztukach walki.

–Czekaj! Czekaj! Czekaj!

–Okej – powiedziała Abby, odprężając się do znacznie mniej groźnej pozy „przygarbiony tygrys odpoczywa z paczką cheetos”, którą zna każdy, kto kiedyś jadł chipsy.

–Najpierw musisz się pożywić, nabrać sił – powiedział Fu. – Jesteś wampiryczną nowicjuską. Musisz dorosnąć do swoich mocy.

–Ha – odrzekła Abby. – Mówisz jak śmiertelnik, który nie potrafi ogarnąć głębi mrocznego daru. Po drodze tutaj przeskoczyłam samochód. I biegam totalnie szybciej niż pociąg linii F. Moje trampki są ciągle ciepłe od szczątkowej prędkości. Śmiało, dotknij. Poliz je, jeśli musisz. Nawet teraz widzę wokół ciebie tę całą aurę, która jest jasnorożowa, więc nie pasuje do czadowych włosów i męskiego wybrzuszenia.

Fu spuścił wzrok. Tak, wybrzuszenie go zdradzało.

–Powinnaś trochę zwolnić, Abby – powiedział.

–O tak, patrz! – W jednej chwili znalazła się po drugiej stronie poddasza, przy blacie kuchennym, a w kolejnej przemknęła przez salon i uderzyła w dyktę pokrywającą okna.

Fu nie mógł nic zrobić. Mogła podnieść kanapę, podskoczyć na pięć metrów i złapać się krokwi, a nawet przemienić się w mgłę, gdyby wiedziała, jak to zrobić, ale postanowiła zademonstrować swoje moce inaczej: wyskakując przez centymetrowej grubości dyktę i lądując niczym kot na ulicy poniżej. To by wzbudziło dreszcz, bez wątpienia.

Abby nie wiedziała jednak, że kiedy jej nie było, zadzwonił facet od okien i powiedział, że przez dwa tygodnie nie będzie mógł przyjść, więc Fu wymienił półcentymetrową dyktę na półtoracentymetrową i zamiast tylko przybijać ją w rogach małymi gwoździkami, zamocował ją stalowymi śrubami, by nie zostawiać żadnych szczelin, przez które mogłyby uciec szczury pod postacią mgły.

Fu skulił się i zasłonił oczy.

Była szybka i nadnaturalnie silna, ale czterdzieści kilogramów wampira to nadal tylko czterdzieści kilogramów.

Czy walnęła w dyktę w stylu Kojota Wilusia, a potem zsunęła się w dół? Ha. Co to, to nie.

Walnęła w dyktę, która odkształciła się, a potem lekko pękła, by w końcu odgiąć się niczym sprężyna i posłać ją przez całe poddasze na przeciwległą ścianę, gdzie Abby zostawiła niewielki odcisk gotyckiej dziewczyny, nim padła w przód, prosto na twarz, i powiedziała w dywan:

–O, kurwa.

–Nic ci nie jest? – spytał Fu.

–Połamana – odparła Abby w dywan.

Przyklęknął nad nią, nie chcąc odwracać jej głowy, by niewiedzieć, jakich doznała obrażeń.

–Co masz złamane?

–Wszystko.

–Przyniosę ci trochę krwi z lodówki. Powinnaś dość szybko wyzdrowieć.

–Okej – powiedziała Abby, wciąż twarzą w dół, nawet nie drgnąwszy od chwili upadku. – Nie

patrz na mnie, dobra?

–Nie ma mowy – odparł Fu, który już był w kuchni. Wyjął z lodówki jeden z plastikowych woreczków z krwią i wstrząsnął. – Chwileczkę. Nie ruszaj się, Abs, możesz mieć złamane kości. – Szybkim krokiem wrócił do sypialni, wziął sterylną strzykawkę z szafki, w której trzymał odczynniki, zdjął zatyczkę i wstrzyknął do woreczka środek uspokajający.

–Proszę, mała. Wypij to i wszystko będzie dobrze.

Dziesięć minut później usłyszał, że ktoś wchodzi na górę po schodach, i dotarło do niego, że Abby zapomniała zamknąć drzwi.

Jared wpadł do środka, stanął, zobaczywszy Fu klęczącego nad rozciągniętą Abby, przy której głowie widniała spora kałuża krwi, i zaczął krzyczeć.

–Przestań krzyczeć! – warknął Fu. – To nie jej krew.

Jared przestał krzyczeć.

–Co jej zrobiłeś?

–Nic, jest cała i zdrowa. Możesz zdjąć labirynt z łóżka i pomóc mi ją tam położyć?

W pewnej chwili podczas tej dysputy spódnica Abby podwinęła się i Jared wskazał podłużne wybrzuszenie przebiegające przez jej tyłek iczęściowo nogę pod czarnymtrykotem.

–Co to? Zesrała się?

–Nie – odparł Fu, pragnąc nie wiedzieć, co to takiego, ale już sprawdził. – To ogon.

–Uch. Dziwne.

–No – przyznał Fu.

Okata wyskrobał kilka ostatnich kropli krwi do ust poparzonej dziewczyny. Udało mu się ocalić dwa z sześciu litrowych pojemników, ale wiedział, że to nie wystarczy, a po walce w sklepie mięsnym i ucieczce zdawał sobie sprawę, że nie ma dość sił, by dać jej jeszcze trochę swojej krwi. Będzie potrzebowała więcej, a on powinien zacząć o niej myśleć jak o kimś więcej niż tylko „poparzonej białej dziewczynie”. Zaczynała już przypominać prawdziwą osobę, a nie grudę popiołu w kształcie człowieka. Bardzo starą i straszną, martwą osobę, bez wątplenia, ale jednak. Jej rude włosy niemal pokrywały już poduszkę. Poruszyła się, choć nieznacznie, zamykając usta, gdy wpadło do nich kilka ostatnich kropli krwi. Przy tym ruchu nie odpadły od niej żadne spopielone strzępy.

Podniósł z podłogi swój szkicownik, przeniósł się na koniec futonu dla uzyskania innego kąta widzenia i zaczął ją rysować, tak jak czynił mniej więcej co godzinę, odkąd wrócił od rzeźnika. Wciąż był pokryty krwią, która zachlapała go podczas walki, dawno już jednak wyschła i pomijając fakt, że umył ręce, właściwie o niej zapomniał. Dokończył szkic, po czym usiadł przy stole, gdzie przeniósł dopracowaną wersję rysunku na kawałek papieru ryżowego, tak cienkiego, że był niemal przezroczysty. Skopiuje go jeszcze cztery razy, po czym każdą kopię przyklei do bloku drewna, by wyrzeźbić wzór dla poszczególnych kolorów.

Spojrzał na nią przez ramię i poczuł dreszcz wstydu. Tak, wyglądała teraz jak osoba, stara, wysuszonego babcia, ale nie powinien zostawiać jej w takim stanie. Wziął miseczkę z półki nad małym zlewem, napełnił ją ciepłą wodą, a potem przyklęknął przy futonie i delikatnie zmył gąbką z jej ciała resztki patyny popiołu, odsłaniając sinobiałą skórę. Była gładka niczym papier ryżowy, ale w miarę, jak usuwał popiół, uwydatniały się pory i mieszki włosowe.

–Przepraszam – powiedział po angielsku. Potem po japońsku dodał: – Nie byłem dość troskliwy, moja poparzona *gaijin* dziewczyno. Postaram się lepiej.

Podszedł do szafki pod stołem warsztatowym i wyjął cedrową skrzynkę, która wyglądała trochę tak, jakby zaprojektowano ją do zestawu srebrnych sztuczków. Otworzył wieko i wyciągnął złożony biały jedwab, po czym wstał i rozwinął strój. Ślubne kimono Yuriko. Pachniało cedrem i może trochę kadzidelkami, ale na całe szczęście nie pachniało nią.

Położył kimono obok dziewczyny, a potem bardzo powoli wsunął je pod nią, delikatnie włożył jej kościste ręce w rękawy, zamknął je i przewiązał białym obi. Ułożył jej ręce przy bokach, by wydawało się, że jest jej wygodnie, po czym podniósł mały płatek skrzepniętej krwi, który spadł z jej twarzy na piersi. Wyglądała teraz lepiej. Wciąż jak zjawą, wciąż strasznie, ale lepiej.

–No i proszę. Yuriko byłaby zadowolona, że jej kimono pomogło okryć kogoś, kto nie miał nic.

Wrócił do stołu i zajął się rysunkiem, z którego zamierzał wyrzeźbić blok na żółty tusz, przedstawiający futon, gdy usłyszał za sobą ruch i odwrócił się.

–Wyglądasz smakowicie – powiedziała Jody.

TOMMY

Tommy spędził wczesny wieczór w bibliotece, czytając „The Economist” i „Scientific American”. Miał wrażenie, że słowa przywracają go ze świata zwierząt do człowieczeństwa, a w tych czasopismach było mnóstwo słów. Chciał odzyskać pełnię zdolności mówienia i ludzkiego myślenia, zanim stanie przed Jody. Miał też nadzieję, że to, co się stało, powróci w jego słowach, ale najwyraźniej nic z tego nie wychodziło. Przypomnił sobie czerwoną plamę głodu w głowie, przypomniał sobie, jak wyrzucono go przez okno i wylądował na ulicy, ale z wydarzeń pomiędzy tą chwilą a momentem, gdy powróciły doń słowa, w piwnicy, w obecności Cesarza, pamiętał bardzo niewiele. Zupełnie jakby te doświadczenia – polowanie, szukanie schronienia w ciemności, przekradanie się przez miasto w chmurze drapieżników przemienionych w mgłę – znalazły się w jakiejś części jego mózgu, która zamknęła się, gdy tylko powróciła mu zdolność przypisywania słów zmysłom. Podejrzał, że mógł pomagać Chetowi zabijać ludzi, ale jeśli tak było, dlaczego ocalał Cesarza?

Na szczęście nie stracił umiejętności przemiany w mgłę, dzięki której zdobył ubranie, które teraz nosił. Cały strój – portki barwy khaki, niebieska koszula z bawełny typu oksford, skórzana kurtka i skórzane żeglarskie mokasyny – znajdował się na wystawie sklepu odzieżowego przy Union Square, zawieszony na żyłce, i kształtem przypominał bawelnianego ducha, straszącego inne, równie stylowe i bezcielesne marionetki przy leżakach na sztucznym piasku. Tuż po porze obiadowej, gdy w sklepie panował największy ruch, Tommy wniknął tam pod drzwiami, wpasował się w ubranie i zmaterializował. Szybko przykucnął, zrywając żyłkę, po czym wyszedł w pełnym stroju, ciągnąc za sobą kawałki żyłki. Pomyślał, że byłaby to najfajniejsza i najbezpieczniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił, gdyby nie szpilki, którymi przymocowano koszulę do spodni. Ale po krótkim napadzie drgawek na chodniku, gdy wyciągał szpilki z pleców, bioder i brzucha, rytmicznie skandując: „au, au, au, au”, znowu się uspokoił i uzyskał efekt swobodnie ubranego wampira, o jaki mu chodziło. Poczekał, aż znajdzie się w bibliotece, między regałami, i dopiero wtedy wyciągnął kawałek kartonu z kołnierzyka, a także oderwał najróżniejsze metki i sznurki. Na szczęście, do ubrania na wystawie nie przyczepiono żadnych zawieszek antykradzieżowych.

Był już gotowy, przynajmniej w takim stopniu, w jakim mógł być. Musiał iść do Jody, i to teraz, przytulić ją, powiedzieć, że ją kocha, pocałować, rznąć ją, aż połamią się wszystkie meble, a sąsiedzi zaczną się skarżyć (niezależnie od tego, że stał się nieumarłym drapieżcą, wciąż był napalonym dziewiętnastolatkiem), a potem zastanowić się co zrobić z meblami.

Gdy szedł z powrotem przez Tenderloin, odziany w strój pod hasłem „proszę, obrabuj mnie, biały chłopcze”, spróbował go obrabować nerwowy ćpun – w bluzie, która kiedyś miała zielony kolor, lecz teraz była tak brudna, że aż błyszcząca – uzbrojony w śrubokręt.

–Dawaj forszę, skurwielu.

–To jest śrubokręt – stwierdził Tommy.

–Tak. Dawaj forszę albo ci go wbiję.

Tommy słyszał trzepoczące serce napastnika, czuł kwaśny odór gnijących zębów, wonie potu i uryny. Widział też wokół niego niezdrową ciemnoszarą aurę. W jego umyśle drapieżcy rozbłysło słowo „zdobycz”.

Wzruszył ramionami.

–Noszę skórzaną kurtkę. W życiu nie przebijesz jej śrubokrętem.

–Tego nie wiesz. Wezmę rozbieg. Dawaj forszę.

–Nie mam pieniędzy. Jesteś chory. Powinieneś iść do szpitala.

–Dosyć tego, skurwielu! – Ćpun machnął śrubokrętem w stronę brzucha Tommy’ego.

Tommy odsunął się w bok. Ruchy tamtego wydawały się teraz niemal komiczne. Gdy śrubokręt chybił celu, Tommy stwierdził, że powinien odebrać narzędzie, i wyrwał mu je z ręki. Rabuś stracił równowagę, runął w przód na ulicę i tak leżał.

Błyskawicznym ruchem nadgarstka Tommy cisnął śrubokręt na dach czteropiętrowego budynku po drugiej stronie ulicy. Dwaj faceci, stojący w zaułku parę metrów dalej, którzy planowali przejąć rabunkową inicjatywę od ćpuna albo przynajmniej obrabować jego, gdyby mu się powiodło, doszli do wniosku, że wolą jednak sprawdzić, co się dzieje przy następnej przecznicy.

Tommy był już pół ulicy dalej, gdy usłyszał nierówny, kulawy krok ćpuna, zbliżającego się do niego od tyłu. Odwrócił się i tamten stanął.

–Dawaj forszę – powiedział narkoman.

–Przestań mnie okradać – odparł Tommy. – Nie masz broni, a ja nie mam pieniędzy. To się nie może udać.

–Dobra, daj mi dolara – zaproponował ćpun.

–Ciągle nie mam pieniędzy – zapewnił Tommy, wywracając kieszenie spodni na lewą stronę. Karteczka od kontrolera 18 pofrunęła na chodnik. Usłyszał w górze ruch, pazury na kamieniu, i wzdrygnął się. – Ojć.

–Pięćdziesiąt centów – powiedział tamten. Wsunął dłoń do kieszeni bluzy z kapturem i wyprostował palec, jakby miał tam pistolet. – Strzelę.

–Chyba jesteś najgorzej uzbrojonym rabusiem w dziejach.

Ćpun zawahał się, po czym wyciągnął z kieszeni ułożoną w kształt pistoletu dłoń.

–Zdałem maturę.

Tommy pokręcił głową. Sądził, że zostawił koty w tyle, ale zwierzęta albo wciąż były z nim jakoś powiązane, albo było ich już tyle, że polowały we wszystkich zakątkach miasta. Nie cieszyła go perspektywa wyjaśniania całego zjawiska Jody.

–Jak się nazywasz? – zwrócił się do ćpuna.

–Nie powiem. Mógłbyś mnie sypnąć.

–Dobra – odparł Tommy. – Będę ci mówił Bob. Bob, czy widziałeś kiedyś, żeby kot robił coś takiego? – Wskazał palcem w górę.

Tamten uniósł głowę, spoglądając na ścianę budynku, i zobaczył kilkanaście kotów, schodzących po ceglach głowami w dół w jego stronę.

–Nie. Dobra, nie będę cię już okradał – powiedział, skupiwszy uwagę na zbliżających się kotach-wampirach. – Milego wieczoru.

–Przykro mi – odrzekł Tommy, zupełnie szczerze.

Odwrócił się i pobiegł ulicą, by znaleźć się w pewnej odległości od krzyków, które trwały jedynie kilka sekund. Obejrzał się i zobaczył, że narkoman zniknął, no, niezupełnie zniknął, ale zmienił się w stosik szarego pyłu pośród pustych ubrań.

–Nie chciał tak odejść – mruknął.

Spodziewał się, że koty skierują się do tamtych dwóch w zaułku, lecz teraz otwarcie atakowały ludzi na ulicy. Musiał odnaleźć Jody i namówić ją do opuszczenia miasta, co powinni

byli zrobić już na początku.

Przebiegł dwanaście przecznic do mieszkania na poddaszu, uważając, by się za bardzo nie rozpędzić, bo wtedy rzuciłby się w oczy. Starał się wyglądać na faceta, który po prostu spieszy się do dziewczyny, co w pewnym sensie odpowiadało prawdzie. Poczekał chwilę przed drzwiami, zanim nacisnął brzęczyk. Co miał powiedzieć? A jeśli nie będzie chciała go widzieć? Nie miał żadnego doświadczenia w stawianiu na swoim. Była pierwszą dziewczyną, z którą uprawiał seks na trzeźwo. Pierwszą dziewczyną, z którą kiedykolwiek mieszkał. Pierwszą, która wzięła z nim prysznic, napiła się jego krwi, zmieniła go w wampira, a także wyrzuciła połamanego i nagiego przez okno na piętrze. Tak naprawdę była jego pierwszą miłością. Co, jeśli go przegoni?

Nasłuchiwał, patrzył na dyktę, zupełnie zasłaniającą okna, wachał powietrze. Słyszał w środku ludzi, przynajmniej dwie osoby, nie rozmawiali jednak. Pracowały maszyny, bzycały światła, spod drzwi unosił się zapach krwi i szczurzych szczyn. Czułby się naprawdę lepiej, gdyby w powietrzu wisiał romans, ale cóż.

Przeciągnął palcami po głowie, oderwał ostatnie strzępy żyłki, które wisiały mu na ubraniu niczym zablakane kryształowe włosy łonowe, po czym nacisnął guzik.

FU

Fu umieścił właśnie w wirówce fiołki z krwią Abby, gdy rozbrzmiał brzęczyk domofonu. Pstryknął przełącznikiem i popatrzył na Abby, która leżała na łóżku. Wyglądała tak spokojnie, nieumarła, nafaszerowana lekami i milcząca. Niemal szczęśliwa, mimo posiadania ogona. Policja jednak by nie zrozumiała. Pobiegnął do salonu i potrząsnął Jaredem, wyrывая go z transu, w który wpadł, grając na konsoli. Fu słyszał death-metalowy podkład muzyczny, dochodzący ze słuchawek Jareda, metaliczne wrzaski i rytm piły łańcuchowej, coś jakby wściekle wiewiórki dymały mirliton wewnątrz zakręconego słoika po majonezie.

–Cooo? – spytał Jared, wyciągając słuchawki z uszu.

–Ktoś przyszedł – szepnął Fu. – Schowaj Abby.

–Schować ją? Gdzie? Szafa jest pełna jakiegoś medycznego badziewia.

–Między materac a ramę. Jest chuda. Możesz ją tam wcisnąć.

–Jak będzie oddychała?

–Nie musi oddychać.

–Cudnie.

Jared poszedł do sypialni, a Fu do domofonu.

–Kto tam? – spytał, wcisnąwszy guzik.

Powinien był zainstalować kamerę. Łatwo się je podłączało, a on miał zniżkę w Stereo World. Głupi.

–Wpuść mnie, Steve. To ja, Tommy.

Przez chwilę Fu myślał, że się posika. Nie skończył budować lasera UV o dużej mocy, a Abby nie włożyła swojej skórzanej kurtki. Był bezbronny.

–Rozumiem, czemu możesz być wściekły – powiedział Fu – ale to był pomysł Abby. Chciałem zmienić cię z powrotem w człowieka, tak jak sobie życzyłeś.

O, kurwa, o, kurwa, o, kurwa. Tommy go zabije. To będzie upokorzenie. Facet nie uzyskał nawet licencji. Zamorduje go biały nieuk, który cytował poezję.

Brzęczyk rozległ się znowu. Fu podskoczył i wcisnął guzik domofonu.

–Nie chciałem tego zrobić. Mówiłem jej, że to okrutne, tak was zamykać.

–Nie jestem zły, Steve. Muszę się spotkać z Jody.

–Nie ma jej.

–Nie wierzę ci. Wpuść mnie.

–Nie mogę, mam robotę. Sprawy naukowe, których byś nie rozumiał. Musisz odejść. –

Dobra, teraz to on zachowywał się jak głupek.

–Mogę wejść, Steve, pod drzwiami albo przez szczeliny przy oknach, ale wtedy po powrocie do zwykłej postaci będę nagi. Nikt tego nie chce.

–Nie wiesz jak to zrobić.

–Nauczyłem się.

–A, to super – powiedział Fu.

O, cholera, o, cholera, o, cholera. Czy zdąży zamknąć drzwi i obkleić je srebrną taśmą, zanim Tommy zdoła wsączyć się do środka? Duży pokój już został uszczelniony, by zatrzymać w środku szturzą mgłę.

–Wpuść mnie, Fu. Muszę spotkać się z Jody i pożywić. Masz jeszcze trochę tych woreczków z krwią, prawda?

–Nie. Przykro mi, ale się skończyły. A Jody tu nie ma. I w całym mieszkaniu zainstalowaliśmy lampy ultrafioletowe. Usmażyłbyś się. – Miał jeszcze kilka torebek z krwią. Właściwie miał nawet parę ze środkiem uspokajającym, którego użył do uśpienia Abby.

–Steve, proszę, jestem głodny i obolały, żyłem w piwnicy z bandą kotów-wampirów, a jeśli zmienię się w mgłę, ukradną mi ubranie, kiedy będę na górze, łamiąc ci kark z fajfusem na wierzchu.

Fu próbował wymyślić jakiś lepszy blef, gdy ujrzał obok siebie błysk czarnego rękawa i usłyszał bzyczenie zwalnianego zamka na dole. Podniósł wzrok na Jareda.

–Coś ty, kurwa, zrobił?

–Cześć – powiedział Tommy do jego ucha.

–Był taki smutny – wyjaśnił Jared.

STARSI

O zachodzie słońca cała trójka obudziła się w tytanowej krypcie pod główną kabiną, sprawdzając monitory, podłączone do każdego zakątka czarnego statku niczym układ nerwowy.

–W porządku – powiedział mężczyzna. Był wysokim blondynem, szczupłym za życia, taki też pozostał i miał pozostać na zawsze. Nosił czarne jedwabne kimono.

Dwie kobiety otworzyły właz i wypełzły do czegoś, co przypominało chłodnię. Mężczyzna zamknął właz i nacisnął guzik ukryty za półką, a wtedy właz zasłoniła stalowa płyta. Wyszli z chłodni do pustego kambuza.

–Nie cierpię tego – odezwała się czarnoskóra kobieta. Za życia była Etiopką, potomkinią królewskiego rodu, o wysokim czole i dużych oczach, lekko skośnych, jak u kota. „To dla tego oblicza Salomon stracił głowę”, powiedział jej Elijah, trzymając jej twarz w dłoniach, gdy umierała. I nazwał ją Makeda, na cześć legendarnej królowej Saby. Nie pamiętała swojego prawdziwego imienia, bo nosiła je tylko osiemnaście lat, a Makedą była od siedmiu wieków.

–To co innego – odparła druga kobieta, ciemnowłosa piękność, która urodziła się na Korsyce sto lat przed Napoleonem. Na imię miała Isabella. Elijah zawsze nazywał ją Belladonną. Reagowała na „Bellę”.

–Nie aż tak innego – stwierdziła Makeda, wchodząc po schodkach do kokpitu. – Mam wrażenie, że dopiero to robiliśmy. Dopiero to robiliśmy... kiedy?

–Sto pięćdziesiąt lat temu. W Makao – powiedział mężczyzna. Nazywał się Rolf i był środkowym dzieckiem, rozjemcą, którego Elijah przemienił w czasach Martina Luthera Kinga.

–Widzisz, co mam na myśli – odrzekła Makeda. – Ciągle tylko pływamy tu i tam i po nim sprzątamy. Jeśli zrobi to jeszcze raz, każę chłopakowi wyciągnąć go za dnia na pokład i sfilmuję, jak się będzie palił. Potem będę to oglądać co wieczór na dużym ekranie w jadalni i się śmiać. Ha! – Makeda, mimo że najstarsza, była największym urwisem.

–A jeśli umrzemy razem z ojcem? – spytał Rolf. – Jeśli obudzisz się w krypcie cała w płomieniach? – Dotknął czarnej, szklanej konsoli i panel w przegrodzie odsunął się z szumem. Kokpit, wystarczająco duży, by pomieścić trzydzieści osób, był wyłożony pełnym krzywizną mahoniem, nierdzewną stalą i czarnym szkłem. Część od strony rufy była otwarta na nocne niebo. Ster zaś wyglądał jak wielka trumna w stylu art deco, zaprojektowana do lotów kosmicznych.

–Już raz umarłam – stwierdziła Makeda. – Nie jest tak źle.

–Nie pamiętasz – odparła Bella.

–Może i nie. Ale nie podoba mi się to. Nie cierpię kotów. Nie powinniśmy mieć od tego ludzi?

–Mieliśmy ludzi – przypomniał Rolf. – Zjadłaś ich.

–Dobra – powiedziała Makeda. – Daj mi kostium.

Rolf znowu dotknął szklanej konsoli i przegroda otworzyła się, odsłaniając szafę pełną wojskowego sprzętu. Czarnoskóra kobieta wyjęła z niej trzy czarne kostiumy i podała po jednym Rolfowi oraz Belli. Potem wysunęła się z czerwonej jedwabnej sukni i nago rozciągnęła ręce na boki niczym Nike z Samotraki, odchylając głowę w tył i kierując kły w stronę świetlika.

–Skoro o ludziach mowa – odezwała się Bella. – Gdzie chłopak? Jestem głodna.

–Karmił Elijaha, kiedy się obudziliśmy – powiedział Rolf. – Przyjdzie.

Elijah był trzymany poniżej, w podobnej krypcie, tyle że hermetycznej, zamykanej od

zewnątrz i wyposażonej w służę powietrzną, by chłopak mógł go karmić.

–Git, moje nieumarłe skarbeńki – powiedział pseudo-Hawajczyk, gdy wszedł po schodach, bosi i bez koszuli, niosąc tacę z kryształowymi, pękatymi kieliszkami. – Kapitan Kona niesie żarło, nie?

Każdy z wampirów mówił kilkunastoma językami, ale żaden nie miał bladego pojęcia, o czym on, do cholery, mówi.

Na widok przeciągającej się Makedy jasnowłosej rastafarianin stanął jak wryty i omal nie zrzucił kieliszków z tacy.

–O, na słodką siorę Jah, pała mi stoi, puknąłbym tę sunię jak tę srebrną lalę na rolls-royce'ach, wiecie, nie?

Makeda zaniechała pozy skrzydlatej bogini zwycięstwa i spojrzała na Rolfę.

–Co?

–Chyba chciał powiedzieć, że chętnie zgwałciłby cię jak ozdobę na masce samochodu – wyjaśnił mężczyzna, biorąc kieliszek z tacy i kręcąc ciemną cieczą pod nosem. – Tuńczyk?

–Świeżo złowiony, brachu – odparł Kona, który miał kłopot z utrzymaniem tacy w równowadze, jako że próbował się zgarbić, by zamaskować erekcję wypychającą mu luźne szorty.

Bella wzięła naczynie z tacy i uśmiechnęła się, odwróciwszy się, by popatrzeć przez szybę na miasto. Piramida Transamerica jaśniała przed nimi, po prawej zaś widniała Coit Tower, stercząca z Telegraph Hill niczym wielki betonowy fallus.

Makeda zrobiła zmysłowy krok w stronę Kony.

–Powinam mu pozwolić natrzeć się oliwą, Rolf? Wyglądam blado?

–Tylko go nie zjedz – odparł zagadnięty. Usiadł w jednym z kapitańskich foteli, poluzował pas czarnego kimona i zaczął naciągać kewlarowy kostium na stopy.

–Ciekawe – powiedziała Makeda. Zrobiła kolejny krok w stronę Kony, trzymając przed sobą kostium, który następnie upuściła. W jednej chwili zmieniła się w mgłę i wniknęła w kostium, który wypełnił się, jakby w środku nadmuchano tratwę ratunkową o dziewczęcych kształtach. Złapała ostatni kieliszek w powietrzu, gdy Kona skulił się i upuścił tacę.

–Nasmarujesz mnie później oliwą, Kona? – spytała Makeda, stając nad skulonym surferem.

–Nie trzeba, błyszczysz jak ta lala. Ale na to drugie się piszę. – Przyłożył dłoń do piersi i odważył się na nią spojrzeć. – Proszę.

–Twoja kolej – powiedziała Bella z uśmiechem na poczerwieniałych od krwi tuńczyka wargach.

–No dobrze – odrzekła Makeda. – Ale użyj szklanki.

Kona sięgnął do kieszeni szortów i wyciągnął kieliszek do wódki, który trzymał teraz w obu dłoniach przed sobą, niczym mnich buddyjski, otrzymujący datek.

Przycisnęła kciuk do jednego ze swoich klów, po czym pozwoliła, by krew pociekła do kieliszka. Po dziesięciu kroplach zabrała kciuk i go oblizwała.

–Więcej nie dostaniesz.

–O, dziękuję, sioro. Jah z tobą. – Wypił krew, po czym wylizal szkło do czysta, pod czujnym okiem Makedy sączącej krew tuńczyka.

Po pełnej minucie, gdy podrabiany Hawajczyk wciąż lizal kieliszek, dysząc tak ciężko, jakby ręcznie wyciągał kotwicę, zabrała mu naczynie.

–Już.

–Robakożerca – powiedziała z niesmakiem Bella. Miała już na sobie kostium i opróżniła swoje naczynie z krwią.

–O, uważam, że jest słodki – odparła Makeda. – Może jeszcze pozwolę mu nasmarować się oliwą. – Poglądziła dredy Kony. Patrzył pustym wzrokiem gdzieś w przestrzeń, z otwartymi ustami, z których ciekła ślina.

–Tylko go nie zjedz – rzucił Rolf.

–Przestań tak mówić. Nie zjem go – zapewniła.

–Ma patent kapitana. Jest nam potrzebny.

–W porządku. Nie zjem go.

Bella podeszła bliżej, wyrwała jeden z loków z głowy Kony, po czym użyła go do związania własnych czarnych włosów sięgających do pasa. Surfer nawet nie drgnął.

–Robakożerca – powtórzyła.

Rolf był już z powrotem przy szafie i gromadził różne elementy uzbrojenia.

–Powinniśmy iść. Weźcie kaptury, rękawiczki i okulary przeciwsłoneczne. Elijah mówił, że mają jakąś broń strzelającą światłem słonecznym.

–To co innego – powiedziała Bella, biorąc z szafy supernowoczesny zestaw, a także długi płaszcz, by to wszystko ukryć. – W Makao nie mieliśmy tego wszystkiego.

–Najważniejsze, żebyś się nie nudziła, najdroższa – rzucił Rolf.

–Nie cierpię kotów – mruknęła Makeda, wkładając rękawiczki.

MARVIN

Marvin, duży rudy pies od trupów, wykonał zadanie. Usiadł i zaszczekał, co po psiemu oznaczało „ciastko”.

Dziwiesięciu łowców wampirów zatrzymało się i rozejrzało dookoła. Marvin siedział przed niewielkim barakiem w zaułku w Krainie Wina, za nadzwyczaj obskurną restauracją indyjską.

–Ciastko – szczechnął Marvin. Wśród woni curry wyczuwał śmierć. Drapał chodnik.

–Co on robi? – spytał Lash Jefferson. On, Jeff i Troy Lee nieśli pistolety na wodę „Super Soaker”, naładowane środkiem na koty-wampiry babci Lee, a pozostali spośród Zwierzaków nieśli na plecach opryskiwacze ogrodowe, z wyjątkiem Gustavo, który uznał, że wkładanie mu w ręce opryskiwacza to wzmacnianie stereotypów rasowych. Gustavo wziął więc miotacz ognia. Nie chciał powiedzieć, skąd go ma.

–Druga poprawka, *cabrones*. – (Facet, który sprzedał mu zieloną kartę, dorzucił gratis dwie poprawki z Karty Praw, a Gustavo wybrał drugą i czwartą, prawo do noszenia broni i ochronę przed nieuzasadnioną rewizją i konfiskatą mienia. [Jego siostra Estrella przeżyła kiedyś konfiskatę. *No bueno*]. Za pięć dolców ekstra dorzucił trzecią poprawkę, którą Gustavo kupił, bo dzielił już dom o trzech sypialniach w Richmond z dziewiętnastoma kuzynami i nie mieli miejsca na kwaterowanie żołnierzy).

–To sygnał – powiedział Rivera. Miał na sobie skórzaną kurtkę z diodami UV i czuł się jak kompletny kretyn. – Kiedy siada i robi tak łapą, to znaczy, że znalazł ciało.

–Albo wampira – dodał Cavuto.

–Ciastko – szczechnął Marvin.

–Robi sobie jaja – odezwał się Troy Lee. – Tu nic nie ma.

–Może w tym baraku? – powiedział Lash. – Nie ma kłódki.

–Kto w tej dzielnicy zostawia coś bez zamknięcia?

–Ciastko poproszę – zaszczekał Marvin. Była umowa: w ramach wynagrodzenia za znajdowanie martwych obiektów, pies od trupów, zwany dalej Marvinem, otrzyma jedną sztukę ciastka. Istniało jednak pole do pewnej elastyczności i Marvin rozumiał, że w tym wypadku nie szukają martwych ludzi, tylko martwych kotów. Pomimo, że z natury były niesmaczne, nie musiał jeść tego, co znajdował. – Ciastko – szczechnął jeszcze raz. Gdzie było to ciastko? Minęły już miesiące, odkąd doprowadził ich do martwych obiektów. (Tylko jemu się zdawało, że miesiące. Marvin nie był zbyt dobry w liczeniu czasu).

–Otwórzcie – powiedział Troy Lee. – Oslaniamy was.

Rivera i Cavuto podeszli do baraku, który był aluminiowy i miał dach w takim kształcie, jak stare stodoly. Zwierzaki zatoczyli półkole i wycelowali broń w budynek. (Babcia Lee, gdy się dowiedziała, że nie będzie żadnych petard, została w domu, by oglądać wrestling w telewizji).

–No to na trzy – rzucił Rivera.

–Czekaj – powiedział Cavuto. Odwrócił się do Gustavo. – *Fuego* nie. *Comprende?* Nie zapalaj, kurwa, tego miotacza.

–*Si* - odrzekł Gustavo. Wypróbowali miotacz na boisku do koszykówki w Chinatown. Płomień był dość krótki i szeroki. Innymi słowy, gdyby Gustavo użył go w zaułku, zapewne usmażyłby

ich wszystkich.

Barry odwrócił się i spryskał zapalnik miotacza strugą środka na koty-wampiry. Płomyk zgasł z sykiem.

–Dobra, śmiało.

–No to na trzy – powtórzył Rivera. Wszyscy unieśli broń.

–Raz. – Rivera skinął głową Cavuto i złapał włącznik diod w swojej kurtce.

–Dwa. – Troy Lee przykucnął i wycelował pistolet na wodę w środek drzwi, gotów rozpocząć ostrzał w każdą stronę. Cavuto wyciągnął swojego desert eagle'a, odciągnął kurek i odbezpieczył.

–Trzy!

Policjanci otworzyli drzwi na oścież i zapalili diody w kurtkach. Zwierzaki nachylił się bliżej.

Sześć zaskoczonych kociąt wyjrzało, wraz z matką, z pudełka na stosie dwulitrowych opakowań z detergentem.

Wszyscy rozejrzeli się dookoła, nic nie mówiąc. Zwierzaki opuścili broń. Policjanci wyłączyli kurtki.

–Trochę wstyd – powiedział Troy Lee.

–Ciastko – szczeknął Marvin.

Wszyscy zwrócili na niego spojrzenia.

–Jesteś do dupy, Marvin – stwierdził Cavuto. – To są normalne koty.

Marvin nie rozumiał. Poszedł za tropem i dał sygnał, gdy dotarł do jego końca. Gdzie ciastko?

–Niedobry pies – powiedział Lash.

Marvin szczeknął na niego, po czym odwrócił się do Rivery i szczeknął:

–Ciastko.

Nie był niedobrym psem. Nie jego wina, że nikt nie nauczył go pokazywać w górę. Nie jego wina, że nie patrzyli wyżej, nad dach baraku i ścianę, na dach na wysokości czterech pięter. Czy naprawdę ich nie słyszeli?

–Ciastko – szczeknął.

CHET

Chet patrzył na poruszających się w dole łowców wampirów. Rozumiał, co robią i jak źle im to wychodzi. Pozostałe koty odsunęły się od krawędzi dachu, zaniepokojone wonią płomieni, słonecznymi kurtkami i psem. Niektóre przeżyły spotkanie z drobnym japońskim szermierzem i generalnie Azjaci wciąż trochę je przerażali. Chociaż nie widziały życiowej aury, tak jak wampiry-ludzie, instynkt drapieżców podpowiadał im, by polować na słabych i chorych, a grupa poniżej zdaje się nie spełniała żadnego z tych kryteriów.

Z kolei Chet z każdą nocą w coraz mniejszym stopniu był kotem. Stał się już większy od Marvinina i zatracił większość kocich instynktów. Choć wciąż był drapieżnikiem, do umysłu bez przerwy wdzierały mu się słowa, dźwięki, które w jego głowie przybierały postać obrazów. Wokół dźwięków wirowały pojęcia abstrakcyjne i symbole. Jego koci mózg został uzupełniony o ludzkie DNA, skutkiem czego powstał nie tylko drapieżnik alfa, ale istota zdolna do zemsty, litości i świadomego okrucieństwa.

Chet patrzył, jak grupa poniżej wychodzi z zaułka. Na czele szedł Rivera, a na końcu Barry, łysy, korpulentny pletwonurek. Kocia część mózgu Cheta postrzegala łysinę Barry'ego jak kłębek wełny, kuszący do ataku. Musiał go dopaść. Zmienił się w mgłę i zsunął w dół wzdłuż ściany budynku. Lubiał chodzić po ścianach głową w dół, zwłaszcza odkąd wyrosły mu kciuki, ale tylko jeśli się podkradnie, zdoła załatwić ostatniego, nie walcząc przy tym z całą grupą.

Zmaterializował się przed Barrym, na tylnych łapach, i zanim bezradny pracownik sklepu zdołał krzyknąć, Chet wepchnął mu w usta całą łapę i wysunął pazury. Rozległ się tylko cichy charkot i nawrócony na wiarę Clint, który szedł przed Barrym, odwrócił się, by ujrzeć za sobą tylko pusty zaułek.

Chet był już trzy piętra wyżej, na ścianie. Barry dyndał na jego pazurach, drgając, gdy wielki ogolony kot-wampir wypijał z niego życie.

TOMMY

–Fu – powiedział Tommy prosto do ucha Fu. – Chcę, żebyś pamiętał, zanim się w ogóle ruszysz, że to ja nosiłem twoją słoneczną kurtkę, żeby uratować Jody przed Elijahem. Jeśli więc spróbujesz tknąć jakiś włącznik, wyrwę ci tę rękę, dobra?

–Nie chciałem zamykać cię w posągu – powtórzył trzeci raz Fu.

–Wiem – odparł Tommy. – Gdzie Jody?

–Poszła cię szukać.

Jared zaczął cofać się od drzwi do części kuchennej.

–Ciebie to też dotyczy, Jared. Jeśli na sekundę przestanę widzieć twoje ręce, wyrwę je, żeby nie mieć powodu do obaw.

Jared zamachał przed nim dłońmi, jakby suszył paznokcie.

–Ej, taki jesteś zły? To ja cię wpuściłem. Chciałem dać ci trochę krwi.

–Wybacz, to stres – odparł Tommy. Trzymał Fu za gardło, ale lekko.

–Daj mu tę już otwartą – powiedział Fu.

–Tę ze środkiem usypiającym? – spytał Jared.

Fu skulił się, jakby czekał na odgłos pęknięcia swojego karku.

–Tak, tę, jebany debilu.

–Nie trzeba – odrzekł Tommy. Następnie zwrócił się do Fu: – Dokąd Jody poszła mnie szukać?

–Po prostu wyszła. Zaraz po tym, jak wydostała się ze skorupy. Wzięła połowę pieniędzy i większość krwi. Według Abby była w Fairmont, ale Rivera i Cavuto ją znaleźli. Nie wiemy, gdzie jest teraz.

–A gdzie Abby?

–U swojej mamy – powiedział Fu.

–Wcale nie. – Tommy lekko go przydusił. – Jest tutaj. Czuję jej zapach. – Przechylił głowę. – Nie słyszę jej serca. Nie żyje?

–W pewnym sensie – odparł Jared. – Jest nossssss-feratu. Tak to wymawia. Ale jej zazdroścę.

–Ja to zrobiłem?

–Nie – zaprzeczył Fu. – Zrobiła to sama. Odbiło ci i ją ugryzłeś, ale Jody cię odciągnęła i wyrzuciła przez okno. Nie pamiętasz?

–Nic a nic. Pewnie tym lepiej dla ciebie.

–Jest pod materacem – oznajmił Jared. – Fu kazał mi ją tam schować.

–Przemienię ją z powrotem. Mówiłem, że to potrafię, i tak jest. Już pracuję nad dawką serum dla niej.

–I ona ostatnia widziała Jody?

–Jej przyjaciółka Lily widziała Jody wychodzącą z Fairmont parę nocy temu. Abby pojechała tam do niej i zobaczyła Cavuta i Riverę.

–Czyli nie wiemy, czy znaleźli Jody, kiedy była nieprzytomna?

–Nie znaleźli. Nic nie mówili, jak przyszli tu po swoje kurtki.

–Po swoje kurtki? Słoneczne? Daleś im takie kurtki?

–Muszę robić, co każą. Chcieli mnie przymknąć za seks z nieletnią i pomoc w młodocianej przestępczości.

–Naprawdę? A poznali Abby?

–Mówię prawdę – zapewnił Fu, tak rzewnie, jak tylko może człowiek, którego duszą.

–Tommy, daj zmienić się z powrotem. Tego chciałeś. Mogę zająć się tobą i Abby w tym samym czasie.

–Nie. I jej też nie zmienisz. Obudź ją.

–Co? Dlaczego?

–Bo idę szukać Jody i biorę Abby ze sobą. Nie zostawię jej tutaj z wami.

–Czemu? Przecież to moja dziewczyna. Nie zrobiłbym jej krzywdy.

–To moja NP – dodał Jared. – Ta, której nie można ufać.

–Biorę ją ze sobą. Nie wyjdę tam bez kogoś, kto by mnie osłaniał. Nigdy nie oglądaliście horroru? Kiedy się odłączasz i idziesz sam, potwór cię dopada.

–Myślałem, że w tym filmie to ty jesteś potworem – powiedział Fu.

–Tylko jeśli nie będziecie spełniali moich rozkazów – odrzekł Tommy, nieco zaskoczony własnymi słowami. – Obudź ją, Fu.

JODY

Ostatnią rzeczą, którą pamiętała, zanim się spaliła, były pomarańczowe skarpetki. I oto zobaczyła je znowu, fluorescencyjne, pomarańczowe, u podstawy drobnego, pokrytego zakrzepłą krwią mężczyzny, który zajmował się czymś przy stole.

–Wyglądasz smakowicie – powiedziała i zdziwiła się brzmieniem własnego głosu: suchym, słabym, starczym.

Tamten odwrócił się, z początku zaskoczony, ale potem się opanował, uklonił, powiedział coś po japońsku i dodał po angielsku:

–Przepraszam.

–W porządku – odparła. – Nie pierwszy raz budzę się w mieszkaniu obcego mężczyzny, nie pamiętając, jak tam trafiłam.

Był to jednak pierwszy raz, gdy pamiętała, gdzie zapłonęła pod koniec nocy. Zanim sprawy zaszły tak daleko, dziewczyny, z którymi pracowała, urządziły zebranie kryzysowe podczas przerwy na lunch i każda powiedziała jej, zupełnie szczerze, jak przystało na kochające przyjaciółki, że jest pijaczką i zdzirą, która podczas cotygodniowych wypraw do barów w piątkowe wieczory podrywa co lepsze ciacha, i powinna przestać, do kurwy nędzy. No to przestała.

Teraz, tak jak w tamtych czasach, czuła się dezorientowana, ale – inaczej niż wtedy – nie odczuwała lęku.

Niski Japończyk znowu się uklonił, po czym wziął ze stołu nóż z kwadratowym czubkiem i zbliżył się do niej nieśmiało, z pochyloną głową, mówiąc coś, co brzmiało jak przeprosiny. Jody uniosła rękę, chcąc odegnać go gestem, powiedzieć „ej, odsuń się, kowboju”, ale gdy zobaczyła swoją dłoń, bladą jak popiół, wysuszoną i szponiastą, słowa uwięzły jej w gardle. Tamten i tak przystanął.

Jej ręce i nogi... Podciągnęła kimono. Brzuch, piersi – była skurczona, niczym mumia. Ta czynność ją zmęczyła i Jody opadła z powrotem na poduszkę.

Mężczyzna poczłapał naprzód i podniósł dłoń. Miał zabandażowany kciuk. Patrzyła, jak ściera opatrunek i przykłada czubek ostrza do skaleczenia. Złapała rękę, w której trzymał nóż, i delikatnym ruchem ją opuściła.

–Nie – powiedziała, kręcąc głową. – Nie.

Nie umiała sobie wyobrazić, jak wygląda jej twarz. Końcówki włosów przypominały szorstką rudą słomę. Jak zatem musiała wyglądać, zanim to zrobił i w dodatku przesadził, co było po nim widać?

–Nie.

Gdy się zbliżył, poczuła od niego woń krwi. Nie była ludzka. Pachniała świnia, chociaż nie miała pojęcia, skąd to wie. W najlepszej formie poczułaby krew nawet na przechodniu z ulicy. Zniknęła nie tylko jej siła. Także zmysły stały się niemal tak tępe jak wtedy, gdy była człowiekiem.

Tamten czekał. Uklonił się, ale nie uniósł głowy z powrotem. Zaraz... Przechylił głowę, odsłaniając szyję. Wygiął się tak, by mogła się napić. Wiedząc, czym jest, ofiarował się jej. Dotknęła jego policzka wierzchem dłoni, a gdy spojrział, pokręciła głową.

–Nie. Dziękuję. Nie.

Wstał, popatrzył na nią, czekał. Powąchała zaschniętą krew na wierzchu swojej dłoni,

skosztowała. Smakowała ją już wcześniej. W kąciu ust poczuła coś lepkiego – tak, to była świńska krew. Ogarnął ją głód, ale stłumiła go. Karmił ją własną krwią, bez wątpienia, ale także świńską. Jak długo? Jak daleko ją zabrał?

Gestem poprosiła o papier i coś do pisania. Przyniósł jej szkicownik i szeroki, kanciasty ołówek stolarski. Narysowała plan Union Square, a potem zgrubną kobiecą postać i dopisała liczby, wiele liczb, swoich rozmiarów. Co z pieniędzmi? Rivera zabrał pewnie jej rzeczy z pokoju, ale większość pieniędzy schowała gdzie indziej. Po ceglanej ścianie w mieszkaniu, ramach okiennych i kącie padania światła latarń z góry, odgadywała, że znajduje się w suterenie blisko Jackson Street, po której biegła. Nigdzie indziej miasto tak nie wyglądało, nie było tak stare. Wskazała na siebie i mężczyznę, a potem na plan.

Wziął go od niej i narysował krzyżyk, potem szybko naszkicował patykowatą wersję Piramidy Transamerica. Tak. Znajdowali się przy Jackson Street. Postawiła znak „\$” w miejscu, gdzie schowała pieniądze, potem go zdrapała. Były ukryte w zamkniętej skrzynce elektrycznej wysoko na dachu, gdzie wspięła się z łatwością, dwa piętra nad najwyższymi schodami pożarowymi. Ten drobny, delikatny facet nigdy nie zdołał tam wejść.

Uśmiechnął się i pokiwał głową, wskazując symbol dolara. Podszedł do stołu, otworzył drewnianą skrzynkę i wyjął garść banknotów.

–Tak – powiedział.

–No dobra, to chyba kupisz mi ubranie.

–Tak – powtórzył.

Wykonała gest naśladujący picie, po czym skinęła głową. On także skinął głową i znowu podniósł nóż.

–Nie. Nie możesz sobie na to pozwolić. Niech będzie zwierzęca. – Przez chwilę chciała naśladować kwiczenie świni, ale nie była pewna, czy nie zrozumie tego niewłaściwie, więc narysowała w szkicowniku patykowatego człowieka, po czym go przekreśliła i narysowała pierwszorzędną patykowatą świnkę, patykowatą owcę oraz rybę w stylu Jezusa. Pokiwał głową.

–Tak – powiedział.

–Jeśli przyniesiesz chrześcijański zestaw małego farmera, będę bardzo zawiedziona, panie... eee... – Czuli się trochę zakłopotana. – No, nie jesteś pierwszym mężczyzną, z którym się budzę i nie pamiętam imienia. – Potem powstrzymała się i poklepała go po ramieniu. – Gadam jak ostatnia dziwka, wiem, ale tak naprawdę bałam się spać sama. – Rozejrzała się po małym mieszkanku, popatrzyła na narzędzia, starannie ułożone na stole, parę małych butów i białe jedwabne kimono, którym ją owinął.

–Dziękuję – powiedziała.

–Dziękuję – odrzekł.

–Nazywam się Jody – oznajmiła, wskazując na siebie. Następnie wskazała na niego, zastanawiając się, czy w jego kulturze nie jest to niegrzeczne. Ale skoro widział ją już nagą i poparzoną, to może nie musieli się przejmować uprzejmościami. Najwyraźniej mu to nie przeszkadzało.

–Okata – powiedział.

–Okata – powtórzyła.

–Tak – potwierdził z szerokim uśmiechem.

Miał cofnięte dziąsła, przez co jego zęby wyglądały jak końskie, ale potem Jody dotknęła językiem swoich klów, które ewidentnie nie chowały się w tym stanie wysuszenia, w jakim się znajdowała. Doszła do wniosku, że powinna powstrzymać się od oceniania innych.

–Idź, dobra? – Wskazała szkicownik.

–Dobra – odrzekł. Zebrał rzeczy, włożył swój głupi kapelusz i był gotów do wyjścia, gdy go zawołała.

–Okata?!

–Tak.

Wykonała gest mycia twarzy i wyciągnęła palec w jego stronę. Podeszedł do małego lustra nad zlewem, zobaczył odbicie swojego pokrytego krwią oblicza i roześmiał się, aż jego oczy same przybrały kształt uśmiechów. Obejrzał się na nią przez ramię, znowu parsknął śmiechem, po czym wytarł twarz ręcznikiem. Gdy był już czysty, ruszył do drzwi.

–Jody – powiedział. Wskazał schody na zewnątrz. – Nie. Dobra?

–Dobra – potwierdziła.

Gdy już wyszedł, zwlokła się z futonu i pokuśtykała do stołu, gdzie odpoczęła, zanim spróbowała podejść dalej, by popatrzeć na prace Okaty. Drzeworyty, niektóre dokończone, inne zadrukowane dopiero dwoma lub trzema kolorami, być może odbitki próbne. Tworzyły serię, studium czarnego kościstego potwora, stopniowo nabierającego kształtów na tle żółtego futonu. Ukazywały opiekę, owijanie jej kimonem, karmienie własną krwią. Ostatni wciąż znajdował się w fazie szkicu. Widocznie nad nim pracował, gdy się obudziła. Szkic na cienkim papierze ryżowym był przyklejony do deski, w której twórca rzeźbił kontur – to, co na pozostałych drzeworytach wydrukowano czarnym tuszem. Były piękne, precyzyjne i proste, a przy tym smutne. Poczula, że do oczu napływają jej łzy, i odwróciła się, by nie zachłapać odbitki krwią.

Jak mu powiedzieć? Wskazać na pierwszy szkic, gdzie postać wyglądała jak średniowieczny wizerunek samej Śmierci, a potem na jego chudą pierś?

„Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, gdy cię zobaczyłam, była otaczająca cię aura życiowa. Była czarna. Dlatego nie pozwoliłam, żebyś dał mi swoją krew, Okata. Umierasz”.

„Dobra”, odpowie. „Dziękuję”, doda z odnalezionym na nowo uśmiechem.

**KRONIKI ABBY NORMAL:
O, MIESZKAŃCY DNIA,
CZY MNIE ZDRADZICIE?**

Moje serce zostało rozdarte i oto stoję przed odkryciem, że mój szalony naukowiec o rewelacyjnych włosach może być tak naprawdę nieczułym dupkiem, który skalał moją niewinność i w ogóle, a potem okrutnie mnie porzucił. Dno.

No dobra, jak głosi Biblia, „wielka władza oznacza wielką odpowiedzialność”, o czym sama się przekonałam, zbyt wiele wymagając od swoich wampirycznych umiejętności, gdy chciałam się popisać przed Fu, wyskakując przez nasze zabite deskami okna. Zdziwiłam się, a potem straciłam przytomność – naprawdę straciłam przytomność, jak po urazie głowy, a nie jak wampir w dzień. Ale gdy leżałam bez zmysłów, Fu i Jared dali mi krew i wyzdrowiałam. Obudziłam się w sypialni i wyskoczyłam do salonu, gotowa rwać mięso pazurami i kopać tyłki.

Krzyknęłam: „Wrau!”.

I kogo tam widzę, jeśli nie wampira Flooda, mojego niedawno zbiegłego pana, który oszalał i jeszcze nigdy nie widział mnie w tym stroju, a co dopiero pod postacią wampira.

No to ja: „Wrau!”. Z nadzieją, że widać moje kły.

A on: „Cześć, Abby”.

A ja: „Wrau! Strzeż się!”.

A on: „Nie tak. Wampiry nie robią»wrau«,,.

Ja na to: „Właśnie, że robią. Pokazują swoją zwierzęcą moc i dzikość”.

A on: „Wcale nie, krzyczysz tylko głośno»wrau«. Wampiry tak nie robią”.

„Ale mogłyby robić” – powiedziałam na swoją obronę.

Wtedy wtrącił się Jared: „Nie sądzę, Abs”.

A ja: „Może cię wyszę, aż zostanie z ciebie pył, i wsypię go do kociej kuwety? Tak robią wampiry?”.

No to on: „Okej. Przepraszam.»Wrau«jest na maksa wampiryczne”.

Popatrzyłam więc na Flooda z litością, bo upokorzyłam go na polu bitwy. Ale człowieczeństwo ujawnia się w łagodności potwora, więc mówię: „Niektóre z nas tak robią. Zobacz, jestem nossss-feratu. Tak jak ty, tylko, wiesz, bardziej na czasie. Właśnie, dlaczego wyglądasz jak wystawa w sklepie Banana Republic?”.

Wcześniej Flood nosił dzinsy i flanelowe koszule, jakby wpadł w jakąś grunge’ową dziurę czasową w latach dziewięćdziesiątych, ale teraz miał na sobie len i skórę.

A on na to: „Jeszcze parę godzin temu biegałem po ulicach nago”.

„Okej” – mówię. „Sorki”.

A on: „Abby, musimy iść. Chcę znaleźć Jody i potrzebuję twojej pomocy”.

Wtedy przyszedł Fu, który robił w kuchni jakieś naukowe rzeczy, i mówi: „Abby, mogę przemienić cię z powrotem. Mogę przemienić was oboje. Już wcześniej zrobiłem serum dla Tommy’ego”.

Na to ja: „Jesteś *tres* słodki, kiedy coś ci grozi”. Podskoczyłam i pocałowałam go głęboko, aż zdawało mi się, że słyszę, jak pękają mu kręgi. Potem chciałam strzelić go z liścia, żeby nie uznał mnie za zdzirę, ale Tommy złapał mnie za rękę.

I mówi: „Abby, musisz przestać tak robić. Mogłaś go zabić”.

A ja: „Serio?”.

Pokiwał głową. A Fu bezgłośnie poruszył do niego ustami: „Dziękuję”, jakby nie wiedział, że mam słuch wampira, więc dobrze wiem, że zachowuje się jak gnojek. No to odwróciłam się do niego i: „Wrau”.

Nie obchodzi mnie, co gada Tommy. Fu zatrząsł się ze strachu.

Tommy powiedział: „Chodźmy, Abby”. Jakby Fu nic nie mówił.

Wzięłam swoją torbę ze znakiem zagrożenia biologicznego i zaczęłam pakować laptop i ladowarkę, ale Flood wyskoczył: „Zostaw to tutaj”.

A ja: „Jak mam wyrazić swój niepokój, mroczne inspiracje i w ogóle?”.

A on: „Myślałem, że pójdziemy wyssać krew paru osobom”.

A ja: „Okej, ale i tak zabieram laptop. Muszę pisać na blogu. Mam subskrybentów”.

Bo mam. No, jednego.

A on: „Jeśli trzeba będzie się przemienić w mgłę, to go stracisz”.

A ja: „Nie umiesz tego robić”.

A on: „Już umiem”.

A ja: „Naucz mnie. Nie chodziłam do starożytnej szkoły zła dla wampirów, tak jak ty”.

A on: „Mam dziewiętnaście lat. Chodziłem do szkoły publicznej. W Indianie”.

Wtedy Fu: „Masz tylko dziewiętnaście lat? Jesteś za młody nawet na to, żeby się napić?”.

A Jared: „Zamknij się. To jej mroczny pan. Nasz mroczny pan”.

Fu na to: „Dobra. Idź. Uważaj. Pisz SMS-y. Będę tu próbował ratować świat”.

A Tommy: „Za to ja spróbuję tylko uratować kobietę, którą kocham, ale dla mnie liczy się jak cały świat”.

A ja nic. Tylko patrzyłam na Tommy’ego. Ale byłam gotowa bzyknąć się z nim na stercie pinezek.

Przed gniazdkiem miłości, które formalnie nie należy już do mnie ani do Fu, skoro prawowici właściciele nie są już uwięzieni w brązie, mówię: „Gdzie zaczniemy?”.

A Tommy na to: „Zaczniemy od znalezienia bezpiecznego miejsca, w którym prześpimy dzień”.

A ja: „Gniazdko miłości. Fu i Jared będą naszymi pomagierami i w ogóle”.

A on: „Jak ostatnio tam poszedłem, obudziłem się w posągu, a jak ty tam ostatnio poszłaś, twój ukochany ninja podał ci krew ze środkiem usypiającym”.

A ja: „Nie”.

A on: „Tak”.

A ja: „Fu, ty gówniany popaprańcu! Mogę tam iść i trochę go sponiewierać?”.

Na to Flood: „Chciał przemienić cię z powrotem. Żeby cię ratować”.

Mówię: „Bez pytania? Raczej nie, drogi wampirze-świrze. Jak tylko znajdziemy księżnę, wracam. Będzie krzyk”.

A Flood: „Chyba nie masz żadnych problemów z panowaniem nad agresją?”.

A ja: „Nie, właściwie jestem bardzo nieśmiała, ale odkryłam, że jeśli zaczniesz krzyczeć jak wariatka, z włosami w ogniu, strzelając z pistoletów, nikt nie zauważy pryszcza na twoim czole”. Co jest absolutną prawdą.

„Oki doki” – powiedział wampir Flood. „Poszukamy jakiegoś miejsca, na dole albo na górze.

Na dole byłoby pewnie bezpieczniej, możemy poszukać schowków technicznych w tunelach szybkiej kolei, ale wtedy mamy z głowy północną część miasta, bo tam nie ma metra. Wysoko trudniej coś znaleźć, ale mamy większy wybór. Poza tym, to mniej oczywiste, gdyby szukali nas Rivera i Cavuto. Na dachach jest mnóstwo komórek i budek”.

Na to ja: „Będziemy spać razem?”.

A Flood: „Nie, ale będziemy martwi w jednym miejscu”.

Pomyślałam: jakie to romantyczne, ale na głos powiedziałam: „Szukajmy na górze”.

Tommy na to: „Myślę, że to dobry pomysł. Jody mieszkała w północnej części miasta, ja też. Bardzo możliwe, że tam właśnie poszła. Musimy wejść na górne piętra jakiegoś wysokiego budynku i popatrzeć na inne dachy, poszukać komórki albo czegoś. Wspinaczka to nie problem. Wystarczy poszukać ciepła i wiadomo, czy gdzieś są ludzie. Wiesz, że teraz widzisz ciepło, prawda?”.

A ja: „Tak myślałam, że to albo to, albo każda żarówka przecieka do nieba. Ale skąd wiesz te wszystkie inne rzeczy?”.

Na to Tommy: „Nie mam pojęcia”.

A ja: „Jeśli znajdziemy komórkę na dachu przy gołębniku, to będziemy mieli przekąskę, jak się obudzimy”. Wiem, wesole. Muszę powstrzymywać wesolość. Muszę powstrzymywać wesolość.

Jakąś godzinę później znaleźliśmy nasz słodki grób na dachu w dzielnicy finansowej. Flood i ja szliśmy przez Powell Street w stronę California i Fairmont, gdzie ostatnio widziano księżnę. I żyjemy wraz z nocą. W mieście są jakby dwa miasta. Wcześniej tego nie zauważałam. Jest jakby miasto wewnętrzne, dzienne, miasto ludzi w domach, restauracjach i biurach, którzy nie mają pieprzonego pojęcia o mieście zewnętrznym. I są ludzie z miasta zewnętrznego, którzy cały czas przebywają na ulicach i znają każdą kryjówkę, każde drzewo w miejscach niebezpiecznych i po prostu dziwnych. Ludzie z miasta zewnętrznego żyją sobie dalej, jak na innej płaszczyźnie istnienia, jakby w ogóle nie widzieli tych wewnętrznych. Ale kiedy jesteś wampirem, oba miasta są rozświetlone. Słysząc, jak ludzie mówią, jedzą i oglądają telewizję w swoich domach, słysząc też i widząc ludzi na ulicach, za śmietnikami, pod schodami. Ukazują się wszystkie te aury, czasami nawet przez ściany. Jakby życie świeciło. Czasami jasnorożowe, jak u Fu, czasami brązowe albo szare, jak u chorego na AIDS żebraka na rogu Powell i Post. I totalnie tracę swoją zdolność do odgrywania znudzonej, bo to wszystko jest zajebiste. Przed Floodem staram się okazywać luz, ale chcę jak najwięcej wiedzieć.

No to pytam: „Co to za różowa obwódka wokół ludzi?”.

A on: „To ich siła życiowa. Po tym możesz poznać, czy są zdrowi. Nauczysz się też wyczuwać, czy umierają, ale tego nie będziesz wiedziała od razu”.

Wiem, kurde. To mówię: „Kurde”.

A on: „Widzisz to nie bez powodu”.

A ja: „Wyjaśnij, *s'il vous plait*”.

A on: „Bo powinnaś zabijać tylko chorych, umierających. To część naszej natury drapieżców. Nie wiedziałem tego wcześniej. Byłem... zagubiony, ale teraz wiem”.

Wiem, kurde. Mówię: „Dobra, jak się zmieniasz w mgłę?”.

A on: „To kwestia mentalna. Absolutnie. Nie możesz otym myśleć, musisz po prostu być”.

A ja: „Robisz sobie jaja, tak?”.

A on: „Nie, jeśli myślisz, to nie działa. Musisz tylko być. Słowa przeszkadzają. Myślę, że dlatego koty robią to instynktownie. To jest klucz. Instynkt. Instynktowne działanie kiepsko mi idzie. Moja specjalność to słowa”.

Ja na to: „Moja też”. Jak totalny głąb. Wiem. Jak to możliwe, że ja, urzędująca pani nocy w Greater Bay Area, zniżam się do prymitywnego dialogu w stylu głupiej ślicznotki, kiedy powinnam napawać się oszalamiającą mocą wampirycznej nieśmiertelności? To proste, romantyczna ze mnie zdzira i nic na to nie poradzę. Jeśli facet robi albo mówi coś romantycznego, to ja: „O, proszę o wybaczenie, łaskawy panie, ale na chwilę obniżę swoje IQ i, och, jeśli łaskawy pan pozwoli, chciałabym zaproponować tę wilgotną, lecz bezbronną muszelkę, która najwyraźniej zablądziła”. Bez wątpienia urodziłam się w niewłaściwym czasie. Powinnam była urodzić się w epoce *Wichrowych wzgórz*. Chociaż, gdybym była Katy, dopadłabym tego całego Heathcliffa i pobiła go szpicrutą jak sadystyczna dziwka, która ma wszystkie atuty. Tak tylko gadam.

W Fairmont nic. Gadamy z boyem, potem z odźwiernym, a ten gada z recepcjonistą, który mówi, że nie jest upoważniony do rozmów o gościach, a wtedy wyciągam studolarówkę i koleś nawija, że „ta ruda” nie pojawiła się od dnia, gdy gliniarze przyszedli o nią pytać. Powiedział, że zabrali lodówkę z jej pokoju.

A Tommy na to: „Po prostu zniknęła”.

A ja: „Kupić kawę? Mam w torbie torebkę z krwią i dziesięć tysięcy dolarów”. Nosferatu może normalnie pić latte, o ile doda się trochę krwi, no, chyba że akurat nie toleruje laktozy.

Zatrzymał się i popatrzył na mnie. Powiedział: „Serio, dziesięć tysięcy? Myślisz, że wystarczy?”.

A ja: „Wiesz, ty będziesz musiał pić tanie rzeczy, ale ja chciałabym pić swoje latte prosto z żył niemowlaka, a te małe gnojki nie są tanie”.

A on: „Dobra, teraz mnie totalnie wystraszyłaś”.

A ja: „Jesteś w tym do dupy. Chodźmy na kawę i zrobmy coś wampirycznego, na przykład spuśćmy łomot jakimś alfonsom i tak dalej”.

„Od kiedy bicie alfonsów jest wampiryczne?”.

„Odkąd szukałam księżnej, a oni próbowali mnie zwerbować, bo jestem tak zajebiście seksowna, że zdesperowani frajerzy chętnie by płacili, żeby mnie puknąć, co bardzo mi pochlebia i w ogóle, ale i tak mam wrażenie, że wykorzystaliby mnie z uwagi na mój wiek i naiwność”.

„Więc chcesz ich pobić”.

„Chcę wypróbować ten numer kung-fu, w którym wrywa się koleśowi serce i pokazuje mu, kiedy jeszcze bije. *Tres* makabryczne, *non*? Poza tym ich zaskoczone miny na pewno będą tego warte. Robiłeś to, kiedy mordowałeś ludzi z Chetem?”.

„Nie pamiętam nic podobnego. Nie pamiętam mordowania ludzi”.

„To dlatego alfonsi próbowali mnie zatrudnić. Ty i Chet zjedliście im wszystkie dziwki”.

„W twoich ustach brzmi to tak plugawo”.

„Dobra, w twoich ustach zjadanie dziwek brzmi pięknie. Mów do mnie wierszem, gryziپیórku”.

A on patrzy cały załamany i w ogóle. I mówi: „Jody takdo mnie mówi”.

A ja: „Przepraszam. Gdzie chcesz jej teraz szukać?”.

„Nie wiem. Która godzina?”

Spojrzałam na zegarek, który dała mi księżna, i mówię: „Trochę po pierwszej” – swoim głosem totalnej kretynki.

„Polk Street”

A ja: „Czemu Polk Street?”

A on: „Bo skończyły mi się pomysły i musimy uciec się do magii”

A ja: „Cudnie! Jedziemy z mroczną magią!”. Kusilo mnie, żeby zakręcić tyłkiem w tańcu totalnej celebracji czarnej magii, ale pomyślałam, że mogę zdradzić swoją tajemnicę.

No i dobra, wpadamy do tej kawiarni przy Polk Street, a tam pełno hipisów i luzaków, par na randkach, trzeźwiejących pijaków i tak dalej. Wszyscy się odwrócili i patrzyli na nas. O mało nie dostałam spazmów, bo przypomniało mi się, że nie poprawiłam makijażu, odkąd walnęłam twarzą w dyktę w gniazdku miłości.

Mówię: „Tommy, psssst, czy wyglądam jak zombie na dragach?”

Zatrzymał się, popatrzył na mnie i odparł: „Nie bardziej niż zwykle”.

A ja: „Mam podkrążone oczy?”

A on: „W sumie przeniosłaś swój wizerunek smutnego pajacyka na nowy poziom, dzięki tej zaschniętej krwi wokół ust. Wyglądasz uroczo”.

Flood potrafi być bardzo słodki, jak na osła z Indiany. Poczulałam, że podjęłam słuszną decyzję, wybierając go na swojego Mrocznego Pana, nawet jeśli miał tylko dziewiętnaście lat, a nie pięćset.

No i poczułam, że powinnam mu jakoś miło odpowiedzieć, więc jadę: „W tych ciuchach nie wyglądasz aż tak żałośnie”. Potem sobie uświadomiłam, że nie zabrzmiało to tak miło, jak chciałam, no to mówię: „Chcę potrójną sojową kawę latte z krwią grupy 0, dopóki czekamy na tę magię i tak dalej”.

A Fu na to: „Ona tu jest”.

Wiem. Pojechałam: „Cooooo?”

No i dobra, Flood posłał mnie po kawę i powiedział, że spotkamy się przy stoliku z tyłu. Kiedy się pojawiłam, siedział z potwornie tłustym facetem w fioletowym stroju czarodzieja ze srebrnymi gwiazdami i księżycami, z ogoloną głową, na której wytatuowano pentagram, taki sam, jaki narysowałam na głowie Ronnie niezmywalnym flamastrem. Wiem! Koleś miał na stole kryształową kulę na podstawce ze smoków i tabliczkę z napisem: MADAME NATASHA. WRÓŻBA – 5,00 \$. WSZYSTKIE ZYSKI PRZEZNACZANE SĄ NA BADANIA NAD AIDS.

Podeszłam, a wtedy Flood: „Madame Natasho, to moja pomagierka, Abby Normal”.

A ja: „*Enchante*” - w perfekcyjnym pieprzonym francuskim. „Odjazdowa kredka do oczu, Madame”. Miał sztuczne rzęsy i brokatowe kreski od oczu aż do uszu.

Madame Natasha na to: „Miło, że tak mówisz, dziecko. Ty też wyglądasz *tres chic*. Ale powinnaś mieć kurtkę. Takie maleństwo, jak ty, może zamarznąć w tej mgle”.

Już byłam gotowa do antymatczynej gadki w stylu „nie jesteś moim szefem”, ale zaraz mi przeszło. Może lepiej bym się dogadywała z matkobotem, gdyby to był olbrzymi gej.

Usiadłam koło Madame Natashy, a Flood nawija: „Madame Natasha powrózył mi wkrótce po moim przybyciu do miasta. Powiedział, że poznam dziewczynę, ale ciągle wychodziła karta śmierci, więc nie umiał tego rozgryźć”. Potem odwrócił się do Madame i dodał: „Miałeś absolutną rację, w końcu poznałem martwą dziewczynę”.

A Madame: „Ojej”. Wyjął taki mały wachlarz i zaczął się wachlować.

No i dobra, wyjmuję torebkę z krwią i wpuszczam trochę do swojej kawy, a potem do kawy Flooda, a on mówi: „Abby, odłóż to”.

A ja: „Czemu?”.

Kiwnął głową w stronę ludzi, którzy totalnie na nas nie patrzyli, tylko czytali albo pisali SMS-y.

„Przestraszą się”.

A ja: „Oj, kurde, daj spokój. Widzieli mój makijaż, widzieli, jak jestem ubrana, widzieli moje ciemne i tajemniczo ufarbowane włosy i myślą, że tylko próbuję ich przestraszyć, wpuszczając krew do naszej kawy. Więc zaciekle nie dają się przestraszyć, żeby nie dać mi satysfakcji, bo wtedy nie byłiby wyrafinowanymi, miejskimi podglądaczami”.

„O, podoba mi się” – powiedział Madame. „Ma ikrę”.

A Flood: „Oki doki”.

A ja: „Jak nie przestaniesz mówić»oki doki«, będę musiała zmienić Mrocznego Pana”.

A Madame: „Faktycznie brzmi to trochę wieśniacko, skarbie”.

Na to Tommy: „Nieważne, jak mówię. Pamiętasz, prawda, Madame? Pamiętasz mnie?”.

A Madame: „O tak, tak, teraz tak. To ty osiągnęłaś olimpijski poziom w masturbacji, tak?”.

Na to Flood: „Eee, nie, to akurat ktoś inny, eee...”.

Pan potrzebował pomocnej dłoni, jeśli wiecie, co mam na myśli, więc mówię: „Oj, luz, to kwestia stresu, każdy to robi. Sama się brandzluję teraz pod stołem, żeby trochę zeszło napięcie. Tak. Tak. Tak! O-zombie-Jezu-pieprz-mnie-Simbo-królu-lwie-hakuna-matata tak!”. Trochę się zatrzęślam i zjechałam na krzesło, ciężko dysząc. Potem spojrzałam jednym okiem na Madame i spytałam: „Teraz się przestraszyli, nie?”.

Kiwnął głową, z szeroko otwartymi oczami i w ogóle. No i wiecie, totalnie odwróciłam uwagę od wstydu mojego Mrocznego Pana. Ale jeden stary mieszkaniec dnia patrzył na mnie ze zniesmaczoną miną znad „Wall Street Journal”, więc zasunęłam: „Wrau”.

Flood na mnie popatrzył.

Ja na to: „Zamknij się, tak robią. Nie powinni go nawet wypuszczać w nocy, żeby używał mojego mroku bez pozwolenia”. I warknęłam na tamtego jeszcze raz, za podsłuchiwanie.

Przez chwilę piliśmy kawę, a Madame gapił się w karty, a kiedy uniósł głowę, wydawał się zawiedziony, że jeszcze jesteśmy, ale Flood się nie spieszył.

Powiedział: „Powiedziałaś, że spotkam kobietę. Spotkałem. Jesteśmy razem”.

A Madame uniósł rękę, co w języku wrózek znaczy „zamknij się, kurwa”. I jeszcze popatrzył na karty. A potem na słoik z napiwkami.

Flood spojrzał na mnie i skinął głową na słoik. No to wyciągnęłam z torby stówę i ją tam wrzuciłam.

A Flood: „Abby!”.

A ja: „Halo, to kobieta, którą kochasz! Chcesz się targować?”.

A on: „Okej”.

No i Madame Natasha wyciągnął jeszcze kilka kart i mówi: „Ruda”.

Na to my: „Tak”.

A on: „Jest ranna, ale nie sama”.

A my: „Mhm”.

Wyłożył jeszcze ze sześć kart i nawija: „Coś tu nie gra”.

Na to Flood: „Jeśli znowu wychodzi ci śmierć, to w porządku, wszystko się zgadza”.

A Madame: „Nie w tym rzecz”. I tasuje karty, ale nie na luzie, jak krupier, tylko delikatnie, i w różnych miejscach na stole, jakby naprawdę próbował je zmylić.

Potem znowu je rozłożył. A jego oczy z każdą kartą robiły się coraz większe. Aż w końcu wyłożył ostatnią i zasunął: „Ojej”.

A my: „Co? Co?”.

A on: „Patrzcie”.

Na stole leżało czternaście kart. A na nich najróżniejsze rysunki i liczby. Już miałam spytać, o co biega, ale potem zobaczyłam, skąd te wielkie oczy. Wszystkie były w tym samym kolorze. Więc mówię: „Same miecze”.

A on: „Tak. Nie jestem nawet pewien, jak to zinterpretować”.

A ja: „Jest ranna, nie jest sama, a w kartach wyszły tylko miecze?”.

„Tak, skarbie, to właśnie mówię, ale nie wiem co to znaczy”.

Na to ja: „A ja wiem. Możesz rozłożyć je jeszcze raz?”. I wrzuciłam mu drugą stówę do słoika.

A on: „Okej”.

Tym razem było dużo mieczy, ale też inne karty. Pytam: „No i?”.

A on: „W tym układzie miecze oznaczają kierunek północy, ale też powietrze, może żaglowiec. To bez sensu”.

A my: „Co? Co?”.

A on: „Zatopiony statek?”.

A ja: „To ma totalny sens”.

A Flood: „Tak?”.

A ja: „Zostań tutaj, Madame. Możemy wrócić”.

A Flood: „Co? Co?”.

A ja: „Zapomniałam ci powiedzieć o małym facecie z mieczem”.

A on: „Naprawdę szybko się przyzwyczajasz do tej magii”.

To pytam: „Chcesz powiedzieć, że jestem żwawa i radosna? Nieprawda. Jestem skomplikowana”.

Jestem. Zamknijcie się, jestem.

Teraz na mnie patrzy, że niby powinniśmy iść. Mimo że piszę z ogromną prędkością. Dobra, koleś, odbierasz mojej literaturze głębię. Idę. Co za maruda. Muszę lecieć, bo jeszcze nam się ciemność skończy. Nara.

STARSI

Makeda włożyła okulary i popatrzyła, jak cegły na rogu budynku rozbłyskają. Znajdą koty po ich zachowaniu, bo nawet koty-wampiry pozostają kotami i znakują swoje terytorium. Elijah powiedział im, gdzie się to wszystko zaczęło i gdzie może się przenieść. Specjalne okulary w połączeniu z wampirycznym wzrokiem, sprawiły, że świecił fosfor, wydany przez koty z uryną. W pewnym sensie widzieli też proces. Coś oznaczone przed wieloma dniami jaśniało znacznie słabiej niż coś oznaczone parę godzin temu.

–Tędy – powiedziała Makeda.

Rolf przechylił głowę, patrząc na zabite dyktą okna mieszkania na poddaszu.

–To jest poddasze, na którym Elijah podobno przemienił pierwszego kota. Są tam ludzie. Wygląda na to, że dwóch.

–Tutaj też przysmażyli go kurtką pokrytą diodami – przypomniała Makeda. – Proponuję najpierw posprzątać koty, to mniej niebezpieczne.

Rolf skinął głową Makedzie, która bez następnego słowa pomknęła przez zaulek. Ruszyli szlakiem znakowania i przebyli wiele ulic, aż dotarli do Mission, gdzie ślady zaczęły się rozgałęziać.

–Nie wiem, którądy iść – stwierdziła Bella. – Musimy znaleźć punkt obserwacyjny.

Rolf rozejrzał się i wypatrzył najwyższy budynek w okolicy.

–A może tamten, wyglądający jakby usiadł na nim robot-pterodaktyl? – Wskazał czarny, szklany Federal Building.

–To jakieś nienaturalne – powiedziała Makeda.

–I kto to mówi? – warknął Rolf. – Ja pójdę. Muszę tam wejść w normalnej postaci, potrzebuję okularów. – Zdjął płaszcz, a potem rzucił na niego broń.

–Zmień się w mgłę, gdybyś się zsunął – poradziła Makeda. – Ja złapię twoje okulary. Jeśli spadniesz z czegoś takiego w materialnym kształcie, będziemy musieli zeszkrobać cię do torby, żebyś wrócił z nami na statek.

Uśmiechnął się, odsłaniając kły, po czym zaczął się wspinać jednostajnym tempem po narożniku budowli.

Bella wyciągnęła z kurtki paczkę papierosów, wytrząsnęła jednego, zapaliła, po czym wydmuchnęła za Rolfem długą strugę dymu.

–A jeśli Elijah skłamał w kwestii przemiany kolejnych ludzi? Już wcześniej kłamał.

Gdy na początku zabrali starego wampira z miasta, wziął ze sobą jasnowłosą wampirycę, twierdząc, że jest jedyna. Nie przeżyła pierwszego miesiąca na morzu. Takie jak ona nazywali „słabymi naczyniami”.

–Nie przyznał się też do przemiany kota, dopóki nie znaleźliśmy wiadomości w Internecie.

–Musimy znowu z nim pogadać, jak wrócimy na statek, o ile będzie czas.

Rolf opadł na chodnik obok nich.

–Tędy. Jakies sześć przecznic. Widać promienisty wzór, który ma środek tutaj i rozchodzi się na jakieś dziesięć przecznic w każdą stronę. Widziałem tam na dachu ze sto kotów.

–No to chodźmy – powiedziała Makeda.

–To nie wszystko – ciągnął Rolf. – Poluje na nie grupa mężczyzn. Jest ich osiem.

–Skąd wiesz, że polują na koty?

–Bo dwaj rozświetlili swoje płaszcze. Gdyby nie okulary, ośleplbym. Noszą słoneczne kurtki,

przed którymi ostrzegaliśmy nas Elijah.

–Ożeż kurwa – mruknęła Makeda. – Jeszcze ośmiu, których trzeba zabić.

–Przynajmniej – powiedział Rolf. – Ile jeszcze czasu do dnia?

–Dwie i pół godziny – odparła Bella, zerkając na zegarek. – Nie mamy na statku karabinu snajperskiego?

–Gdzieś mamy – odrzekł Rolf.

–Nie będą mogli włączyć tych kurtek, jeśli zginą, zanim znajdziemy się pięćset metrów od nich.

–Będzie bałagan – zauważyła Makeda. – Po pociskach zostają ciała.

–Już wolę się pozbyć paru ciał, niż dać się usmażyć słoneczną kurtką – powiedziała Bella, przejmując inicjatywę. – Rolf, ty i ja pójdziemy za kotami. Wykończymy jak najwięcej, ile się da. Makeda, ruszysz za łowcami. Trzymaj się na dystans, zobacz, dokąd pójdą, i spotkajmy się na statku. Dziś w nocy koty. Jutro ludzie.

–Nie cierpię kotów – stwierdziła Makeda.

–Wiem – odparła Bella.

–Jeszcze coś – wtrącił Rolf. – Na dachu było z kotami coś innego. Większego.

–Jak to „coś”? – spytała Makeda.

–Nie wiem – odparł Rolf – ale nie wydzielal żadnego ciepła, więc to jeden z nas.

TOMMY I ABBY

Interpretacja słów Madame Natashy, którą zaproponowała Abby, miała zdaje się sens. Ale teraz, gdy stał w przystani przy czarnym statku, a noc już prawie się skończyła, Tommy nie był taki pewien.

–Myślisz, że jest w środku?

–Możliwe. Widziałam na blogu miejskim, że przyplłynął ten statek. Było zdjęcie i wyglądał super i... no, nie wiem, jestem nowa. Nie możesz oczekiwać, że będę dobra we wszystkim. Może zmienisz się we mgłę i wkradniesz na pokład?

Usłyszeli tupot bosych stóp na tekowym drewnie i nagle nad gładkim czarnym włóknem węglowym kokpitu pojawiła się Gorgona blond dredów.

–Siema, brachu. Siema, sioro. Jak leci? – Młody mężczyzna, bardzo opalony, emanujący gorącem, ale z cienką czarną obwódką wewnątrz życiowej aury.

Abby szturchnęła Tommy’ego, który skinął głową na znak, że zauważył.

–Co on powiedział? – spytał.

–Nie wiem – odparła Abby. – Brzmi po australijsku. Jeśli zaczniesz nawijać, żebym zeszła w interior do jego didżeridu, to kopnę go w nery swoimi „chuckami zakazanej miłości”.

–Oki doki – powiedział Tommy.

Blondyn podniósł lornetkę termowizyjną, szybko przez nią zerknął, po czym odłożył z powrotem.

–Ja cię! Wy umarlaki! Miłość Jah z wami, moje umarlaki!

Podciągnął się przez krawędź kokpitu, wylądował na pokładzie dwa i pół metra niżej, a potem przeskoczył na przystań. Był bardzo sprawny i muskularny, pachniał rybią krwią i trawką.

–Pelekekona zwany kapitanem Kona, pirat słonej ciszy, lew Syjonu, rasta pierwszej wody, nie?

Wyciągnął rękę do Tommy’ego, który uściskał ją ostrożnie.

–Tommy Flood – przedstawił się, a potem, czując, że powinien mieć jakiś tytuł, dodał: – Pisarz.

Następnie jasnowłosy rastaman wziął Abby w ramiona, uściskał i pocałował w oba policzki, a potem pozwolił, by jego dłonie dłużej zatrzymały się na jej plecach i zsunęły w dół. Puścił, kiedy wykręciła mu palec, obalając go na kolana.

–Cofnij się, jebany konopny mutancie! Jestem księżna Abigail von Normal, zastępcza pani nocy w Greater Bay Area.

–Księżna? – powtórzył półgębkiem Tommy.

–Śliskie i smakowite umarlackie ciasteczko, delikatne jak płatek śniegu, no – powiedział Kona. – Bez obrazy, moje umarlacki, mam dla was wielkie aloha, ale nie mogę wziąć was na statek. *Raven* zabije was na śmierć, wiecie. Ale możemy odstawić Babilon tutaj. – Z kieszeni luźnych szortów wydobyl fajeczkę i zapalniczkę. Z drugiej wyjął sterylny skalpel, taki, jakim cukrzycy kaleczą sobie palec przed badaniem krwi. – Może jeden z moich nowych umarlacków przysłuży się mojej mistryce. Tylko kropla albo dwie.

Abby zerknęła na Tommy'ego.

–Renfield – powiedziała, przewracając oczami.

Skinął głową. Chodziło jej o Renfielda, szalonego sługę Drakuli w powieści Brama Stokera.

Oryginalnego „robakożercę”.

–Może zdołamy ci w tym pomóc – stwierdził Tommy.

Abby zaś powiedziała:

–Nie jesteś godzien naszej pomocy, nie jesteś godzien wolności, i oboje z pewnością bylibyśmy narzędziem, by ci pomóc, wampiryczny głupcze. – Dygnęła. – Baudelaire, *Kwiaty zła*.

Parafraza, ma się rozumieć.

–Ładnie – powiedział Tommy. Znała poezję romantyczną. Niezbyt dobrze czy dokładnie, ale znała.

–O, raz próbowałem tej parafrazy w Meksyku. Łajba stanęła za szybko i ten brachol zleciał z nieba jak kamień. Nie, Kona nie lubi wysokości.

–Nie parolotnia, imbecyłu, tylko parafraza.

–A. To co innego.

–Właśnie – przytaknęła Abby.

–Kona – odezwał się Tommy – dam ci kroplę krwi, ale najpierw... Mówisz, że ten statek należy do wampirów?

–Tak, gościu. To moich panów, umarłaków. Potężnych i starych.

–Są teraz na pokładzie?

–Nie. Przyplłynęli odkręcić tę katastrofę. Koty-wampiry, które zostawił stary.

–Tylko koty?

–Nie, gościu, posprzątają cały bajzel. Wszystkich koleśi, którzy ich widzieli albo o tym wiedzą. To sprzątacze, brachu.

Abby potrząsnęła głową, jakby miała wodę w oczach. Tommy wiedział, co czuła.

–Czyli te stare wampiry są tutaj, żeby wykończyć świadków i w ogóle, i zostawiły ciebie do pilnowania statku? Tylko ciebie?

–O tak, sioro. Kona *ichiban* pierwsza klasa piracki kapitan słonej ciszy.

–Czemu tak zrobili? Nawet nie próbujesz dotrzymać tajemnicy.

Kona zapomniał o luzie, ramiona mu opadły, a gdy przemówił, zniknął jego rzekomo wyspiarski akcent.

–Czemu ktoś miałby uwierzyć w choćby jedno moje słowo?

–Słuszna uwaga – przyznał Tommy.

–A poza tym, wy dwoje wiecie już o wampirach. Zero ciepła w termowizorze.

–Też słuszna uwaga – stwierdził Tommy. – Czyli to są wampiry, które przybyły po Elijaha? –

Abby powiedziała mu, że Cesarz widział Elijaha i dziwkę Blue, odpływających we mgle z innymi wampirami niewielką łodzią z jachtklubu St. Francis.

–Tak, gościu. Ten stary krwiopijca jest teraz hermetycznie zamknięty pod pokładem. To kompletny świr.

Tommy spodziewał się jakiegoś dreszczu, ale zamiast niepokoju poczuł, że jego zmysły i myślenie jeszcze się wyostrajają. Nie było instynktu ucieczki, a jedynie chęć walki. Coś nowego.

–Elijah, dziwka i ilu jeszcze? – spytał.

–Tylko trójka. Bez dziwki. To wampirzyca drugiej generacji, gościu. Takie długo nie

pociągną. Przekreśliła się na dobre.

Abby postąpiła krok naprzód i próbowała złapać Konę za gardło, ale miała za małą dłoń i ostatecznie tylko przewróciła go na przystań.

–O czym, kurwa, o czym, kurwa, o czym, kurwa, o czym, kurwa mówisz, Meduzo?

–Myślą, że Kona nie wie, ale tylko tym wampirom Elijah daje długie życie. Może teraz kropelkę Syjonu, brachu? – Kona wyciągnął skalpel do Tommy'ego.

Tommy był oszołomiony.

–Jeszcze jedno. Po co ściągnęli tu statek z powrotem? Na pewno wiedzą, że wysadziliśmy jego jacht w powietrze.

–Tak, gościu, ale *Raven* nie jest taki. Sam się chroni. – Podniósł rękę i Tommy dopiero teraz zauważył, że ma na nadgarstku coś, co wygląda jak elektryczna obroża. – Gdybym to zdjął, *Raven* zabiłby Konę na śmierć. On wie. Zna tę trójkę. Każdego innego wysyła do Davy'ego Jonesa.

Tommy wziął od niego skalpel, odpakował i ukłuł się w palec.

–Nic z tego – powiedziała Abby, łapiąc go za rękę, gdy wyciągał do Kony krwawiący palec. – Jakiś brudny hipis nie będzie cię dotykał. Może i jesteś martwy, ale od kogoś takiego mógłbyś złapać ohydne choróbsko.

–Grzeczniej, moja słodka. Kona też ma uczucia. Sięgnęła do torby i wyjęła długopis. Zdjęła skuwkę, wycisnęła do niej krew Tommy'ego i podała tamtemu.

–Masz.

Rastaman ssał skuwkę tak mocno, że omal jej nie połknął, a potem znowu usiadł na przystani i wyszczerzył się w szerokim białym uśmiechu.

–Tak, gościu, zabieram statek do Syjonu.

Zapisała komórka Abby. Dziewczyna zerknęła na ekran, powiedziała, że to Fu, po czym odebrała i się odwróciła.

Tommy słyszał głos Psa Fu, błagającego Abby, by natychmiast wróciła na poddasze. Skupił uwagę na Konie.

–Czemu? – spytał.

–Kurde, brachu, kocham swój gang krwi, ale kiedy zapisałem się na *Ravena*, było dwudziestu członków załogi. Mówią, że chłopcy odchodzą, ale przecież nie skaczą za burtę, jak pływamy przez pięć dni. Ta umarłaczką Makeda, niezła afrykańska sunia, zjada moich kumpli, na miłość Jah. Teraz został tylko Kona.

–Ty? Jesteś całą załogą statku tej wielkości?

–Tak, gościu. Ten *Raven* pływa sam.

Abby się odwróciła.

–Musimy iść.

–Co? – spytał Tommy.

–Fu mówi, że szczury nie żyją. Wszystkie.

Tommy nie rozumiał. Spojrzał na niebo, które zaczęło się przejaśniać.

–Nie możemy teraz tam iść.

Abby spojrzała na zegarek.

–Kurwa! Wschód słońca za trzydzieści minut.

RIVERA

Niebo jaśniało za Oakland Hills i różowy blask, odbijający się we frontowej szybie Safewayu Marina, wywoływał wrażenie, że sklep się pali. Zwierzaki stali wokół swoich samochodów, dzierżąc w pogotowiu zbiorniki i pistolety na wodę z herbatką babci Lee. Clint miał kuszę harpunową Barry'ego i trzymał ją niczym świętą relikwię.

–No dobra – odezwał się Lash Jefferson. – Co powiemy mamie Barry'ego? Nie mamy nawet ciała.

Rivera nie wiedział co powiedzieć. Tak naprawdę, nie myślał dotąd o Zwierzakach jak o ludziach. Był nie w porządku pod tak wieloma względami, że nawet nie miał czasu ich policzyć. Nie dość, że narażał na szwank bezpieczeństwo publiczne, to jeszcze aktywnie wciągnął obywateli w tajną operację, którą przypłacili życiem. Wśród wszystkich nierzeczywistych wydarzeń ostateczne wykluczenie Barry'ego z ich szeregów było zbyt rzeczywiste. Zbyt niewłaściwe.

–Przepraszam – powiedział Rivera. – Myślałem, że jesteśmy przygotowani. To tylko koty.

–Cesarz mówił wam, że to nie jest zwykły kot – odparł Jeff, potężny były skrzydłowy. Drapał Marvina za uszami, a pies od trupów się uśmiechał.

Rivera pokręcił głową. To był Cesarz. Świr. Skąd miał wiedzieć, że akurat ta część jego opowieści była prawdziwa?

–Miał żonę, dziewczynę? – spytał. – Moglibyśmy zebrać dla niej trochę pieniędzy.

–Nie miał dziewczyny – odparł Troy Lee. – Pracował na grobową zmianę, tak jak my. Rano był na haju, a potem spał aż do jedenastej, kiedy szedł do pracy. Dziewczyny nie potrafią znieść czegoś takiego.

Pozostali ze smutkiem kiwali głowami – nad Barrym i nad sobą.

–Nie możecie się teraz wycofać – powiedział Cavuto. – Nawet nie wiecie, czy ten wasz sprej działa. Nie chcecie sprawdzić? Uratować miasta?

–Jaka jest korzyść? – spytał Lash.

–Uratujecie miasto.

Lash trzasnął drzwiczkami samochodu.

–Mamy dwie godziny, żeby odwalić całonocną robotę. Musicie się stąd zmywać.

–Nie możemy wziąć paru tych rozpylaczy? – spytał Rivera. – I wy też powinniście trzymać je przy sobie. Wiemy, że Chet przemierza swoje terytorium. Wy też możecie się na nim znajdować.

Clint sięgnął do bagażnika swojego volkswagena, złapał super soakera i rzucił go w stronę Cavuta.

–Świetnie – powiedział rosły glina. – Uratuję cholerny świat pomarańczowym pistoletem na wodę.

–Dobra, do wozu, Marvin – powiedział Rivera. Otworzył tylne drzwi forda i pies wskoczył do środka. – Zadzwońcie, gdybyście nas potrzebowali.

Obaj gliniarze odjechali. Na dachu Safewayu wampirzyca Makeda spojrzała na zegarek, po czym zmrużyła oczy, patrząc na niebo na wschodzie, grożące rychłym wschodem słońca.

OKATA

Okata nigdy nie był w sklepie Levi's przy Union Square, ale poparzona dziewczyna narysowała na mapie właśnie to miejsce, więc tam poszedł. Miejsce wydawało się odpowiednie do szukania dżinsów. Podał młodej dziewczynie listę rzeczy, którą dała mu poparzona dziewczyna. Zapłacił gotówką i po piętnastu minutach wyszedł z parą czarnych dżinsów, batystową koszulą i czarną dżinsową kurtką. Następnym znaczkiem na planie był sklep Nike, gdzie kupił damskie buty do biegania i parę skarpetek. Potem, mniej więcej w połowie drogi do kolejnego punktu, zawrócił, znowu poszedł do sklepu Nike i kupił parę butów do biegania dla siebie. Były sprężyste i lekkie, więc zaczął podskakiwać, ale potem się zmiarkował i znowu celowo odmierzał kroki mieczem w pochwie. Ludzie mogli ignorować maleńkiego Japończyka w pomarańczowym kapeluszu i skarpetkach, nawet z mieczem, ale kogoś, kto okazuje niepomowaną radość, wsadziliby w kaftan bezpieczeństwa, zanim zdążyłby zaśpiewać jeden wers piosenki z filmu Disneya.

Następnie Okata znalazł się w bardzo miękkim, satynowym świecie butików Victorias Secret. Zbliżały się walentynki i cały sklep był udekorowany na różowo i czerwono, a wysokie manekiny stały wokoło w bardzo skąpych strzępach bielizny. Pachniało gardenią. Młode kobiety kręciły się tu i tam, nosząc kawalki jedwabiu, w zasadzie nie rozmawiając, jak w transie. Wchodziły i wychodziły z przymierzalni, wracały do półek, dotykały, gładziły koronki, satynę, czesaną bawełnę, by po chwili przenieść się do kolejnej miękkiej sceny. Wyobraził sobie, że tak musi wyglądać centrum sterowania waginą. Jako artysta nigdy nie był w żadnym centrum sterowania, w waginie zaś nie był od czterdziestu lat, ale był pewien, że pamięta podobne uczucie. To miejsce było jednak żenująco publiczne. Usiadł na okrągłej kanapie z czerwonego aksamitu, by ukryć nagle wspomnienie, narastające w spodniach.

Podeszła do niego drobna Azjatka z plakietką. Podał jej listę i powiedział:

–Proszę. – Przeżył jednak wstrząs, gdy po tym niezgrabnym, pojedynczym słowie odpowiedziała mu po japońsku.

–To dla pańskiej żony? – spytała.

Nie wiedział co powiedzieć. Była z nim w jednym pomieszczeniu, ta młoda dziewczyna, w centrum sterowania waginą, razem z nim i jego odległymi wspomnieniami erotycznymi. Gorąco uderzyło mu do twarzy.

–Dla przyjaciółki – wyjaśnił. – Jest chora i przysłała mnie tutaj.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

–Najwyraźniej dokładnie wie, czego chce, są tu też rozmiary. Wie pan, jakie kolory lubi?

–Nie. Co pani uzna za najlepsze – odparł.

–Proszę poczekać tutaj. Przyniosę trochę różnych rzeczy, a pan będzie mógł wybrać.

Chciał ją zatrzymać, albo wybiec przez drzwi, albo wpełznąć pod aksamitną poduszkę, by ukryć swój wstyd, ale zapach gardenii unosił się w powietrzu niczym opium, grała też muzyka w rytmie powolnego seksu, młode kobiety poruszały się wokół niczym zwiewne duchy, a jego buty były bardzo, bardzo wygodne. Patrzył więc, jak młoda dziewczyna wybiera staniki i majtki, zbierając je niczym różane płatki, by rozsypać je na śnieżnej ścieżce do nieba.

–Czy lubi zwykłą czerń? – spytała ekspedientka, dostrzegając czarny dżins, wystający z reklamówki Levi's.

–Czerwień – usłyszał własny głos Okata. – Lubi czerwień, jak płatki róży.

–Zapakuję to panu – zaproponowała. – Gotówka czy karta?

–Gotówka, proszę. – Podał jej dwieście dolarów.

Czekał na kanapie, starając się nie myśleć o tym, gdzie jest, o zapachu i muzyce, o kręcących się kobietach. Myślał za to o ćwiczeniach kendo, treningach, i swoim zmęczeniu, a w zasadzie wyczerpaniu. Gdy dziewczyna wróciła, by wcisnąć mu w rękę różową torbę i resztę, mógł już wstać bez zażenowania. Podziękował jej.

–Zapraszam ponownie.

Zebrał się do wyjścia, a potem popatrzył na plan od poparzonej dziewczyny i zobaczył rysunki świni, krowy i ryby. Zdał sobie sprawę, że tłumaczenie rzeźnikowi, czego potrzebuje, będzie drogą przez mękę, więc zawołał młodą ekspedientkę.

–Przepraszam. Mogę prosić panią o przysługę?

Na różowej kartce w czerwone i srebrne serduszka napisała po angielsku: „4 litry krwi krowiej, świńskiej albo rybiej”. Znacznie łatwiej pójdzie mu u rzeźnika, gdy będzie mógł podać mu kartkę z zamówieniem. Podziękował jej jeszcze raz, uklonił się i wyszedł ze sklepu.

O ironio, gdy w końcu znalazł rzeźnika, gotowego sprzedać mu krew, był to Meksykanin z Mission, który musiał poprosić o przetłumaczenie mu liczącej jedną pozycję listy zakupów na hiszpański. Oczywiście, że miał krew. Jaki szanujący się meksykański rzeźnik nie trzymałby krwi na hiszpańską kaszanę? Okata nie rozumiał ani słowa. Rozumiał tylko, że po tym, jak przemierzył połowę miasta, niosąc dzinsy, buty i różową torbę z bielizną, miał w końcu litr świeżej krwi dla swojej poparzonej *gaijin*. Gdy wyszedł ze sklepu, rzeźnik podszedł do telefonu i wybrał numer z wizytówki, którą zostawił mu inspektor policji.

Okata złamał swoją standardową dyscyplinę i wszedł do tramwaju F, zamiast iść piechotą. Pojechał starym tramwajem aż do Market Street, minął Ferry Building i pokonał kilka przecznic w Embarcadero, gdzie wysiadł i przez chwilę patrzył na wspaniały czarny żaglowiec, zacumowany przy pirsie dziewiątym, nim zatargał litr krwi do domu.

Siedział przy futonie, z szerokim uśmiechem i filiżanką pełną świńskiej krwi, gdy się obudziła.

–Cześć – powiedział, uśmiechając się jeszcze szerzej.

–Cześć – odrzekła poparzona dziewczyna, odsłaniając w uśmiechu ostre kły. W ciągu dnia odrosły jej włosy, które zwieszały się teraz do jej piersi, były jednak suche i kruche.

Okata podał jej filiżankę i przytrzymał rękę, gdy piła. Kiedy już skończyła, dał jej papierową serwetkę i odebrał naczynie, a potem usiadł i zaczął pić herbatę z własnej filiżanki, podczas gdy ona dalej sączyła krew. Patrzył, jak na jej skórę wraca kolor, jakby przesuwano się po niej różowe światło, i zaczęła się napępniać, mięso obrastało kości, jakby ją nadmuchiowano.

–Jadłeś coś? – spytała. Wykonała gest nabierania ryżu palczkami i palcem pokazała na niego.

Nie, nie jadł. Zapomniał.

–Nie – powiedział. – Przepraszam.

–Mosisz jeść. Jeść. – Znowu wykonała ten ruch, a on pokiwał głową.

Gdy piła trzecią filiżankę kawy, wyciągnął kulkę ryżu ze swojej malutkiej lodówki i trochę go skubnął. Uśmiechnęła się i wzniosła toast naczyniem z krwią do jego filiżanki herbaty.

–No dobra. Mazel tow!

–Mazel tow! – powtórzył Okata.

Wznosili toasty i jedli, ona piła krew, a on patrzył, jak jej uśmiech staje się pełny, oczy zaś jaśnieją. Pokazał jej, co znalazł w sklepach Levi's, Nike i Victoria's Secret, choć odwrócił wzrok i próbował ukryć uśmiezek małego chłopca, gdy doszedł do czerwonego satynowego stanika i majteczek. Pochwaliła go i przyłożyła ubrania do ciała, a potem roześmiała się, gdy stwierdziła, że wyglądają na za duże, i pociągnęła duży łyk krwi, rozlewając ją sobie na kąciki ust i na kimono.

Zobaczyła też jego nowe buty, wskazała je palcem i puściła oko.

–Sexy – powiedziała.

Poczuł, że się rumieni, a potem uśmiechnął się i zrobił drobny taneczny krok, rodem z uniwersalnego tańca radości Snoopy'ego, by pokazać, jak wygodne są te buty. Roześmiała się i przeciągnęła po nich dłonią, przewracając przy tym oczami.

Gdy on wypił cały imbryk herbaty, a ona niemal litr krwi, usiadła na krawędzi futonu i odgarnęła gęste rude włosy, aż opadły jej na ramiona. Nie była już osmalonym szkieletem, spaloną zjawą, zasuszoną starowiną, lecz zmysłową młodą kobietą, białą jak śnieg, chłodną jak powietrze w pokoju, ale bardziej energiczną i żywą niż ktokolwiek, kogo w życiu widział.

Jej kimono rozsunęło się, gdy się przeciągała, i odwrócił wzrok.

–Okata – przemówiła.

I popatrzył na jej stopy.

–W porządku. – Zasunęła kimono, po czym pogładziła go po policzku. Dłoń miała chłodną i gładką. Przycisnął do niej twarz.

–Muszę wziąć prysznic – powiedziała. – Prysznic? – Gestami naśladowała mycie i padający deszcz.

–Tak – odrzekł. Przyniósł jej ręcznik i kostkę mydła, po czym pokazał prysznic, który znajdował się w pokoju przy umywalce. Toaleta była w małym pomieszczeniu po drugiej stronie.

–Dziękuję – powiedziała.

Wstała i pozwoliła, by kimono zsunęło jej się z ramion, po czym położyła je delikatnie na futonie, wzięła ręcznik i mydło i weszła pod prysznic, posyłając mu przez ramię uśmiech w chwili, gdy wstępowała do brodzika.

Okata usiadł, a raczej opadł na mały stółek przy futonie, i patrzył, jak kobieta zmywa ze skóry resztki popiołu, a potem stoi pod lejącą się wodą, aż całe mieszkanie wypełniło się parą, zmęczeniem i cudownością.

Podniósł z podłogi swój szkicownik i zaczął rysować.

Patrzył, jak porusza się niczym duch pośród pary, wycierając się, a potem czesząc włosy palcami. Wyszła z kłębów pary i rzuciła ręcznik na podłogę przy stole roboczym. Odwrócił się, gdy podeszła, a ona uklękła i uniosła mu podbródek palcem, aż musiał na nią popatrzeć. Oczy miała zielone niczym drzewko szczęścia.

–Okata – powiedziała. – Dziękuję.

Pocałowała go w czoło, a następnie w usta, i delikatnie zabrała mu szkicownik, by upuścić go na podłogę, a potem popchnęła go na futon i znowu pocałowała, rozpinając mu koszulę.

–Dobra – powiedział.

KRONIKI ABBY NORMAL:
SMEŃTNY MONOSEKSUALIZM
 ZWŁOK PORZUCONEJ ŁASKI

Zupełnie jak ten facet w powieści Hermana Hessego *Steppenwolf* (co, jak wiadomo, oznacza „stepującego wilka”), który natyka się na tabliczkę WSTĘP NIE DLA WSZYSTKICH przed magicznym teatrem, gdy chodzi o życie romantyczne, z pewnością nie ma mnie na liście. Samotność to moja „osoba towarzysząca”. Zgorzknienie to mój partner.

O, jak słodko było obudzić się o zmierzchu, niemal w ramionach mojego Mrocznego Pana, gdy leżeliśmy skuleni w naszej komórce na dachu. Pewnie nie powinnam była łapać tego gołębia spod okapu i wysysać mu gardziółka, ale na swoją obronę powiem, że śniadanie to najważniejszy posiłek dnia i przysięgłam więcej nie ruszać niczego z piórami, bo są paskudne. Tak czy siak, myślę, że lord Flood wybaczyłby mi plucie krwawymi piórami na jego lniane spodnie, gdyby mój ogon nie pokrzyżował nam planów.

No dobra, teraz już wszyscy wiedzą. Mam ogon. I to był główny powód, dla którego musieliśmy wracać do gniazdka miłości, zamiast kontynuować poszukiwania księżnej. Fu zadzwonił tuż przed wschodem słońca i powiedział, że wszystkie szczury pozdychały.

Ja na to: „*Non sequitur*, co, Fu? Jeśli tęsknisz, po prostu przeproś, trochę się pokajaj i miejmy to za sobą”.

A on: „Nie, Abby, nie rozumiesz. W ich DNA jest coś takiego, że po prostu zużywają się po jakimś tygodniu od przemiany w wampiry”.

A ja: „Mój biedny, smutny Psie Fu, jesteś pewien, że twoja męska antena nie wykorzystuje zdechłych szczurów jako sygnału SOS, żeby wrócić do furtki raję? Hmmm?”.

A on: „Nie, Abby, szczurze DNA jest ściśle powiązane z twoim wampiryzmem, tak samo jak ludzkie DNA u Cheta”.

A ja: „Nie-e”.

A on: „Musisz tu wrócić. Abby, wiem, że masz ogon”.

A ja: „Kurwa”. I wyłączyłam telefon.

Więc kiedy Flood i ja wyszliśmy z komórki na dachu, mówię: „Może trzeba będzie zajrzeć do Fu”.

Na to Flood: „Zadzwoń do niego i powiedz, że są tu stare wampiry, którymi trzeba się zająć. Musi być przygotowany. Będziemy tam za parę minut”.

A ja: „Napiszę mu SMS-a. Chwilowo z nim nie rozmawiam”.

No i Tommy powiedział mi, że nie wolno biegać za szybko, bo ktoś zauważy, że coś jest nie tak, więc trzeba poruszać się zrywami. Nie powinnam też przeskakiwać nad samochodami i w ogóle, bo to od razu zdradza, że jesteś nosferatu. Zrobiłam za to „wrau” do paru turystów w tramwaju, bo tego potrzebowali. A gdybyście ich spytali, zaczęliby nawijać: „Była *tres* straszna, a u nas, w Krowojebowie w stanie Nebraska, wiemy, co to»wrau«, bo mamy wartości rodzinne i tak dalej”.

Po przebiegnięciu zrywami jakichś trzech przecznic warknęłam na taksówkę, którą zatrzymały moje wspaniałe mroczne moce i studolarówka, którą machałam. Pojechaliśmy do gniazdka miłości i Jared wpuścił nas do środka.

I nawija: „OMB, OMB, OKMB, Abs, szczury nie żyją!”.

A ja: „Też mi wiadomość. Superancki zrobotyzowany statek piracki wampirów, to jest wiadomość”.

A Jared: „Powaga?”.

A ja: „Totalnie”.

Na to on wydal z siebie gejowski pisk, co było trochę żenujące, więc pytam: „Gdzie Fu?”.

Wtedy Fu wychodzi z łazienki, więc idę go pocałować, a on staje i podnosi swoje próbki z krwią, jakby chciał powiedzieć: „O, żadnych pocałunków, Abby. Mogą się stłuc”. Więc się cofnęłam.

I mówi: „Abby, musimy zmienić cię z powrotem. Natychmiast”.

A ja: „Nie ma mowy, Fu. Skończyłam już z waszą nędzną ludzką słabością”.

Machnął w stronę tych wszystkich szczurzych pudełek, a tam szczury leżały nieruchomo na dnie.

Więc pytam: „No i?”.

A Fu: „Po prostu padły, w odstępie paru godzin. Występuje jakaś niezgodność z wampirycznym wirusem”.

„To wirus?” – zapytał Tommy.

A Fu: „Nie wiem dokładnie, co to jest, ale łączy się z DNA gospodarza i przenosi DNA do zakażonego”.

A ja: „No i?”.

I wtedy Fu wydarł się do Flooda, że mam ogon, a ja chciałam zapaść się pod ziemię i umrzeć, tyle że nic by to nie dało.

Potem Jared zasunął: „Chcecie coś do picia? Trochę krwi albo coś w tym guście?”.

A ja: „Nie, dziękuję, zjadłam gołębia”.

A Flood: „Ja tak, poproszę”.

Potem wziął kieliszek do wina, do którego Jared nalął krwi, a ja zobaczyłam jego kły, które były teraz *tres* seksowne, kiedy już nie rozrywał mi nimi gardła, i mówi: „Aha, Abby, jeśli się okaże, że są w tym środki nasenne, wyrwij Steve’owi ręce”.

Na to ja: „Okej”. A potem do Fu: „Wrau. Zamknij się”.

A Fu: „Nie ma w tym środków nasennych”.

Powiedzieliśmy Fu i Jaredowi o statku i starych wampirach, i że przyjechały posprzątać, no i co ten Kona mówił o drugim pokoleniu wampirów.

A Fu: „To ty, Tommy”.

A Flood: „Wiem. Muszę znaleźć Jody. A ty i Jared powinniście wynieść się z tego mieszkania. Idźcie dokądś i zostańcie tam, dopóki nie usłyszycie, że droga wolna albo dopóki *Raven* nie odpłynie”.

Na to Fu: „A w ogóle, jak chciałeś się dostać do przystani?”.

Więc powiedzieliśmy mu o Madame Natashy, zatopionym statku na północnym końcu miasta i tak dalej, a on przewracał oczami, bo nie wierzy w magię, pomimo faktu, że przewracał nimi do dwóch wampirów.

A on: „Próbowaliście w Zatopionym Statku?”.

A my: „Cooooo?”.

A on: „To bar przy Jackson Street. Zbudowano go nad jednym z porzuconych tam statków z

czasów gorączki złota. W piwnicy ciągle widać wzmocnienia kadłuba”.

A Flood: „Zatopiony Statek? Tak się nazywa?”.

A ja: „Dosyć oczywiste”.

A Flood: „Musimy tam iść”.

A Fu: „Nie, muszę zmienić was oboje z powrotem. W każdej chwili możecie paść”.

Więc mówię: „Akurat. Trzeba znaleźć księżnę”.

A Tommy: „Później. Wszystko później”.

Na to Fu: „Przynajmniej weźcie to”. I dał nam obojgu coś, co wyglądało jak aluminiowa latarka z erekcją z niebieskiego szkła.

A ja: „Eee, widzimy w ciemności, widzimy ciepło i współpracujemy z kimś, kto widzi przyszłość, więc dzięki, ale...”.

„To lasery ultrafioletowe” – mówi Fu, nie dając mi skończyć. „Używają ich do łączenia podatnych na promienie UV polimerów w komorach próżniowych”.

Tommy spojrział na mnie, jakby pytał: „Co?”. Odpowiedziałam spojrzeniem: „Nie mam, kurwa, pojęcia”.

Więc Fu wziął od Tommy’ego jego latarkę i pokazał: „O tak”. Wycelował ją w jedno z pudełek z martwym szczurem. Strzelił z niej intensywnie niebieski promień, który spalił zwierzątko na węgiel.

A wtedy Flood i ja: „Aha”.

„Nie można ich trzymać włączonych, tak jak kurtki. Mają kondensator, który wytwarza ładunek i uwalnia go w ciągu dwóch sekund, ale w tym czasie można pewnie przeciąć wampira na pół. Zrobiłem je dla Rivery i Cavuta”.

Na to Tommy: „Nie dawaj im takiej, do kurwy nędzy, polują na mnie i na Jody”.

„I na mnie” – dodałam.

„I na mnie” – wtrącił Jared. Popatrzyliśmy na niego. „Nie dlatego, że jestem wampirem. Dlatego że ten duży glina mnie nienawidzi”. Potem zrobił zawstydzoną minę i nawija: „Ej, słuchajcie, z oczu leci wam krew”.

A ja patrzę na Tommy’ego: „CJK?”.

A Fu: „Powinniście pewnie nosić okulary z filtrem UV, jeśli macie tego używać, bo, wiecie, może wam zaszkodzić na oczy”.

Na to Flood: „Dobrze wiedzieć”.

A Fu: „Powinniście wiedzieć, że nie mogą zmienić się w mgłę, jeśli są ranne albo poddane działaniu w miarę silnych promieni UV. Badalem to na szczurach. Zatem was też to dotyczy”.

A my: „Mhm”.

A on: „Co zrobicie?”.

A Flood: „Pójdziemy do Zatopionego Statku i sprawdzimy, czy uda nam się znaleźć Jody, a potem pewnie spróbujemy się dostać na tę piracką łajbę. A ty?”.

„Muszę najpierw przenieść laboratorium, ale znam paru gości ze swojego programu na Berkeley, którzy mają wolne pomieszczenie. Mogę tam zostać”.

Na to Flood: „Zabierz Jareda. Elijah go widział. Każdy, kogo zna Elijah, i każdy, kto o nim wie, jest w niebezpieczeństwie”.

A Jared: „Nieeeee, Berkeley jest zbyt lesbijskie”.

Więc wyjaśniłam Tommy’emu: „Jared boi się dominujących lesbijek. Wynaleziono je na

Berkeley”.

A Fu długo patrzył na Jareda, potem na mnie, potem na Flooda, potem na swoje zdechłe szczury i powiedział: „Nie możesz przynajmniej zostawić tu Abby i pozwolić, żebym przemienił ją z powrotem?”.

Flood zerknął na mnie, a ja: „Kurde, proszę, mam miecz świetlny”. Złapałam Fu i mocno pocałowałam, ale poczułam, że się odsuwa.

I mówi: „Abby, jak będzie po wszystkim...”.

A ja na to, z palcem na jego ustach: „Ciii, ciii, ciii, Fu. Nie psuj tego momentu swoim marudzeniem. Całe życie się do tego przygotowywałam”.

Bo tak było.

Więc się zmyliśmy.

Na zewnątrz Flood pyta: „W porządku?”.

A ja: „Tak. Uważasz mnie za dziwoląga, bo mam ogon?”.

A on: „Nie, nie dlatego”.

To był z jego strony cudowny tekst.

Nie rzucając się w oczy, poszliśmy do Walgreens, gdzie kupiliśmy trzy pary okularów przeciwsłonecznych i telefon na kartę dla Tommy’ego, a ja wzięłam żelowe misie, które teraz maczam w krwi i zjadam – odgryzając im małe misiowe główki. Potem przenieśliśmy się do dzielnicy finansowej i znaleźliśmy bar pod nazwą Zatopiony Statek przy Jackson Street w starej części, i zobaczyliśmy wielki namalowany żaglowiec i duże rzeźbione litery ZATOPIONY STATEK. Byliśmy ze dwie przecznice od miejsca, gdzie nocowaliśmy i mówię: „Ojć”.

A Flood: „Co znowu?”.

A ja: „Nie masz fałszywych dokumentów?”. Zgrywałam się z niego, bo udawał, że ma pięćset lat, a tak naprawdę ma tylko dziewiętnaście.

On na to: „Nie, a ty?”.

„Tak. Sześć. Wejdę i się rozejrzę”.

A on: „Dobra”.

Więc ruszyłam do środka, gdzie siedzą te wszystkie garnitury i obywatele, i nagle słyszę: „Hej”. Dziewczęcy głos. Cichy, ale jakby wiedziała, że słyszemy.

I była to księżna, która właśnie zamykała drzwi do mieszkania poniżej ulicy. Miała na sobie czarne dżinsy i buty Nike, ale jej włosy wyglądały wspaniale. W jednej chwili przeskoczyła barierkę, nawet nie dotykając schodów, i wpadła Tommy’emu w ramiona. I było to piękne, i smutne, i poczułem, że pęka mi serce, ale potem zaczęło się skakanie z radości, bo naprawdę kocham księżnę i kocham Tommy’ego, ale oni kochają siebie nawzajem, no i... chuj z tym.

Więc mówię: „Na zimnych zabójców na zegarku, kurwa, nie mamy teraz czasu na bzykanie”.

A księżna puściła Tommy’ego i mocno mnie uściskała, mówiąc: „No, dziewczyno, mój ty umarlaku, to do ciebie pasuje”.

A ja: „Hmm”.

Popatrzyła na Flooda i powiedziała: „Ale nie mam pewności co do tych tropikalnych ciuchów”.

A on: „Abby ochlapała mi spodnie krwią gołębia”.

A ona: „Nie, to akurat fajne”.

A on: „Ona ma ogon”.

A ja: „Zdrajca!”.

I wtedy posmutniała i powiedziała: „Tommy, musimy pogadać”.

A on: „Nie, musimy stąd iść”.

I gdy szliśmy w stronę wody, opowiedzieliśmy jej o starych wampirach i sprzątanii, o *Ravenie* i tak dalej. No i teraz jesteśmy na dachu Bay Club, bardzo fajnej siłowni naprzeciwko portu, i obserwujemy *Ravena*, i stąd możemy nawet zajrzeć do kabiny, która jest wielka jak całe mieszkanie. I oni tam są. Jest ich troje plus Kona, rasta blondyn. Dwie kobiety i facet. Wyglądają odlatowo w obcisłych czarnych kombinezonach, czarnych płaszczach i w ogóle. Ale ten wysoki blondyn trzyma coś na stole, taką długą skrzynkę. Coś z niej wyjmuje i zaczyna składać.

Pytam: „Co on ma?”.

„Karabin” – odpowiada księżna.

CJK? CJK? CJK?

„Karabin?”.

A Tommy: „Po co ten karabin?”.

A ja: „Właśnie, karabiny są do dupy na wampiry. Eee, na nas”. I tak totalnie nie chcę oberwać.

Na to Jody: „Nie wyruszają na wampiry”.

A Tommy: „Abby, możesz przestać pisać? Proszę”.

A ja: „Wrau”.

A Jody: „Schodzi ze statku”.

A ja: „CJK?”.

A Jody: „Musimy go śledzić”.

Dobra, muszę lecieć. Nara.

22

SPOTKANIE W PAŁACU

RIVERA

Na parkingu samochodów z miejskiej floty wymienili forda na innego, który miał pleksiglasową przegrodę między przednimi a tylnymi siedzeniami. Cavuto wciskał kolana w schowek, bo fotel nie dawał się ustawić, ale i tak było warto. Okazało się, że po organicznych psich ciasteczkach, które kupił Rivera, Marvin dostał gazów. Teraz miał własny, oddzielny przedział, w którym mógł je wydzielać, a inspektorzy pili sobie kawę stosunkowo wolną od psiego smrodu.

–Nie śpię dobrze za dnia – odezwał się Cavuto.

–Rozumiem – odrzekł Rivera. – Czuję się, jakbym nie kładł się od tygodnia. – Wybrał numer poczty głosowej, po czym spojrzał na partnera. – Piętnaście nieodsłuchanych wiadomości? Jesteśmy poza zasięgiem czy jak?

–Wyłączyłeś telefon, kiedy podchodziliśmy te niebezpieczne kocięta.

Rivera próbował pić kawę, obsługując jednocześnie telefon, skutkiem czego wjechał na krawężnik.

–Wszystkie od Cesarza. Coś o statku pełnym wampirów przy pirsie dziewiątym.

–Nie – powiedział Cavuto. – Żadnych więcej wampirów, dopóki nie wypiję dwóch kubków kawy i porządnie się nie odleję. To moja prywatna zasada.

Cavuto włączył radio i połączył się z centralą. W dzisiejszych czasach komunikacja odbywała się głównie przez telefony komórkowe, ale zasady wciąż obowiązywały. Jeśli się przemieszczałeś, centrala musiała wiedzieć, gdzie jesteś.

–Rivera i Cavuto – odezwał się głos. – Mam zaznaczone, żeby zgłaszać wam ewentualne przypadki ataków kotów na ludzi. Zgadza się?

–Potwierdzam.

–No, wierzyć się nie chce, inspektorze, ale mamy zgłoszenie o ataku olbrzymiego kota na mężczyznę na rogu Baker i Beach. Mamy tam patrol, ale nic nie meldowali.

Cavuto popatrzył na Riverę.

–To Pałac Sztuk Pięknych. Nowym terytorium jest Marina.

–Teraz może tam nic nie być. Mundurowi nie wiedzą, że mają szukać ubrań z pyłem, i nie

chcę, żeby wiedzieli. Powiedz, że jedziemy.

–Centrala, reagujemy. Powiedzcie patrolowi na miejscu, że zajmiemy się tym. To element trwającego śledztwa w sprawie świra, który przesadza z fałszywymi zgłoszeniami. – Cavuto wyszczerzył się i spojrzął na partnera.

–Ładna improwizacja.

–Tak, ale myślę, że ten kot mógł już zwiać.

–Oby nie.

Podjechali do wielkiej klasycznej kopuły ze sztucznego kamienia, jedyne go budynku, jaki został po wystawie światowej z 1911 roku, gdy San Francisco próbowało pokazać światu, że otrząsnęło się po trzęsieniu ziemi z 1906. Mundurowi z patrolu stali po przeciwległej stronie sadzawki przy swoim radiowozie. Cavuto pomachał do nich.

–Przejmujemy to, chłopaki. Dzięki.

Nie było tam natomiast dużego ogolonego kota-wampira atakującego mężczyznę.

–Myślisz, że to głupi kawał? – spytał Cavuto.

–Jeśli tak, byłby to niewiarygodny zbieg okoliczności.

Cavuto wysiadł z samochodu i wyprowadził Marviną, który zaczekał, aż przypną mu smycz, a potem pociągnął Cavuta pod drzewo przy stawie, by zrobić siku. Łabędzie, które usadowiły się pod drzewami, by spędzić tam noc, zaczęły się wiercić i rzucać psu złe spojrzenia.

–Nic tu nie ma – stwierdził Cavuto. – Marvin nie daje sygnału.

Telefon Rivery zaćwierkał i inspektor spojrzął na ekran.

–Allison Green, ta okropna gotycka dziewczynka.

–Jeśli to ona zgłosiła, wsadzę ją na noc do aresztu dla nieletnich.

–Rivera – rzucił Rivera do komórki.

–Natychmiast zapalcie kurtki – powiedziała. – Natychmiast, kurwa, obaj.

Rivera zerknął na partnera.

–Nick, włącz diody w swoim płaszczu.

–Co?

–Zrób to. Ona nie robi sobie jaj. – Rivera wcisnął przełącznik w mankiecie swojej kurtki i diody zajaśniały oślepiającym światłem. Usłyszeli krzyk jakiegoś mężczyzny kilka przecznic dalej. Marvin zaszcekał.

–O, *tres bon*, glino. Nara – powiedziała Abby. Telefon zamilkł.

–Co tu, kurwa, było? – spytał Cavuto.

ROLF

Prawdę mówiąc, Rolf nie mógł się doczekać, kiedy kogoś zastrzeli. Po setkach lat zabijanie i polowanie zaczynają nudzić. Cała trójka miała już za sobą pełne cykle: od potajemnych zabójstw osób niepożądanych, przez istne rzezie całych wiosek, po długie okresy, gdy w ogóle nikogo nie zabijali. Minęło jednak pięćdziesiąt lat, odkąd musiał kogoś zastrzelić. Zmiana tempa stanowiła kuszącą perspektywę.

Oczywiście, to była brudna robota, trupy, marnotrawstwo dobrej krwi, ale lepsze to niż policjanci, biegający w kółko i rozpowiadający o nich ludziom. Nieważne, w jakie akty rozwiążności angażowali się przez lata, a było ich wiele – one także następowały cyklicznie – jedyna zasada, którą stosowali zawsze i bez wyjątku, brzmiała „pozostawaj w ukryciu”. A w tym celu nie wolno było sobie pozwolić na taką nudę, żeby przestało im zależeć na życiu. No, raczej przetrwaniu.

Może byli tylko ci dwaj z wczorajszej nocy? Elijah, w jednym z rzadkich przeblysków przytomności umysłu, przyznał w końcu, że wie tylko o dwóch policjantach, a ci, ponieważ wzięli pieniądze ze sprzedaży kolekcji dzieł sztuki starego wampira, nie chcieli, żeby tajemnica wyszła na jaw. Najwyraźniej jednak sprawa kotów ich przerastała.

On i Bella szybko rozprawili się z mniejszymi kotami. Użyli szybkostrzelnych śrutówek, niemal bezgłośnych, i śrutu, zawierającego ciecz, który przy kontakcie niszczył wampirze mięso – ohydną, ziołową miksturę, którą ktoś odkrył w Chinach przed setkami lat. Słaba lampka ultrafioletowa na lufie utrzymywała zwierzęta w stałej postaci na tyle długo, by zdążyły oberwać. Śrut tylko zraniłby wampira-człowieka, ale dla kota był śmiertelnie groźny. Chińczycy jakoś dostosowali go do kotów. Używali tej mikstury do opanowania każdej takiej plagi. Rolf pamiętał wystrzeliwanie jej z kuszy.

Wyjął telefon komórkowy, po czym wybrał numer alarmowy i zgłosił atak olbrzymiego kota na mężczyznę. Potem wysunął dwunóg karabinu, wymierzył celownikiem optycznym w jednego z łabędzi pod eukaliptusem i położył się, wyczekując.

Siedem minut później przyjechał radiowóz. Obaj funkcjonariusze byli młodzi, o jasnoróżowych aurach życiowych. Ze swojego dachu cztery przecznice dalej, Rolf ledwie słyszał skrzek ich krótkofalówek. Nic nie wiedzieli. Światłem latarek omietli krzaki wokół sadzawki. Widział, jak kręcą głowami do siebie nawzajem.

Siedemnaście minut po zgłoszeniu pojawił się brązowy, nieoznakowany samochód i Rolf przybrał swoją strzelecką pozycję. To byli ci dwaj z poprzedniej nocy. Duży rudy pies. Pies popatrzył w jego stronę, po czym pociągnął większego z gliniarzy do drzewa nad stawem.

Rolf zatrzymał celownik na twarzy chudszego z policjantów. Ale nie, strzał w głowę byłby arogancki. Musiał strzelić dwa razy, i to bardzo szybko, będzie więc mierzył w środek ciała. Najpierw zdejmie chudego, a potem dużego. Większy cel. Nawet jeśli pierwszy pocisk go nie zabije, to na pewno powali.

Czekał, aż odejdą od samochodu i wszystkiego, co ich osłaniało. Ten chudy szedł w stronę partnera, lecz nagle stanął, by odebrać telefon. Rolf zatrzymał celownik na jego sercu i zaczął naciskać spust.

Wtem jedna strona jego głowy eksplodowała bólem. Krzyknął i próbował chwytać płomień, które strzelały z jego pustego oczodołu.

TOMMY

–Robimy to, jak trzeba? – spytał Tommy. Znajdowali się o kilka przecznic za Rolfem, który poruszał się po dzielnicy Marina tak płynnie i łatwo, jakby tam mieszkał i wyszedł na wieczorną przebieżkę, Tyle że nikt z Mariny nie nosiłby czarnego prochowca. Byłby to albo kaszmir, albo Gore-Tex, strój biznesowy albo sportowy. Marina była bogatą dzielnicą, której mieszkańcy dbali o formę.

–Śledzimy go – powiedziała Abby. – Ile jest na to sposobów?

Prowadziła ich Jody. Podniosła rękę, by się zatrzymali. Jasnowłosy wampir przystanął przy rogu czteropiętrowego budynku mieszkalnego i zaczął się na niego wspinać, przy chwytaniu się korzystając tylko ze szczelin między ceglami.

Tommy rozejrzał się i zauważył dalej budynek o płaskim dachu.

–Tam jest wyjście przeciwpożarowe. Znajdziemy się nad nim, będziemy mogli go obserwować.

–Myślę, że obserwacja nie wystarczy – powiedziała Jody.

–Wygląda groźnie – stwierdziła Abby. – Patrzy na tych gliniarzy pod pałacem.

–Nie zastrzelił gliniarza – odezwał się Tommy. – Czemu miałby to zrobić?

–Podjeżdża patrol po cywilnemu – oznajmiła Jody. – To Rivera i Cavuto.

–I Marvin – dodała Abby.

–Wie, że oni wiedzą – powiedział Tommy.

–Musimy iść – stwierdziła Jody. – Abby, masz numer do Rivery?

–Tak.

–Zadzwoń. Daj mi ten laserowy patent.

–Światło z ich kurtek, powiększone przez celownik, załatwi sprawę – uznał Tommy.

–Chodźmy. – Jody pobiegła na krawędź dachu i zatrzymała się.

Abby podskakiwała na palcach.

–Jak Spiderman, księżno.

–Nie ma, kurwa, mowy – odparła Jody, patrząc w dół, gdy tymczasem Tommy przebiegł obok i przeskoczył nad zaułkiem na następny budynek.

Przemierzali dach budynku o jedną ulicę dalej, gdy ujrzeli, jak bok głowy wampira staje w płomieniach, i usłyszeli jego wrzask. Odturlał się od karabinu, chwytając się za twarz.

–Za daleko – oceniła Jody. Ostatnia przestrzeń między budynkami obejmowała całą ulicę, a nie jakiś zaułek, a znajdowali się o jedno piętro niżej od jasnowłosego wampira. – Na dół.

Tommy skoczył bez chwili namysłu, po czym powiedział:

–Co ja, kurwa, zrobiłem? – Wylądował na poduszkach stóp i opadł do przykłąku, podpierając się w chwili, gdy miał już wbić kolano w asfalt. Podniósł wzrok. Jody ciągle była na dachu.

–Chodź, ruda, nie wejdę tam sam.

–Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa – powiedziała, po czym wylądowała obok niego i się przeturlała.

Zobaczył, że nic jej się nie stało.

–Zgrabnie – pochwalil.

–Wstaje – powiedziała i wskazała następny budynek.

Tommy wiedział, że jeśli zacznie się zastanawiać, nigdy tego nie zrobi, więc po prostu najszybciej, jak umiał, zaczął się wdrapywać po rogu budynku. Robił to już wcześniej. Nie

pamiętał, ale jego ciało pamiętało. Wspinał się po ścianach jak kot. Jody była tuż za nim. Gdy dotarł do szczytu ściany, zatrzymał się obejrzał.

–Okulary – szepnął tak cicho, jak tylko mógł ktoś z wampirycznym słuchem.

Wsunął prawą dłoń między cegły, po czym sięgnął do kieszeni koszuli, wyjął okulary przeciwsłoneczne i je włożył. Nie mógł się wspinać z laserem w ręce. Będzie musiał dostać się na górę, a potem wyciągnąć broń z kieszeni spodni.

Jody też miała już na twarzy okulary. Kiwnęła mu głową, żeby ruszał.

Sprężył się i skoczył, by katapultować się ponad krawędzią ściany, ale gdy był w powietrzu, w jego głowie rozbłysło jasne światło i poczuł wirowanie, a potem potężne uderzenie o ziemię. Coś go uderzyło, zapewne kolba karabinu. Przeturlał się i spojrzał na ścianę.

Jody ciągle tam wisiała, dwa metry pod krawędzią, za daleko, by uderzyć ją karabinem. Blondyn miał zwęgloną twarz. Odwracał właśnie karabin, majstrując przy zamku. Zamierzał strzelić jej w twarz.

–Jody!

Zobaczył, że puszcza się jedną ręką i sięga do pleców, a potem rozbłysło kolejne oślepiające światło. Podczas upadku zgubił okulary. Obok niego coś pacnęło o beton. Czuł smród palonego mięsa i krwi.

–Nic ci nie jest? – spytała.

Dotknął dłonią twarzy.

–Chyba ośleplem. I chyba mam parę złamanych żeber. – Mrugając, odegnał z oczu krwawe łzy, a potem zobaczył na betonie coś ciemnego i okrągłego.

–Co to?

–Górna część jego czaszki – odparła Jody.

Rozległy się kroki, po czym obok stanęła Abby.

–To było super. Makabryczne, ale super. Byłaś niesamowita, księżno.

–Nie czuję się taka niesamowita.

–Chyba powinieneś napić się krwi, Tommy. Jesteś trochę rozpiardolony.

Wziął od niej plastikowy woreczek z krwią i wbił w niego zęby. Wypił niemal całe pół litra w ciągu kilku sekund, czując, jak jego kości i skóra znowu stają się całością. A potem Abby zabrała mu woreczek i sama zaczęła pić.

–Czuję się jak śmierć na chorągwi. Pewnie niepotrzebnie jadłam tego gołębia.

MARVIN

Marvin szczeknął szybko trzy razy.

–Ciastko, ciastko, ciastko. – Potem, ciągnąc Cavuta za róg i czując zapach czwartego trupa, szczeknął znowu. – Jeszcze jedno ciastko. – A później misja była już wykonana. Usiadł.

–Marvin! – powiedziała Abby. Rzuciła pusty woreczek i podrapała psa za uszami, a potem dała mu żelowego misia.

Rivera wyszedł zza rogu, trzymając w ręku wyciągniętego glocka. Jody wstała, sięgnęła za pistolet i wyrwała baterię z wewnętrznej kieszeni gliniarza. Abby zrobiła to samo z Cavutem, który wymierzył w nią z długiego pomarańczowego super soakera.

–Naprawdę, Dupny Miśku? – spytała. – Naprawdę? – Wyrwała mu z ręki wodną broń i rzuciła ją o całą przecznicę dalej, gdzie plastik się roztrzaskał.

–Celuję do ciebie z pistoletu, panienko – oznajmił Rivera.

–Ciastko – szczeknął Marvin. Bez wątplenia były tu trzy trupy i części czwartego, więc ciastka się należały.

Jody wyrwała Riverze glocka, tak szybko, że wciąż jeszcze trzymał dłoń tak, jakby celował, gdy wysuwała magazynek. Cavuto zaczął wyciągać wielkiego desert eagle'a, a Abby złapała go za ramię i pochyliła się.

–Ninja, proszę, jeśli nie chcesz użyć broni do odebrania sobie życia z powodu tego upokarzającego pistoletu na wodę, po prostu puść. – Odwróciła się i popatrzyła na Tommy'ego, który siedział w rozkroku na betonie i trzymał się za żebra. – Ta pieprzona wampiryczna moc porusza mój najgłębszy mrok. – Następnie znowu spojrzała na Cavuta. – Spuściłabym ci lanie, ale czuję lekkie mdłości.

–Tak – odrzekł. – Rozumiem. Po tym poznaję, że jesteś w pobliżu.

–Czyli wszyscy troje jesteście, eee, nimi – stwierdził Rivera.

–Niezupełnie „nimi” – odparł Tommy. – Jody właśnie urwała jednemu z „nich” kawałek głowy. – Wskazał osmalony fragment mózgowca.

–Szykowałam się, żeby załatwić was karabinem snajperskim – wyjaśniła Abby. – Dlatego zadzwoniłam. Przy okazji, dzięki, że zrobiliście, o co prosiłam, a nie zachowaliście się jak dupki.

–Na dachu znajdziecie pozostałe jego części razem z karabinem – powiedziała Jody.

–To on zgłosił atak kota-wampira? – spytał Cavuto.

Tommy pokiwał głową.

–Jest ich przynajmniej troje. Teraz może dwoje. Są bardzo starzy. Przyłączyli się do czarnego jachtu, który stoi przy pirsie dziewiątym. Sprzątają balagan, który zostawił Elijah. Widocznie wiedzą, że polujecie na Cheta i koty-wampiry.

–Pewnie widział nas ostatniej nocy ze Zwierzakami. Myśleliśmy, że koty dopadły Barry'ego.

Tommy dźwignął się na nogi.

–Barry nie żyje?

–Przykro mi – odrzekł Rivera. – Czyli wiedzą też o Zwierzakach?

Tommy odparł:

–Zwierzaki zabrali kolekcję sztuki Elijaha i wysadzili jego jacht. Oczywiście, że o nich wiedzą.

–Musimy tam jechać – stwierdził Rivera. – Będą ścigać też Cesarza. Dzwonił cały dzień w

sprawie czarnego statku. Myślałem, że to kolejne brednie. Nawet nie wiem, gdzie zacząć go szukać.

Jody oddał Riverze pistolet i baterię do kurtki.

–Podłączcie je z powrotem, jak tylko wrócicie do samochodu. Sprawdzają się.

Marvin zaniósł się salwą szczeknięć, która oznaczała:

–Znalazłem kilka trupów i narobię hałasu, jeśli nie dostanę ciastka, a dziewczyna od drapania za uszami jest martwa i chora.

–Spokojnie, Marvin – powiedziała Abby. Oparła się o wielkiego psa, a Cavuto złapał ją za ramię, by się nie przewróciła. – Nie czuję się najlepiej. – Osunęła się. Tommy złapał ją w samą porę, by nie uderzyła głową o beton. – Ogon trochę jakby boli.

Jody znowu wyrwała Riverze pistolet z ręki.

–Daj Tommy’emu kluczyki do waszego samochodu.

–Co? Nie!

Jody pacnęła jego kurtkę, usłyszała brzęk, a następnie sięgnęła mu do kieszeni i wyciągnęła kluczyki. Rivera stał niczym pięciolatek ubierany przez swoją matkę. Rzuciła kluczyki Tommy’emu.

–Weź ją na poddasze. Fu jeszcze tam będzie. Może zdąży zmienić ją z powrotem.

–Dokąd idziesz? – spytał.

–Na statek. Może któregoś tam zatrzymam. Wybiorą się na poddasze, więc bądź przygotowany.

–Nie tak prędko, ruda – odezwał się Cavuto.

–Zamknij się, kurwa! – wykrzyknęła. – Macie sześć przecznic do Safewayu Marina.

Zwierzaki są w pracy, albo będą za parę minut. Tam właśnie poszłam, kiedy chciałam ich znaleźć, i tam pójdą te wampiry. Więc ruszcie dupy, żeby ich ostrzec. Po drodze podłączcie baterie do kurtek albo zjedzą was na obiad. Wezwijcie drugi samochód, jeśli trzeba, bo właśnie uratowaliśmy wam życie, więc wasza bryka się nam należy.

Rivera się uśmiechnął.

–Mnie to pasuje.

–Serio? – spytał Cavuto.

Tommy podniósł Abby i trzymał ją jedną ręką. Drugą sięgnął do jej torby, wyjął telefon i podał go Jody.

–Zadzwoń do Fu, powiedz, że jedziemy.

–Dobra. Bądź ostrożny. – Pocałowała go. – Ratuń naszą pomagierkę.

–Jasne – powiedział.

Marvin zaskamlał za nimi, gdy odchodzili, co oznaczało: „Martwię się o martwą dziewczynę od drapania za uszami i żelowych misiów”.

MAKEDA

Stała pod okapem poczty, skąd miała widok na parking przed Safewayem, i obserwowała starca z psami, który tłukł w drzwi. No, to już razem siedem. Wiedziała, że powinna zaczekać na pozostałych, ale co by to była za zabawa. Szczupły czarnoskóry facet wpuścił starca i psy do sklepu, po czym zamknął drzwi.

Obeszła budynek z boku, potem od frontu, za długim pociąganiem wózków na zakupy, skąd mogła zajrzeć przez okna do środka, sama pozostając niewidziana. Byli rozdzieleni, każdy zajmował się innym działem. Naprawdę powinna wezwać tamtych. Żadne z nich nie mogło być daleko, ale ostatnio tak niewiele robiła sama... Przyjrzała się oknu. Gruby pleksyglas, nie było mowy o wskoczeniu przez szybę. Mogła kopniakiem rozwalić drzwi, ma się rozumieć, ale wtedy puściliby się biegiem, zacząłby się pościg, i gdyby któryś uciekł, Rolf miesiącami by się dąsał i okazywał jej dezaprobatę. Nie chodziło o to, że sama się nie dąsała. Raz po przebudzeniu zobaczyła Bellę i Rolfa, połączonych we mgle bez niej, po czym przez rok nie chciała przybierać postaci cielesnej z wyjątkiem przerw na jedzenie.

Tak zaczęli każdej nocy, połączeni w postaci mgły, wciąż wewnątrz tytanowej komory, doświadczając nawzajem każdego zakątka swoich świadomości, wspomnień, emocji, pragnień, lęków – pełna wiedza, pełna intymność. Po jakiejś godzinie przybierali postać cielesną, po czym opuszczali komorę i pożywiali się albo oglądali wschód lub zachód słońca na wideo. To było to! Wejście do sklepu potajemnie. Oprócz tego z psami wszyscy byli młodymi mężczyznami, prawda? Wiedziała, że umie skupić na sobie uwagę młodego mężczyzny. Podejście do nich po kolei i wyssie, zanim pozostali się zorientują, co się stało, a jutrzejszej nocy podzieli się tym doświadczeniem z Rolfem i Bella. Zawsze fajnie było urozmaicić noc czymś nowym i niebezpiecznym.

Nie będzie mogła zabrać swojego specjalnego kombinezonu ani żadnej broni, ale nie szkodzi. Nie wolno jej zostawić ciała. Siedmiu. Będzie nażarta jak kleszcz, gotów pęknąć. Sprawdziła, czy żaden z nich nie stoi przy drzwiach, i ukryła broń pod wózkami, a potem położyła się i wysączyła z kewlarowego kombinezonu, po czym przepłynęła nad chodnikiem i pod drzwiami.

Z radiowęzła leciał rock, wypełniając sklep jazgotem gitary rytmicznej, który zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Zawirowała przy kasach, po czym ruszyła alejkami między regałami. Dwie pierwsze były puste, w trzeciej zaś starzec siedział zupełnie sam na skrzynce mleka. Po obu stronach płonęły rzędy zapachowych świec, jakby ktoś przygotował pas startowy. Nie wyczuwała wokół siebie pozostałych, ale pod postacią mgły nie miała zbyt czułych zmysłów, a zapach i gorąco bijące od świec niemal zupełnie uniemożliwiały jej określenie, jak daleko się znajdują, muzyka zaś zagłuszała ich oddechy i bicie serca, ale w powietrzu dawało się wyczuć krew. Wszędzie. Uniosła się do sufitu, skąd widziała wszystko ponad szczytami regałów. Dwaj z nich pracowali po przeciwnych stronach sklepu, kołysząc się w rytm muzyki.

Rolf wysączyłby się z powrotem pod drzwiami i wezwał resztę, a Bella opracowałyby skomplikowany plan, by podkraść się do nich pojedynczo i załatwić ich, gdy będą sami, ale właśnie dlatego ona nie robi żadnej z tych rzeczy.

Gdy przybrała postać cielesną, poczuła w piersi potworny ból, jakby serce jej się zapadło.

Nie był to fizyczny ból, lecz poczucie nagłego braku. Któregoś z pozostałych nagle zabrakło. Rolf. Nie było go. Stała przed starcem, naga, roztrzęsiona, próbując znowu skupić się na łowach.

–Nie krzycz – powiedziała.

CESARZ

Nie podobało mu się ani to, że żołnierze zostali zamknięci w chłodni, ani to, że Zwierzaki go związali, natarli wątróbką i stekami, po czym posadzili na skrzynce mleka, ale spełnił swój obowiązek wobec miasta. Ostrzegł jedynych ludzi, którzy byli gotowi go wysłuchać, o obecności czarnego statku, powtórzył, co powiedział dziwny fałszywy Hawajczyk o starych wampirach, i dzięki temu jego umysł mógł zaznać spokoju. Nie musieli krępować mu tak ciasno rąk srebrną taśmą klejącą ani przyklejać jego kostek do skrzynki. Mogli zwyczajnie poprosić. Ech, ta młodość.

Zmaterializowała się jakieś trzy i pół metra od niego, naga, atrakcyjna i atletyczna, tak czarna, jakby wykonano ją z polerowanego hebanu, a jednak trupia bladeść nadawała jej wargom lawendową barwę. Włosy miała przystrzyżone blisko skóry, oczy zaś wydawały się złote, ale nie miał całkowitej pewności. Drżała przez chwilę, jakby poczuła na ciele jakiś podmuch. Patrzył, jak jej mięśnie naprężają się i rozluźniają, falując pod skórą.

Potem przestała się trząść i otworzyła oczy.

–Nie krzycz – powiedziała. W kącikach jej oczu pojawiły się krwawe łzy.

–Ojej, jesteś urocza – powiedział Cesarz.

Uśmiechnęła się i zobaczył kły. Nagle poczuł, że może się zmoczyć.

Podeszła o kilka kroków bliżej.

–Masz na ramionach steki? – spytała.

–Tak. A w kieszeniach wątróbkę.

Przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała.

–Gdzie pozostali?

–Nie wiem – odparł.

Jej ręka wystrzeliła w przód i w jednej chwili palce wplotły się w brodę. Pociągnęła ją w górę, nie szarpała, lecz ciągnęła z ogromną siłą, zupełnie jakby podczepiono ją pod wyciągarke.

–Gdzie oni są?

Czuł, że zgrzytają mu kręgi, czuł jej kły, drapiące go po szyi. Potem rozległ się odgłos wybuchu gazu pod wysokim ciśnieniem i już jej nie było, był za to gruby, nylonowy sznur w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się jej twarz.

–Padnij! – rozległ się głos Lasha, gdy on, Troy Lee, Jeff i Drew wytoczyli się z pólek, gdzie chowali się za rolkami papieru toaletowego i papierowych ręczników.

Głowa wampirzycy była przyszpilona do rolki papierowych ręczników stalowym harpunem z kuszy Barry'ego. Zaskrzeczała jak żbik, odsunęła się i skoczyła do Drew, który opuszczał super soakera. Lash szarpnął kuszą i sznur ją pociągnął. Jeff i Troy Lee uruchomili z przodu opryskiwacze ogrodowe, podczas gdy Drew prysnął jej w plecy z super soakera.

Zaskrzeczała i zaczęła się wić w strumieniach cieczy, ale skóra odlatywała z niej dużymi, oślizgłymi strzępami, jakby była z wosku i wrzucono ją do pieca w odlewni. W dziesięć sekund było po wszystkim. Wszystkie przedmioty w promieniu sześciu metrów pospadały z pólek, Cesarz leżał na plecach, niezdolny, by się podnieść, a stara wampirzyca zmieniła się w kałużę czerwonej brei, która ciągle się pienila.

–No i proszę – odezwał się Troy Lee. – Herbatka babci podziałała.

Lash pokiwał głową i z klągnięciem rzucił kuszę harpunową na podłogę.

–Clint! Posprzątaj alejkę numer cztery!

JODY

Jako że nigdy nie lubiła chodzić do siłowni, postanowiła obserwować *Ravena* z dachu sąsiedniego budynku, a nie z Bay Club. Fakt, że potrafiła skakać po ceglanych balkonach, aż znalazła się na dachu, na wysokości sześciu pięter, dowodził tego, co zawsze utrzymywała, przynajmniej za życia: że treningi w siłowni to narcystyczna bzdura. Niemal żalowała, że nie widzi jej teraz dziewczyna, z którą ćwiczyła w budynku Transamerica – wszystkie wciskały się po pracy w lycrę i nylon, a potem szły do Bay Club albo Twenty-Four Hour Fitness w nadziei na poznanie kogoś, kto nie jest palantem, a przy tym – w przypadku Bay Club – jest bogaty.

Wyobraziła sobie, jak mówią: „Chcesz iść z nami? Możemy ci wyrobić kartę gościa. A potem mojito”.

„Nie, dziękuję”, odpowiedziałyby. „Raczej wycisnę parę razy jakiegoś audi, wezmę worek z trzystoma kawalkami, który schowałam na dachu, a potem wrócę do swojego mieszkania na poddaszu i będę się do świtu pieprzyć ze swoim nieśmiertelnym chłopakiem”.

Dobra, tak naprawdę nie to zamierzała zrobić, ale była cholernie pewna, że nie poszłaby się pocić w siłowni, żeby spotkać facetów. Nie chciała się nawet znaleźć na dachu siłowni, wiedząc, że poniżej odbywają się nieskrępowane treningi.

Widziała *Ravena* po drugiej stronie Embarcadero. Młody rasta wykonywał jakieś czynności nawigacyjne z różnymi instrumentami. Przynajmniej wydawało jej się, że to czynności nawigacyjne. Równie dobrze mógł się bawić, majstrując przy drogich urządzeniach. Nie było tam żadnego z wampirów. Z otworów wejściowych pod kokpitem sączyło się światło, ale nie widziała żadnego ruchu. Pośpiech, który ją tu przygnał, w pewnym stopniu odpuścił. Pomyślała o telefonie do Tommy’ego, ale nie знаła jego nowego numeru. Użyła komórki Abby i wybrała numer Fu, ale włączyła się poczta głosowa, czego nie uznała za dobry znak.

Jeśli dwa pozostałe wampiry zeszły ze statku i musiała czekać na ich powrót, nie miała szans trafić ich z takiej odległości. Jeśli zaś nie wrócą do świtu, wschód słońca dopadnie ją na zewnątrz. Przy pirsie był magazyn. Może spróbuje na tamtym dachu. Wyzaczyła sobie limit czasu. Jeśli nie pojawią się pół godziny przed brzaskiem, wróci na poddasze. Nawet powolnym, ludzkim truchtem powinna zdążyć z dużym zapasem.

Będzie jednak musiała zejść z budynku od tyłu, tak jak weszła. Nie chciała, by ktoś zobaczył, jak skacze po dwa, trzy piętra naraz. Rozumiała, dlaczego wampiry pilnują swojej tajemnicy, naprawdę rozumiała, ale nie zamierzała pozwolić, by z tego powodu zginęli jej przyjaciele.

–Dobry widok? – rozległ się za nią kobiecy głos.

Jody obróciła się i zamachnęła, wyciągając zza paska džinsów ultrafioletowy laser Fu. Nie miała okularów przeciwsłonecznych, więc wycelowała w postać zbliżającą się do niej po dachu, zamknęła oczy, odwróciła się i strzeliła. Laser z buczeniem wystrzelił niebieski promień, który utrzymywał się przez dwie sekundy, a potem wydał wysoki, piskliwy dźwięk, sygnalizujący ładowanie kondensatora.

–O, bardzo ładnie – powiedział ktoś.

To bez wątpienia była kobieta, o wspaniałej figurze, odziana w obcisły czarny kombinezon, czarną maskę i okulary przeciwsłoneczne. Trzymała jakąś broń. Wyglądała jak superbohaterka.

Jody była już na nogach. Przykucnęła. Laser ciągle się ładował, ale może by wystrzelił, choćby słabo, dając jej czas na jakiś ruch.

–Nie, nie, nie. – Tamta uniosła broń i strzeliła. Salwa śrutu trafiła w rękę Jody, która upuściła laser, mając wrażenie, że jej ręka stanęła w ogniu. Popatrzyła na dziesięć niewielkich dziurek. Wszystkie dymily i wyciekał z nich przejrzysty płyn, a nie krew.

Kobieta zdjęła kaptur i okulary, ale trzymała broń wycelowaną w Jody. Była oszalamiającą, bladą, śródziemnomorską pięknoscią z włosami do pasa, przypominającymi czarny jedwab, i niemożliwie dużymi oczami.

–To światełko jest słodkie, ale powinnaś kupić sobie coś takiego – powiedziała. – To w zasadzie zwykła śrutówka, tylko przerobiona, żeby strzelać chemicznym śrutem, a w tej chemii kryje się magia.

–Pali jak diabli – stwierdziła Jody.

–Owszem. I mogłabym przeciąć cię tym na pół, zanimbyś mnie dopadła. Broń świetlna sprawia kłopoty. Ma kiepski zasięg i niewiele trzeba, by ją zneutralizować. Wystarczy na przykład taki kombinezon. Znaczą, na tym też jest światełko UV, ale tylko po to, żebyś nie mogła się zmienić w mgłę. Umiesz to zrobić, szczenię?

–Elijah mnie tak nazywał – powiedziała Jody.

–W swoim czasie nazywał tak każdego.

Jody zastanawiała się, jak dotrzeć do kobiety. Wiedziała, że umie się poruszać z prędkością niemożliwą dla zwykłych ludzi, ale to była inna wampirzyca, w dodatku bardzo stara. Raz Jody stawiała czoło Elijahowi, sądząc, że wszystkie wampiry są sobie równe, i omal jej to nie wykończyło.

Tamta jakby czytała jej w myślach i strzeliła, a Jody poczuła, że drugą jej rękę, od ramienia po łokieć, rozpała ból.

–Au. Kurwa. Ty dziwko!

–Bella, a nie dziwka. I co chciałaś mi zrobić, szczenię? Masz pojęcie, co narobiłaś? Byliśmy razem od setek lat. Zakończyliście fragmenty historii. Odebraliście mi części mnie.

Znowu strzeliła i prawa noga ugięła się pod Jody.

–Jak to części?

–Czyli nie wiesz, jak to jest połączyć się z inną istotą? Z kochankiem? Byliśmy kochankami, Rolf, Makeda i ja, od setek lat. A teraz ich nie ma.

–Nie wiem, o czym mówisz.

–Obojga nie ma, czułam to. Zabawne, nie wiedziałam, że bezustannie jestem świadoma ich obecności, dopóki nie odeszli. Niecałą godzinę temu. Teraz jestem sama. Powinnam darować ci życie, choćby dlatego, że straciliśmy dwoje z nas. Jest nas mniej niż sto, szczenię, a ty mogłaś zostać jedną z nas.

–Nie wiedziałam – powiedziała Jody.

–Nawet mnie to już nie obchodzi. Może po prostu cię zabiję, położę się i poczekam, aż wszędzie słońce. Nigdy się nie dowiem, co się stało.

–Wierz mi, to nie jest takie bezbolesne, jak ci się wydaje.

–Nie! – wykrzyknęła Bella.

Znowu uniosła broń, ale tym razem, gdy mała ultrafioletowa lampka się zapaliła, Jody odepchnęła się zdrową nogą, wykonała przewrót w tył i spadła z wysokości sześciu pięter na dziedziniec poniżej.

Spodziewała się rozdzierającego bólu i trzasku kości, może nawet chrupotu czaszki, ale

zamiast tego otoczyła ją ciepła woda. Wylądowała w basenie Bay Club, co oznaczało, że musiała odskoczyć na dobre osiem metrów od krawędzi dachu. Umysł drapieżcy, który jej wcześniej powiedział, że miasto należy do niej, włączył się teraz znowu, by zapewnić jej przetrwanie. Znalazła się pod wodą, to dobrze. Śrut pokona w wodzie najwyżej trzydzieści centymetrów, po czym straci skuteczność. Poza tym woda wyplukiwała ohydłą substancję, która tak ją paliła. Czowała, że wraca jej zdrowie, gdy unosiła się nad dnem basenu. Gdyby to było konieczne, mogła trwać tam, ile chciała, bez oddychania.

Gorzej, że Bella ciągle była na górze, a jeśli Jody wyjdzie z wody, nie będzie już powodów do radości. Mało prawdopodobne, by zdołała pokonać starą wampirzycę w walce wręcz, nawet gdyby się uporała ze śrutówką. Mogła jednak uciekać. Choćby nie była szybsza niż Bella, знаła okolicę. Latami tu pracowała, a od nędznego mieszkańka Okaty dzieliły ją najwyżej trzy przecznice.

Pogrzebała w kieszeni kurtki i znalazła telefon Abby. Był to model wodoodporny i ekran wciąż pokazywał czas. Do wschodu słońca zostały jeszcze cztery godziny, z grubsza. Musiała działać na granicy ryzyka, ale gdyby zdołała wymknąć się tak, by wystarczyło jej czasu na znalezienie kryjówki, a nie wystarczyło go Belli, miała szansę uciec. A może tymczasem Rivera i Cavuto wezwą jednostkę specjalną, która weźmie czarny statek szturmem? Albo Zwierzaki wysadzą go w powietrze, tak jak jacht Elijaha. Może Bella skoczy za nią do wody, choć różnica wysokości dawała jej znaczną przewagę. Może ktoś z mieszkań powyżej spojrzy w dół i pomyśli, że w basenie leży ciało. Dałaby radę uciec, gdyby przyjechało do niej pogotowie.

Właśnie tak. Przybrała pozycję jogi zwaną „unoszące się w wodzie zwłoki” i czekała, nasłuchując wszelkich dźwięków, które świadczyłyby, że ma w basenie towarzystwo, i skupiła się na gojeniu się ran. Jeśli wyleczy je w wystarczającym stopniu, może spróbuje się zmienić w mgłę i w ten sposób ucieknie. Niewiele się poruszała w tej postaci, nigdy też nie dokonywała przemiany pod wodą i nie miała pewności, czy to możliwe, ale zawsze warto spróbować.

Na dno basenu padł cień, gdy coś przesłoniło światło lamp rtęciowych nad wodą. Odwróciła się, by ujrzeć Bellę, poruszającą się jak kot przy krawędzi basenu.

CHET

Patrzył na rzeź wszystkich pozostałych kotów-wampirów i zamiast uciekać, jak kazał mu koci instynkt, zaczął śledzić zabójców, co było zachowaniem zrodzonym wyłącznie z jego ludzkich cech. Trzy strony jego natury pozostawały w nieustannym konflikcie. Nawet teraz jego kocia strona nienawidziła wody i chciała uciekać, ale ludzka czuła narastającą nienawiść i chciała atakować. Wampiryczna strona mówiła mu, by pozostał w ukryciu, by zbliżał się ukradkiem, pod postacią mgły, ale kocia chciała skoczyć, rozedrzeć jej gardło kłami i pazurami. Gdy z dachu Bay Club obserwował, jak krąży wokół basenu w obcisłym kombinezonie, przyszło mu do głowy, że nieważna woda, nieważna zemsta – zanim zrobi cokolwiek innego, wydyma ją jak młot pneumatyczny. W każdym aspekcie jego natury pozostało coś z kocura.

Zaczął tworzyć swoje stado, parząc się z każdą kotką w rui. Bez przerwy dokazywał w zaułkach i podwórkach San Francisco, ale potem urósł i ujawniła się ludzka część jego natury. Był za duży, by dokończyć dzieła. Jeśli się nimi pożywał, zmieniały się w proch, zanim zdążył je przelecieć, a jeśli od tego zaczynał, nie przeżywały, by mógł się nimi pożywić. Zadymał na śmierć sporo kotek, zanim to zrozumiał. Jak się okazało, rozmiar ma znaczenie.

Ale oto było idealne rozwiązanie. Silna i seksowna, odpowiedniej wielkości. Mógł zacisnąć zęby na jej karku i poswawolić, a potem wypić jej krew albo odgryźć głowę, zależnie od swojej zachcianki, a straszliwa broń i tak będzie cały czas wyceLOWANA z dala od niego.

Zmienił się w mgłę i popłynął w dół budynku strużką, która mieszała się z nocnymi oparami, nadciągającymi z dala z zatoki.

JODY

Jody patrzyła akurat na wodnistą sylwetkę Belli na tle lampy rtęciowej, gdy ujrzała, że pojawia się za nią inny kształt, który następnie skoczył jej na plecy i odciągnął ją od krawędzi basenu. Jody nie zamierzała czekać na referencje. Czymkolwiek było to coś, należało do sprzymierzeńców.

Wyskoczyła z wody jak rakieta, dwoma susami wskoczyła na szczyt trzyipółmetrowego ogrodzenia, po czym się obejrzała. Coś odciągnęło Bellę i rzuciło ją na ziemię, twarzą do chodnika, a teraz najwyraźniej dymało ją jak młot pneumatyczny.

Wiedziała, że nie powinna, ale zawahała się. Wielkie kocie uszy, wielki koci ogon. Wielki kociak, zatapiający zęby w karku Belli. Kociak miał rozmiary Belli, może był nawet ciut większy. Chet. Niedobry kotek, pomyślała Jody.

Bella wrzasnęła, a potem odepchnęła się rękami w tył, wyskakując razem z kotem w powietrze, gdzie wykonali półobrót i wylądowali na betonie, uderzając o niego grzbietem Cheta. Rozwarł szczęki, a Bella obróciła się i zaczęła walić ze śrutówki. Chet wył i miotał się na ziemi. Ostrzeliwała jego szyję, która natychmiast zmieniała się w miazgę. Przestał się ruszać.

Jody widziała już dosyć. Zeskoczyła z ogrodzenia na chodnik i ruszyła do dzielnicy finansowej, na następnym rogu skręcając w prawo, potem w lewo, poruszając się najszybciej, jak niosły ją nogi – pal licha, czy ktoś to widział. Próbowwała zmienić się w mgłę, ale nie mogła, niemożliwiało jej to albo strach, albo obrażenia. Słyszała za sobą kroki Belli, przecnicę dalej, teraz już bliżej. Jaki zasięg ma ta śrutówka?

W lewo na Broadway, w lewo na Battery, w prawo na Pacific, odgłos kroków tuż za jej tyłkiem, teraz w lewo na Sansome, znowu w lewo. Usłyszała strzał ze śrutówki i poczuła, że

lewa noga się pod nią ugina. Przeturlała się i spróbowała wstać, ale broń zagrała znowu i unieruchomiła lewą nogę. Przetoczyła się na plecy, odepchnęła od ziemi, usiadła. Broń wystrzeliła i jej lewy łokieć przestał działać.

–Kurwa, ile w tym jest amunicji?

–Więcej niż potrzeba, żeby przerobić cię na zupę – odparła Bella. – O, zobacz, nie ma tu basenu.

–Szkoda, ominie cię frajda kolejnego bzykanka z kotem.

Strzał. Prawa ręka Jody zwinęła się pod nią z ukłuciem bólu.

Bella przeciągnęła paznokciami po piersiach.

–Nic nie nastąpiło. Ten kombinezon zatrzymuje światło, a nawet pociski z małokalibrowej broni...

Ale najwyraźniej nie ostrza, pomyślała Jody.

Ponieważ była wampirem i w jej oczach drapieżcy wszystko odbywało się wolniej, widziała, jak klinga zbliża się do ramienia Belli, wchodzi w jej mięsień czworoboczny i przecina klatkę piersiową wraz z kociofiutoodpornym kombinezonym, by wyjść tuż pod prawą ręką. Głowa i prawa ręka Belli zsunęły się w prawo, a lewa ręka i cała reszta ciała upadły na lewo. Jej twarz miała dość zaskoczony wyraz, który pozostał taki, choć jej usta dalej działały, bezgłośnie, jakby bardzo rozpaczliwie pragnęła dokończyć ostatnie zdanie.

–Cześć – powiedział Okata.

Jody popatrzyła ponad szermierzem na tabliczkę na rogu, która głosiła: Jackson Street.

JODY

Nie pierwszy raz wypełzła z mieszkania faceta w środku nocy z butami w dłoni, ale pierwszy raz podjęła tę decyzję dlatego, że nie chciała tego faceta zabić. Był taki drobny, taki kruchy, taki samotny. Wcześniej wykańczała już ludzi, którzy mieli w swojej aurze czarną obwódkę, tak jak Okata, a oni jej dziękowali. To była litość, ulga, zakończenie cierpienia, a jednak nie mogła się do tego zmusić. Zostawiła go – nie po to, żeby umierał sam, choć pewnie tak właśnie będzie, i nie dlatego, że był dla niej taki miły i ją uratował, lecz dlatego, że odbitki były niedokończone. Był dziwnym mężczyzną, pustelnikiem i szermierzem, noszącym w sobie jakiś wielki ból, ale przede wszystkim był artystą, a ona nie potrafiła tego przerwać. Więc wyszła.

A teraz wróciła.

Schował miecz do pochwy i spróbował pomóc jej wstać. Jej kończyny wciąż paliły żywym ogniem i mogła ruszać tylko prawą ręką. Skinęła głową w stronę śrutówki Belli.

–Daj mi ją, Okata. – Wykonała ruch przypominający chwytanie.

Oparł ją w pozycji siedzącej o poręcz z kutego żelaza przy schodach do swojego mieszkania, a potem podniósł śrutówkę i włożył jej w dłoń. Mocno przytrzymał lufę i powiedział coś surowo po japońsku.

–Nie zamierzam ze sobą skończyć – zapewniła i uśmiechnęła się.

Puścił lufę, a ona zasypała zwłoki Belli śrutem, aż broń przestała strzelać. Potem przerzuciła śrutówkę nad poręczą i dała mu znak, by pomógł jej wejść do mieszkania. Gdy przeprowadził ją przez drzwi, z ciała Belli zostały jedynie oślizgłe strzępy mięsa. Rano, gdy wzejdzie słońce, będzie już tylko plama na chodniku i spalone kawałki plastiku z kewlarowego kombinezону, butów i okularów.

Okata zaprowadził ją pod prysznic, gdzie oplukał jej rany, a następnie ją wytarł i wyciągnął z lodówki resztkę świńskiej krwi.

Jody doznała okropnego poczucia winy. Czekał na nią, zapewne był na dworze i jej szukał, gdy Bella wybiegła za nią zza rogu.

Kiedy wypila krew, a stan jej nóg polepszył się na tyle, że mogły utrzymać jej ciężar, podeszła do jego stołu roboczego i zapaliła światło. Była tam ostatnia odbitka. Niedokończona, ale dwie deski były już gotowe, czerń i czerwień. To była ona, pod prysznicem, z rudymi włosami spływającymi na plecy wraz z wodą i czarnymi drobinami popiołu, kłębiącymi się w kałuży pod stopami.

Okata stanął przy niej i patrzył krytycznie na obrazek, jakby się spodziewał, że lada chwila będzie musiał coś naprawić. Nachyliła się i z perspektywy odbitki popatrzyła mu w oczy.

–Hej – powiedziała. – Dziękuję.

–Dobra – odrzekł.

–Przepraszam – dodała.

PIES FU

Abby leżała na futonie w dużym pokoju na poddaszu. Puste klatki po szczurach stały w stercie w kącie, a Fu odkręcił dyktę z jednego z okien, by wpuścić trochę światła. Od szóstej rano monitorował oznaki życia u Abby. Przynajmniej były jakieś oznaki życia. Na początku ich nie przejawiała. W południe otworzyła oczy.

–Fu, ty fiucie, jestem śmiertelna.

–Nic ci nie jest! – Objął ją obiema rękami.

Odepchnęła go.

–Gdzie Tommy? Gdzie księżna?

–Tommy jest w sypialni. Nie wiem, gdzie Jody.

–Nie dzwoniła?

–Nie.

–Ożeż kurwa! Tommy’ego też zmieniłeś z powrotem?

–Nie. Zacząłem robić serum dla niego, ale nie chciał nic robić, dopóki nie zajmą się tamtym wampirem. Ale trzeba to zrobić, Abby. Inaczej długo nie pożyje.

–Wiem. Ten rasta pirat z czarnego statku nam mówił. Tamtym wampirem? Tylko jednym?

–Rivera dzwonił, kiedy byłaś nieprzytomna. Zwierzaki załatwili któreś z tej trójki w Safewayu.

–Powiedziałeś mu, żeby się nie zbliżał się do czarnego statku?

–Tommy powiedział.

–Co z Chetem?

–Nie wiem.

–Może... Ej, gdzie mój ogon?

–Odpadł, kiedy znowu stałaś się człowiekiem.

–Zachowałeś go?

–No... nie. Zostawiłem go na stoliku, a kiedy zaświeciło słońce... eee, tak jakby się spalił.

–Spaliłeś mój ogon? Był częścią mnie!

–Obrzydliwą częścią.

–Rasista z ciebie, Fu. Cieszę się, że zerwaliśmy.

–A zerwaliśmy?

–Mieliśmy zamiar, nie? Nie o tym chciałeś pogadać? O tym, że jestem dla ciebie o wiele za skomplikowana i tajemnicza, a ty musisz wrócić do swoich tradycyjnych jajogłowych wartości i mieszkać w Sunset z rodzicami, zamiast we wspaniałym gniazdku miłości ze swoją boską wampiryczną dziewczyną, która nigdy więcej się z tobą nie bzyknie, nawet gdybyś błagał, nawet z litości, nieważne jak odlotowe są twoje mangowe włosy? Nie to chciałeś powiedzieć?

–Nie tyłoma słowami. Przenoszę się do Berkeley. To trudne, Abby...

–Nie strzęp sobie języka, *s’il vous plait*, jestem ponad to. Nie dam się więcej upokarzać tą jadowitą banalnością i w ogóle.

–Dzwoniła twoja mama. Chce, żebyś wróciła do domu.

–Tak, oczywiście, że tak będzie. Ojej, co to, małpy wylatują mi z bezogonowego tyłka?

–Powiedziała, że przysłali twoje oceny. Zdałaś biologię u pana Snavely’ego.

–Serio?

–Mówiła, że prawie zemdlą. Jared powiedział, że to dzięki temu dodatkowemu projektowi,

który przygotowałaś. Czemu mi nie powiedziałaś, że wzięłaś do szkoły jednego szczura?

–Nie sądziłam, że tak dobrze wyszło. Znaczący, szczur już był wampirem, więc kiedy wyjęłam go z pudełka po butach, wydawał się po prostu zdechły. I Snavely wyjechał: „O, pięknie Allison, martwy szczur”. Ale w sali biologicznej było słonecznie i nagle mój szczur po prostu sam z siebie się zapalił, więc mówię: „Patrzcie, gnojki, samozapłon gryzoni, to fala przyszłości”.

–Nie oblał cię, bo nie miał pojęcia, jak to zrobiłaś.

–Jestem mroczną panią biologii. Bój się. Wrau! – powiedziała. Potem pocałowała go mocno, ale nie tak mocno jak wtedy, gdy była wampirem, więc mu ulżyło. Po chwili jednak odepchnęła go i wymierzyła mu policzek.

–Au. Nie uznałem cię za zdziwę.

–Wiem, to był nasz słodko-gorzki pocałunek na zerwanie. Będę teraz rozpaczala, aż obudzi mnie lord Flood, żeby podjąć poszukiwanie księżnej. Padam z głodu. Chcesz iść na kanapkę i kawę do Starbucks? W torbie mam jakieś dziesięć patoli.

GNIAZDKO MIŁOŚCI

Obudził się o zachodzie słońca, z jej twarzą przed oczyma umysłu i dreszczem paniki biegnącym po plecach. Wypadł z sypialni do dużego pokoju, gdzie Abby właśnie odkładała telefon.

–Dzwoniła księżna – oznajmiła. – Nic jej nie jest. Będzie tu za parę minut.

–A tobie też nic nie jest? Żyjesz. Jesteś ciepła. – Widział bijące od niej ciepło i zdrową aurę życiową wokół jej ciała.

–Tak, dzięki. Fu zniszczył mój ogon. – Odwróciła się i zajrzała do kuchni. – Ten zdradziecki, rasistowski, okrutny skurwiel!

–Jesteś trochę za surowa – stwierdził Tommy. – Uratował ci życie.

–Mam złamane serce. Rozpaczam. Jestem niepokieszona. Nie mam ogona. Będę musiała znowu zrobić sobie piercing i tatuaże.

–Ale wzięłaś prysznic i makijaż nie robi już z ciebie szopa.

–Dzięki. A mnie się podobają plamy krwi na twoich spodniach.

–Cześć – odezwał się Pies Fu z kuchni, gdzie napelniał strzykawkę czymś, co wyglądało jak krew. – Mam już serum dla ciebie. Kiedy tylko będziesz gotowy.

–Nie jestem gotowy.

–Musiś, wiesz o tym.

Zabrzączał dzwonek u drzwi. Tommy wcisnął guzik domofonu.

–To ja – oznajmiła Jody.

Wpuścił ją, a ona w jednej chwili pokonała schody, po czym go pocałowała. Odsunął ją i popatrzył na jej ubranie, w strzępach na łokciach i kolanach, zachlapane krwią.

–Co ci się stało? Gdzie byłaś?

–Jedna ze starych. Zaskoczyła mnie na dachu, z którego obserwowałam czarny statek. Zrobiła to broń, którą mają. Jest straszna. Nie możemy dopuszczać ich blisko siebie, kiedy to mają.

–Jak uciekłaś?

–Ukrywałam się na dnie basenu i próbowałam wymyślić, co robić, kiedy skoczył na nią Chet. Zwiałam stamtąd, kiedy Chet dymał ją na sucho.

–Jea! Brawo, Chet! – wykrzyknęła Abby.

–Abby! – Jody podbiegła do dziewczyny i przytuliła ją, a potem pocałowała w czoło. – Tak się o ciebie martwiłam. Żyjesz. Naprawdę żyjesz.

–Tak. Fu mnie odmienił. A ja chcę znowu być nosferatu.

Wszyscy zwrócili twarze w stronę Fu, który ciągle był w kuchni.

–Nie mogę tego zrobić, Abs. Drugiego razu nie przeżyjesz. Próbowałem tego na szczurach. Jesteś tylko człowiekiem.

–Kłeska – stwierdziła Abby.

–Jody – powiedział Tommy. – Co z wampirzycą, która cię zaatakowała?

–Nie ma jej. Zniszczona. Ktoś mnie uratował, zanim mnie zabiła. Więc została tylko jedna, tak?

–Nie ma już żadnego – odparł. – Dzwonił Rivera. Zwierzaki ją dopadli. Został tylko Elijah na czarnym statku.

Jody pogładziła go po twarzy.

–Tommy, musimy pogadać.

–Wiem – przyznał.

Odezwał się Pies Fu:

–Jody, nie wiem, kiedy Tommy może, eee, zgasnąć. Niewykluczone, że pójdzie to szybciej niż u Abby.

–Chodź ze mną. – Jody wzięła Tommy’ego za rękę i poprowadziła do sypialni. – Muszę ci coś pokazać. Wy dwoje, nie wchodźcie do tego pokoju, jasne?

TOMMY I JODY

–Nie możemy teraz uprawiać szalonego małego seksu, Jody. Usłyszają nas, a poza tym zwykle rozwalamy meble.

–Nauczyłeś się przemieniać w mgłę, kiedy byłeś z Chetem. Mówiłeś, że się nauczyłeś.

–Tak, w ten sposób zdobyłem te ubrania. Głupie są, nie?

–Tommy, wampirzyca, ta stara, nazywała się Bella... coś mi powiedziała. Pocałuj mnie. Pocałuj mnie i przemień się w mgłę.

Pocałowała go i poczuła, że stopniowo traci cielesność, i poszła w jego ślady, aż stali się jednym, dzieląc się każdym sekretem, lękiem, zwycięstwem, wszystkim, samą esencją tego, kim byli, okręcając się, wijąc przez siebie nawzajem, gdy jedno przeżywało historię drugiego, a każde doświadczenie stawało się wspólne, z wygodą i radością, z bez troską i pasją, bez słów czy granic. Jak to się często zdarza dwojgu zakochanych, czas stracił znaczenie, i mogliby zostać w takiej postaci na zawsze.

Gdy w końcu to przerwali, leżeli nadzy na łóżku i chichotali jak zwariowane dzieci.

–Ojej – zaczął Tommy.

–Tak – powiedziała.

–Czyli Okata cię uratował?

–Tak, musiał kogoś uratować. Zawsze musiał kogoś uratować.

–Wiem. Nie przeszkadza mi to, wiesz?

–Tak, wiem – odparła.

–Nie mogę tego zrobić, Jody. To niesamowite i uwielbiam cię, ale nie mogę.

–Wiem – stwierdziła, bo wiedziała. – Taka teraz jestem, Tommy. Lubię to, lubię noc, lubię władzę. Lubię się nie bać. Dopóki się taka nie stałam, zawsze byłam niczym. Uwielbiam to.

–Wiem – przyznał. Wiedział, że zawsze była urocza, ale nie piękna. Zawsze trochę niezadowolona z tego, kim jest, przejęta tym, co sobie o niej myśli dany mężczyzna, matka czy ktokolwiek inny. Teraz jednak była piękna. Silna. Dokładnie taka, jaka chciała być.

–Potrzebuję słów, Jody. Taki jestem.

–Wiem.

–Nie jestem wampirem, tylko pisarzem. Przyjechałem tu, żeby pisać. Chcę używać w zdaniu słowa „galaretowaty”. I nie tylko raz, ale wiele razy. Na dachu, pod księżycem, w windzie, na pralce, a jak się zmęczę, chcę leżeć we własnym galaretowatym pocie i używać w zdaniu słowa „galaretowaty”, aż padnę bez zmysłów.

–Wydaje mi się, że „galaretowaty” znaczy coś trochę innego, niż ci się wydaje.

–To bez znaczenia. Muszę to zrobić. Muszę coś napisać. Muszę napisać swoją historię o dziewczynce w czasach Holokaustu.

–Myślałam, że ta dziewczynka dorastała na południu w czasach segregacji.

–Tak, wszystko jedno. To ważne.

–Wiesz, że już to wiem, prawda?

–Wiem, ale o tym właśnie mówię, potrzebuję słów. Kocham cię, ale potrzebuję słów.

–Wiem – powiedziała. – Chodź, pozwólmy Fu zmienić cię z powrotem w faceta od słów.

–Odejdziesz?

–Muszę.

–Wiem – stwierdził. – Myślę, że to połączenie mogło mnie zdruzgotać.

–Czemu?

–Bo leżysz tu zupełnie naga, a ja nie mam ochoty na seks.

–Naprawdę?

–Zastanowię się. Nie, fałszywy alarm. Nic mi nie jest.

–Chodź, gryziórk. Połamiemy parę mebli.

RAVEN

–Chwalmy słodką miłość Jah, który zesłał nam ognistowłose śnieżne ciasteczko – powiedział Kona. – Witaj, cudna umarła sioro. Witaj na pokładzie.

–Pani – poprawiła Jody. – Cudna umarła pani.

–Racja, pani. Witaj na pokładzie.

Statek był cudem techniki i luksusu. Kona pożyczył Psu Fu swoją bransoletkę ochronną, a ten wszedł na pokład i przeprogramował system, by statek nie zabijał nikogo, kto postawi nogę na pokładzie, a potem we dwóch oprowadzili ją po statku, pokazując tysiąc różnych sposobów, na które statek mógł zabić. Była to elegancka, zbytkowna śmiercionośna pułapka.

–Radzę włączyć te układy z powrotem – powiedział Fu. – Nie bez powodu mieli tu takie zabezpieczenia.

Jody pożegnała się i sprowadziła go z pokładu. Trzymając w jednej ręce laser UV, a w drugiej próżniowe fiolki z krwią, podążyła za podróbką rastamana do najgłębszej komory w statku, gdzie Fu nie dotarł. Zbliżyli się do szerokiego, białego, wodoszczelnego wjazdu z małym iluminatorem i ciężkim stalowym kółkiem, które go zabezpieczało.

Kona pstryknął włącznikiem światła.

–To słabiutkie UV, pani. Żeby ten sukinsyn nie mógł się wymknąć.

Jody zajrzała w iluminator, a z drugiej strony twarz uderzyła w niego z rykiem, pozostawiając krwawą ślinę na grubym szkle.

–No witaj, złotko. Jak się miewałeś?

Wampir warknął. Był to Elijah, stary wampir, który ją przemienił, a tak naprawdę przemienił ich wszystkich, o ile legenda była prawdziwa. Teraz jednak wyglądał jak dzikie zwierzę, nagi z obnażonymi kłami, warczący w okienko.

–Słyszysz mnie? – spytała Jody.

–O tak, słyszy. Musisz mu powiedzieć, żeby się cofnął na koniec komory, pani. Mogę go tam zamknąć drugimi drzwiami. Coś jak śluza. Tak dziada karmimy.

–Idź na koniec komory, Elijah. Musisz coś dla mnie zrobić.

Wampir warknął na nią.

–Oki doki – powiedziała, włożyła okulary przeciwsłoneczne, przyłożyła laser do szkła i szybko spaliła mu prawe ucho na popiół.

Ryknął.

–O, wiem, że musiało boleć. Posłuchaj tego wysokiego pisku. To laser się ładuje. Trwa to z minutę. Jak już się naładuje, spalę ci wacka, chyba że zabierzesz swój starożytny tyłek na koniec komory. – Uśmiechnęła się.

–Kurde, brachu, ta suka ma zimne serce. Lepiej rób, co mówi, nie?

Stary wampir wycofał się za wewnętrzne drzwi, wciąż warcząc, a Kona zamknęła je za pomocą przełącznika. Następnie otworzył ciężki wjazd zewnętrzny.

Jody umieściła fiolki w komorze, po czym znów przemówiła.

–Dobra, Elijah, chcę, żebyś nappełnił je tą słodką krwią wampira w pierwszym pokoleniu.

Zamknęli wjazd, a Elijah warczał i opierał się, ustąpił jednak, gdy stracił drugie ucho. Dwadzieścia minut później Jody trzymała cztery fiolki z jego krwią, a sam Elijah wychleptywał dwa litry krwi tuńczyka ze stalowej miski.

–Nic mu nie będzie – stwierdził Kona. – Uszy odrosną w parę minut i przez parę tygodni

wszystko będzie git.

–A ile zajmie wniesienie reszty dzieł sztuki na *Ravena*? – spytała.

–Wszystko już na pokładzie, pani.

–No to wypływamy, kapitanie.

–Rozkaz, pani.

Jody odwróciła się do Okaty, który stał w milczeniu, z szeroko otwartymi oczami, obserwując całą scenę.

–To dla ciebie – oznajmiła, unosząc fiolki. – Mam nadzieję, że lubisz nocną scenerię. Będziesz miał mnóstwo drzeworytów do zrobienia. Ale nie zabraknie ci czasu.

–Dobra – powiedział z uśmiechem szermierz.

KRONIKI ABBY NORMAL,
NIESPEŁNIONEJ
NOSFERATU, ZAŁAMANEJ
MIESZKANKI DNIA
I ZDETRONIZOWANEJ ZASTĘPCZEJ
PANI NOCY
W GREATER BAY AREA

Moja upojna nocna moc zniknęła, mój mangowłosy kochanek z odlotową furą też, zniknął nawet mój ogon – a co najgorsze, zniknęła księżna. Patrzyliśmy, jak odpływa tuż przed świtem, a rastafariański imbecyl pilotował *Ravena* tuż obok Alcatraz, gdy my staliśmy na brzegu.

Potem Rivera i Cavuto podjechali swoim gównianym glinowozem i wyskoczyli w stylu „oglądaliśmy mnóstwo seriali policyjnych i wiemy, jak pokazać, że sprawa jest pilna”.

No i Cavuto zasunął: „Nawet nie drgnij, panienko”. I znowu trzymał pistolet na wodę. Tym razem żółty.

A Rivera skradał się z drugiej strony przystani, jakbyśmy go nie widzieli, chociaż przystań ma góra pięć metrów szerokości, i nie ma tam żadnej kryjówki, i był już prawie ranek.

Tommy zaczął: „Chłopaki, chyba powinienem coś wyjaśnić”.

Ale zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, podskoczyłam i zrobiłam do nich „wrau” z rozczapierzonymi palcami i straszną miną.

A ci zapalili te swoje kurtki i zaczęli pryskać na Tommy’ego i na mnie z super soakerów, aż byliśmy zupełnie mokrzy i śmialiśmy się tak, że się zataczaliśmy i wpadaliśmy na siebie nawzajem. Marvin wyskoczył przez okno z samochodu i podbiegł do nas z głupią psią miną, bo w swojej robocie psa od trupów rzadko słyszy śmiech.

Rivera popatrzył na Cavuta i wyłączył swoją kurtkę, a Cavuto zrobił to samo i zaczął trzymać swój pistolet na wodę tak, jakby zmienił się w wielkiego żółtego balasa. I mówi: „O, kurwa”.

A ja: „O, dupny misiu, zmoczyłeś mnie”. I znowu w brecht, aż Marvin podbiegł i zaczął mnie lizać po twarzy, przez co śmiałam się jeszcze bardziej, aż w końcu Rivera wyciągnął kajdanki i przestaliśmy się śmiać.

Wyjaśniliśmy, że stare wampiry nie żyją i że załatwiły wszystkie kotki-wampiry włącznie z Chetem, i że wszyscy pozostali zmienili się z powrotem, tak jak my, więc wszystko gra i niech się, kurwa, uspokoją.

A Rivera pyta: „Co z czarnym statkiem?”.

A my: „To była własność tego ekscentrycznego bajdulionera, a wampiry przejęły lajbę, ale teraz nie żyją, więc popłynął sobie do domu”.

A Rivera: „Ale Cesarz mówił...”.

A ja: „Kurde, proszę cię. Mowa o Cesarzu San Francisco, protektorze Alcatraz, Sausalito i Treasure Island?”. I głośno prychnęłam.

Na to Rivera: „No dobra, słuszna uwaga”.

Potem dwoma samochodami podjechali Zwierzaki i wyskoczyli, obładowani pistoletami na wodę i opryskiwaczami, a potem wysiadł Cesarz ze swoimi psami, i wszyscy byli przyszykowani

do kopania tyłków, ale Rivera ich zatrzymał i wszystko opowiedział, więc pojechali się naspawać, a Cesarz podszedł do brzegu i patrzył, jak *Raven* płynie w stronę mostu Golden Gate.

No i dobra, słońce było już wysoko, więc Rivera i Cavuto zaczęli, że nie jesteśmy wampirami, więc wzięli Marvina, wsiedli do swojej gównianej bryki i odjechali.

Tommy i ja tylko sobie staliśmy na skraju przystani, więc ledwo widzieliśmy *Ravena* przy moście, z podniesionymi żaglami, srebrzystego w słońcu.

Mówię: „Pewnie powinniśmy iść po te pieniądze, które księżna schowała na dachu. To ze trzysta tysięcy dolarów”. Księżna powiedziała nam, gdzie są, zanim odplynęła. Uznała, że nie będą jej potrzebne.

A on: „Tak. Może być trudniej tam wejść, skoro nie mamy już supermocy”.

A ja: „Mówiła, że są schody pożarowe”.

A on: „Okej”. I tylko gapił się na statek.

Więc mówię: „Wiem, że nie jesteś już nosferatu, ale mogę dalej być twoją pomagierką, gdybyś potrzebował”.

A on: „Mam złamane serce”.

A ja: „Ja też”.

A on: „Poza tym myślę, że awansowałaś wyżej niż na pomagierkę”.

A ja: „Mogę być twoją dziewczyną”.

A on: „Myślałem, że kochasz Fu”.

A ja: „W sumie tak”.

A on: „Myślałem, że kochasz Jody”.

A ja: „Tak. Jestem poliseksualna”.

A on: „Co, chcesz się teraz bzykać z papugami?!”.

Już chciałam się na niego wkurzyć, ale zobaczyłam, że się uśmiecha, więc tylko walnęłam go łokciem w żebra w stylu „ty fiucie”, gdy patrzyliśmy, jak statek znika we mgle za mostem.

No i pyta: „Jak myślisz, kiedy *Raven* wróci?”.

Na to ja strasznym głosem: „Nigdy już”.

Popatrzył na mnie z szerokim uśmiechem i wziął mnie za rękę. A ja totalnie chciałam go pocałować, z wielką rozpaczą, z jęczyzkiem i tak dalej. Ale potem musiałabym strzelić go z liścia, żeby nie wziął mnie za zdzirę, bo w końcu zostałam porzucona raptem parę godzin wcześniej. Ale potem pomyślałam, że on może mnie strzelić z tego samego powodu, więc zamiast pocałunku zdecydowałam się na kręcenie tyłkiem w triumfalnym tańcu zakazanej rozkoszy, a on uśmiechnął się jak dureń.

No i tak staliśmy, trzymając się za ręce i patrząc tam, gdzie wcześniej był statek, uświadamiając sobie, że przyszłość jest zajebiście ogromna. Jak Otchłań, tylko, wiece, z lepszym oświetleniem.

Pytam: „To co teraz, płatki śniadaniowe?”.

A on: „Chyba napiszę książkę”.

KONIEC

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-12

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[Przełożył Jacek Drewnowski](#)

[2](#)

[1: D](#)

[CHET](#)

[CESARZ](#)

[STEVE](#)

[CESARZ](#)

[4](#)

[JODY](#)

[5](#)

[RIVERA](#)

[6](#)

[7](#)

[JARED](#)

[ZWIERZAKI](#)

[JARED](#)

[9](#)

[10](#)

[ZWIERZAKI](#)

[CESARZ](#)

[11](#)

[JODY](#)

[12](#)

[CESARZ](#)

[13](#)

[14](#)

[RIVERA I CAVUTO](#)

[15](#)

[OSŁAWIONY PIES FU](#)

[KATSUMI OKATA](#)

[ZWIERZAKI](#)

[16](#)

[CESARZ](#)

[PIES FU](#)

[17](#)

[TOMMY](#)

[FU](#)

[STARSI](#)

[18](#)

[CHET](#)

[JODY](#)

[19](#)

STARSI

20

RIVERA

OKATA

21

CJK? CJK? CJK?

ROLE

TOMMY

MARVIN

23

CESARZ

JODY

CHET

24

PIES FU

GNIAZDKO MIŁOŚCI

TOMMY I JODY

RAVEN

25

KONIEC